NUMER PODWÓJNY

Stron 16

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 22-29 lutego 1948 r. | Nr 8-9 (137-138)

W NUMERZE:

między innymi:

Wacław Nałkowski

CHŁOPOMANIA IDILLICA*)

Od czasów najdawniejszych aż do dni naszych — od Dyogenesa do Tołstoja, dusze subtelniejsze, umysły wyższe, krytyczne, uginające się pod brzemieniem uczuć i myśli, odczuwające i rozumiejące wadliwość współczesnego im społecznego ustroju, współczesnego stadium cywilizacji, ulegały w części na podstawie swego osobistego instynktu zachowawczego, w części na podstawie hyperkrytycznego rozumowania, „wylewającego dziecko wraz z kąpielą" — popędowi do zrzucenia bolesnego brzemienia myśli, zerwania gniotących więzów cywilizacji — popędowi do powrotu ku naturze, instynktom, pierwotności, prostocie.

Popęd ten, z którego korzystali nieraz ludzie w cywilizacji zapóźnieni, lub co gorsza, szalbierze, by we własnym interesie powstrzymać rozwój ludzkości, wyraził się po wielokroć w systemach filozoficzno-społecznych lub utworach artystycznych i to w różnych formach odpowiednio do charakteru twórców: w formie fanatycznego ascetyzmu Savonaroli — demokratycznego idyllizmu Rousseau'a — arystokratycznego estetyzmu Ruskina — brutalnego dynamizmu Nietzschego — prostaczego ascetyzmu Tołstoja.

*

Ze wszystkich wyżej przytoczonych myślicieli-działaczy najwybitniejszym, a przynajmniej najbardziej typowym i wpływowym przedstawicielem idei „powrotu do natury" był bez wątpienia Rousseau, który opracował swój system w sposób najbardziej skończony i wszechstronny, przeciwstawiając go wiekowi oświecenia, ideom encyklopedystów.

Idee Rousseau'a nie zdołały jednak cofnąć ludzkości do stanu natury, zburzyć cywilizacji: przeciwnie: w paroksyzmie rewolucji francuskiej otrząsnęła się ona z wytkniętych jej wad, złożyła należną daninę uczuciu (romantyzm) i szła dalej po drodze ewolucji, do czego krytycyzm Rousseau'a i jego pomysły, złagodzone, zmodyfikowane znacznie się przyczyniły. Pod parciem realnych potrzeb życia, zbyt wybujałe wzloty uczucia zostały ściągnięte na ziemię, nastała epoka przyśpieszonego rozwoju wiedzy pozytywnej, olbrzymiego wzrostu przemysłu — spotęgowania tętna kulturalnego.

I obecnie wyrosło znów nowe brzemię cywilizacji z nowymi wadami i pod ich naciskiem zaczyna znów kiełkować w tej lub innej formie, z większymi lub mniejszymi zastrzeżeniami idea powrotu do natury, do zaniedbanego uczucia. U nas ideę Rousseau'a podjął uczony przyrodnik St. Kramsztyk w końcowym rozdziale swych wybornych szkiców przyrodniczych, zatytułowanych „Człowiek i przyroda".

Pan Kramsztyk podejmuje ideę Rousseau'a, ideę powrotu do natury; a jakkolwiek uznaje, że taki powrót do przyrody, jakiego chciał zagniewany na cywilizację znakomity genewczyk, jest niemożebny („albowiem człowiek po raz drugi narodzić się nie może"), to jednak w niezwykle pięknym porównaniu podnosi zasługę Rousseau'a w tym mianowicie, że nas nawrócił ku przyrodzie *uczuciowo* i upatruje w tym podniesienie etyczne człowieka, przeciwwagę ambicji, oraz argument wobec tych, co w naukach przyrodniczych widzą wpływ demoralizujący, materializujący człowieka.

*

W kwestii podjętej przez autora *Szkiców przyrodniczych* pozwolimy tu sobie rozwinąć parę własnych poglądów.

Naprzód twierdząc, że powrót do natury w duchu Rousseau'a jest niemożebny,



winni jesteśmy *postawienia na to dowodu*: otóż sądzimy, *że dowód taki tkwi w zasadzie walki o byt*, jako w czynniku rozwoju, cywilizacji, oddalania się od natury. Ludy natury giną w walce o byt z ludami cywilizacji, powrót więc pewnego ludu do stanu natury byłby dlań wyrokiem zagłady; powrót zaś całej ludzkości na łono natury byłby tylko nowym rozpoczęciem tej samej gry, którą ludzkość zaczęła już od wieków: śród tej ludzkości powróconej na łono natury wywiązałaby się walka o byt, która zaczęłaby ją znowu oddalać od stanu natury po raz przebytej już drodze cywilizacji.

*

Rzeczywiście: przy *każdej formie znużenia* zawsze objawia się owa tęsknota do natury. Tęskni do niej zarówno wojownik okryty ranami, jak i człowiek przepracowany umysłowo, przefilozofowany lub też rozpustnik zużyty zmysłowo: zarówno człowiek wyczerpany orgiami ducha, jak i orgiami ciała. Ta tęsknota jest jednak w rezultacie identyczna z uczuciem tego smakosza i viveura, co długi czas objadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktyny, chartreusy, szampany; co młodość strawił śród elegantek paryskiego półświatka... „tęskni" on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą" wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską (jak znowu dama wielkiego świata za zakopiańskim „frajerem").

*

Dla uzupełnienia powyższej ilustracji „tęsknoty do natury" zwrócimy jeszcze uwagę czytelnika na dwa blisko z nią spokrewnione objawy, mianowicie: *knajpizm***) *i chłopomaństwo*. Że knajpizm jest wynikiem znużenia, wyczerpania, choroby, to naturalnie nie potrzebuje dowodzenia, a jednak jest on tylko leczniczo-realną formą idei Rousseau'a. Co do rozpowszechniającego się u nas w ostatnich czasach chłopomaństwa, to nie mamy tu na myśli ani pedagogizmu społecznego, mającego na celu umysłowe i ekonomiczne podniesienie ludu, ani też naukowo-etnograficznego, mającego na celu naukowe zbadanie objawów życia ludowego i w ogóle życia ludów pierwotnych (jeżeli kierunki te można nawet w ogóle nazwać tym mianem), lecz chłopomaństwo właściwe, tj. *uczuciowo-obyczajowe, czułostkowo-sielankowe*, które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebień i mydło, jako wymysły niemiecko - szatańskie, wpada w świętobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy lub chłopskich wierszydeł, przypisuje ludowi niebywałe cnoty i idealność uczuć, na podobieństwo owych, nieznających etnologii, podróżników, którzy dziś zachwycali się gołębią dobrocią człowieka pierwotnego, a nazajutrz „spoczęli na łonie natury", tj. w jego kanibalskim żołądku. Temu prądowi u nas przypisać należy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabała — dostawca żętycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstecznionych w rozwoju, mózgów...

„A Pan Bóg — mówi ten prorok — śmierć chrast w pysk". Ach jakież to ładne!! — woła w ekstazie taki nawiedzony przez *chłopomania-idillica*, a za nim odbekuje toż samo całe stado Panurga. Idąc za tą ideą ludzkość powinnaby zarzucić tragedie Shakespearea, poemata Byrona, utwory Goethego itd, zarzucić prawa Keplera i Newtona, odkrycia Wattów, Edisonów, zarzucić wszystkie swe zdobycze, co tyle łez i krwi ją kosztowały i iść po naukę i piękno do peszeresów, buszmanów, australczyków i — Maćków.

Powiedzą mi może, iż wszystkie zdobycze cywilizacji w pierwotnej umysłowości człowieka wzięły swój początek? Bardzo dobrze, ale stąd bynajmniej nie wynika, aby *teraz* trzeba było *powracać do początku*; niech ci panowie chłopomani zechcą łaskawie odrzucić uszlachetnione kulturą bery i spożywać twarde, jak kamień, a kwaśne, jak ocet gruszki polne i niech wołają ze zdławionym gardłem: ach jakie to smaczne! Z pewnością nie zrobią tego, bo chociaż i smak się psuje (jak zauważyliśmy wyżej), to przecież zwykle nie tak prędko, jak mózg; a zresztą ta nasza *chłopomania idillica* jest po większej części objawem mózgów nie przecywilizowanych (bo takich u nas mało), lecz raczej *niedocywilizowanych* lub tylko względnie przecywilizowanych (smak zaś nasz stoi zwykle na wysokości cywilizacji): my jesteśmy jak ów australczyk lub botokud, dla których już średnie wykształcenie było silną dozą cywilizacji, tak, iż, wyczerpani nią uciekają na łono natury.

A może panowie chłopomani sądzą, że australczyk lub botokud utrzymają tym sposobem swą narodowość? Jeżeli tak, to są w grubym błędzie: schłopienie narodu jest tylko zgubą: „mój Boże, mówiła pewna szlązaczka do turystów, czy też studentów wrocławskich, tacy porządni panowie i mówią po polsku!"

Zechciejmy przecież zrozumieć to, że jeżeli wolno komuś, co „znużony cierpieniem, przeciwnością, wiekiem", chce osiąść śród „Łobzowian", żyć ich życiem prostym, nie wyczerpującym nerwów; że jeżeli *należy podnosić lud umysłowo i ekonomicznie*, oraz badać naukowo objawy niknącej jego pierwotności, to nie wolno i nie należy odwrotnie: życia takiego uważać za ideał ludzkości, a płody ducha człowieka pierwotnego wnosić *in crudo* do cy-

*) Fragmenty artykułu „Natura i siła", drukowanego w „Prawdzie", 1893 r.

**) Mowa o rozpowszechnionym wówczas przyrodolecznictwie księdza Kneipa.

Wacław Nałkowski

Kiedy Prus pod koniec „Lalki" ukazuje symbole pół-kolonii: Boga, ziemię i lud (a jest to rok 1894) są już w Kongresówce i Galicji polityczni szermierze tej koncepcji: Popławski, Wasilewski, Dmowski.... Przegrane 30-lecie „polskiego kapitalizmu" zawraca myśl inteligencko- mieszczańską do nacjonalizmu ludowego. W części wyrażać ona będzie cofnięcie się mieszczaństwa, ziemiaństwa i inteligencji z frontowych pozycji działania kapitalistycznego w „zacisze sennych chat" i „wiecznej natury", słowem tam, gdzie wydaje się iż będzie się wolnym od kapitalizmu i od konieczności rozwiązania jego problemów industrialnych i klasowych. W części wyrażać ona będzie nową próbe przygotowania się do udziału w walce o kapitalistyczną pozycję narodu na drodze imperialnych zdobyczy u boku i na koszt jednego z sąsiednich mocarstw (najpierw Dmowski — Rosja, potem Piłsudski — Niemcy).

Wacław Nałkowski, jeden z ostatnich pozytywistów — ewolucjonistów walczyć będzie osaczony ze wszech stron z „nowymi ideami" tego kulturowego nurtu nacjonalizmu ludowego. W latach 80 — 90-tych powstaje „Wędrowiec", „Wisła", „Lud". Tu wysmażają się koncepcje regionalizmu, etnograficzne poszukiwania i badania. Chałubiński i Witkiewicz odkrywają Tatry i góralszczyznę. G. Pawlikowski po r. 1890 podejmie kampanię antyindustrialną. Popławski będzie nakazywał „iść coraz głębiej w przeszłość aż do najniższych kondygnacji... gdzie już świadomość milknie a odzywa się głos krwi, przyrodzony instnkt rodowy".

Ekonomiści, jak Jaworski, w historii widzą działanie siły irracjonalnej, posiada ją wieś, „program mający określić strukturę naszego społeczeństwa wyjść musi z punktu widzenia agrarnego". Te wpływy działają na B. Wysłoucha „Przegląd Społeczny".

Te wszystkie siły i dążenia wywołują ostrzegawcze słowa Nałkowskiego, dają temu staremu żubrowi pozytywizmu okazję użycia najlepszych, trwałych na wczoraj i dziś argumentów pozytywizmu.

J.A.K.

wilizacji i tym sposobem powstrzymywać jej rozwój.

Wskutek tego wstecznego prądu zwykle materiały do etnografii identyfikuje się z płodami artyzmu lub głębokiej myśli, a zatem idzie znów przecenianie zasług zbieraczy: jakiś fotograf lub rysownik, który przedstawiał nam parę typów chłopskich, będzie uchodził za etnologa, jakiś szczęśliwy posiadacz osobliwie pomalowanego jajka, kijanki o dłuższym trzonku, niż zwykle, jakiś znalazca skorupy lub dobitniejszego warjantu z poematu „Kaśka za piec" itd. jest u nas obecnie uważany za potęgę naukową, przynajmniej tak wielką, jak głęboki znawca i szczęśliwy posiadacz marki pocztowej z wyspy Mauritius! (a to nie jest wcale bagatela!).

Nie chcemy tu bynajmniej zaprzeczać, że np. niektóre motywy pieśni lub podań ludowych, jako objawy pewnej *siły* (o czym niżej), *obrobione* artystycznie przez mistrza tonów lub słowa, mogą się stać wielkimi utworami sztuki, podobnie jak pewne kamienie, w naturze zanieczyszczone i niekształtne stają się po oszlifowaniu najpiękniejszą ozdobą. Nie myślimy przeczyć, że wszelkie, choćby najdrobniejsze choćby najniedorzeczniejsze, objawy życia ludu mogą posłużyć uczonemu etnologowi do *zbudowania doniosłych praw naukowych;* chodzi tylko o to, by objawów tych nie traktować ze stanowiska mdłej czułostkowości. Co innego jest, powtarzamy, chłopomaństwo idylliczne, a co innego socjologiczne lub etnologiczne; tak samo jak co innego jest „tęsknota na łono natury", a co innego badanie tej natury przez uczonego przyrodnika lub skierowywanie jej sił na pożytek społeczeństwa przez doświadczonego technika. Nie chcemy tu wreszcie bynajmniej tłumić „zapału" tych etnografów zbieraczy, bo naturalnie lepiej, gdy jakaś „panienka ze dwora", zamiast zbierać plotki szlacheckie dość banalnego kosmopolitycznego charakteru, zbierać będzie typowe gadki chłopskie — chodzi nam tylko o to, aby rzecz każda była postawiona na właściwym jej miejscu, *suum cuiqe!* Albowiem, gdy społeczeństwo będzie jedne produkty opłacać moralnie zbyt wysoko, to na inne zbraknie mu odpowiedniej monety i tak też dzieje się w rzeczywistości.

Analogiczny pogląd na wartość szczegółów etnograficznych i ich zbieraczy był już w „Prawdzie" poprzednio w krótkości wypowiedziany tak przez autora niniejszych szkiców (z powodu „obrony" geografii jakoteż przez Posła Prawdy***). Pogląd ten wywołał polemikę między innymi w tak poważnym piśmie etnograficznym, jak *Wisła*. Sądzimy, że polemika ta wynikła jedynie z nieporozumienia, które chyba zostanie usunięte powyższym rozbiorem tej kwestii. A jeżeli p. I. K. mówi przy tej sposobności w *Wiśle*, że „możemy się wiele nauczyć od Maćków", to my dobrze wiemy, co taki znawca metod naukowo-etnograficznych, mógł pod tym wyrazem rozumieć. Znaczy to, że jeżeli będziemy studiowali np. budowle bobrów albo robotę pszczół, to możemy się nauczyć wiele o ich instynkcie, sposobie życia itd., lecz naturalnie nie nauczymy się *od nich* budownictwa ani teorii maximów i minimów; albowiem nasza technika i nasza umysłowość przebyła dawno stadium bobrów i pszczół i nie myśli bynajmniej do nich powracać. Podobnież, gdy dowiemy się od „Maćków" z europejskiej niziny, że kamienie erratyczne „czort rozsypał", od czarnogórców, że ich góry powstały wskutek rozerwania się worka z kamieniami unoszonego przez Boga; od czikosów, że liczne serpentyny ukochanej ich Cissy powstały dzięki szczególniejszej pieczy jakiegoś świętego, który, chcąc suche ich stepy obdarzyć rzeką, zaprzągł osła do pługa, dosiadł go i zaczął wyorywać bróżdę lecz żarłoczny osioł, szukając trawy, zbaczał co chwila to w jedną, to w drugą stronę i pokrzywił bróżdę itd. to przez te wszystkie wiadomości wzbogaca się nasza wiedza *o słabości umysłu człowieka pierwotnego*, lecz naturalnie nie nasze teorie lodowcowe, orogeniczne lub hidrologiczne. To znaczy jednym słowem, że p. I. K. mówiąc, iż możemy się wiele nauczyć *od* „Maćków", rozumiał przez to, iż możemy się wiele nauczyć *na* Maćkach i na to zupełna zgoda. Ale pospolity zbieracz weźmie to natychmiast w znaczeniu „Ładowej Pieczary" i tym tylko szkodę przynieść może, albowiem takie twierdzenia źle zrozumiane, podsycają obecnie istniejący u nas zastęp ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie są zasadniczymi nieprzyjaciółmi nauki, nie chcą nic wiedzieć o rozumie filozoficznym i odgrzebują stare rzeczy o zdrowym czyli chłopskim rozumie (według którego naturalnie słońce obraca się naokoło ziemi), a posiadając mechaniczną zdolność pisania, bałamucą umysły i tak już bardzo potrzebujące światła. To jest jeden z czynników dzisiejszej reakcji wstecznej; powrotu do dawnej prostoty, dawnych wierzeń, dawnych głupstw.

***) Aleksander Świętochowski.

*

Chociaż ze stanowiska *ogólno-ewolucyjnego* musieliśmy wystąpić przeciw tej, że tak nazwiemy ***naturotropii*** (która przybiera różne formy a między innymi formę chłopomanii), to jednak *z obecnego* stadium rozwojowego musimy przyznać, że tęsknocie do przyrody, obok maniaków i zacofańców, rzuconych w wir cywilizacji, podlegają nieraz, jak to już wspomnieliśmy właśnie ludzie najwyżej uorganizowani duchowo, albowiem oni właśnie w obecnej, śród nienormalnych warunków toczonej, walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy zadowoleni prosperują); są to właśnie wyżej wspomniani „siłacze" zmuszeni dźwigać gwichty zbyt wielkie, i dlatego podźwigujący się mimo swych sił niezwykłych. I rzeczywiście któryż z dzisiejszych wyższych duchów, stojących na wyłomie, wiodących bezustanne a beznadziejne (dla siebie samych przynajmniej) zapasy, nie doświadczał, przynajmniej w pewnych cięższych chwilach walki, tej tęsknoty? Kto nie pragnął wtedy „w ciszy wiejskiej zagrody zapomnieć, że są na świecie narody", kto nie powtarzał „dość, dość żyłem nie sobie... ha, tam chyba odżyję, gdzie powietrza, gdzie stepów dowoli", kto nie zazdrościł indianinowi, przebiegającemu swobodnie dziewicze lasy Nowego Świata, kto nie zazdrościł wolnemu synowi pustyni jego wyścigów z wichrami, horyzontu bez końca, nieba bezchmurnego, nocy iskrzących się gwiazdami jaśniej, żywiej niż u nas... Jakkolwiek oni uczuć nam podobnych nie doświadczają: uczuć takich względem takich obrazów przyrody może doświadczać ten tylko, „kto je utracił". Najlepszą zresztą ilustracją, że najwyżej uorganizowane jednostki podlegają właśnie tej tęsknocie do przyrody jest sam naukowy inicjator idei powrotu do przyrody, Rousseau, jak również analogiczny z nim filozof — poeta Nietzsche: gruntem uczuciowym u obu jest wyczerpanie się cywilizacją, a czy ono objawi się w formie tęsknoty do spokoju na łonie natury, czy w formie tęsknoty do pierwotnych brutalnych instynktów, startych przez cywilizację, to jest to już tylko kwestia temperamentu danego osobnika. Objawy takie antycywilizacyjne u duchów potężnych, które wdarły się aż na szczyt cywilizacji, przypominają tego wodza, który forsownym marszem dążył w bój i wszystkie swe pułki wyprowadził od razu w ogień; zdobył najwyższe pozycje, lecz już nie miał sił do ich utrzymania; musiał się cofnąć wyrzekając się wszystkich korzyści zwycięstwa.

W tym, że właśnie najwyżej uorganizowane jednostki podlegają dziś często (chociażby chwilowo) tej tęsknocie do natury, leży po części przyczyna złudzenia, że ta tęsknota, mianowicie w formie swej idyllicznej, jest jednoznaczna z „uczuciami szlachetnymi"; a zresztą człowiek tęskniący do przyrody (spokoju) jest już inwalidą (chociażby chwilowym), ustępuje z placu, nikomu nie przeszkadza w wiecznych wyścigach: zyskuje on przez to naszą sympatię, nazywamy go „szlachetnym", jak *lucus a non lucendo*, gdyż jest on właśnie niezdolny do walki *(Schlacht)*.

Gdy wreszcie rzucimy okiem w *daleką przyszłość, to znajdziemy jeszcze jeden argument przeciwko stałemu powrotowi do natury*. Ludzkość dożyje bowiem chwili, gdy powrót do natury byłby nietylko bezużyteczny, lecz absolutnie niemożebny, a to z tego prostego powodu, że nie będzie już do czego powracać: „natura" w tym znaczeniu, o jakim mówimy, zniknie, krajobrazowa rozmaitość otoczenia będzie jedynie objawem działalności człowieka. Gdy na „dziewicze" dziś jeszcze szczyty gór lśniące w promieniach słońca srebrną oponą śniegów, pobiegną szyny kolei; gdy rzeki, wijące się malowniczo śród zielonego kobierca łąk, staną się prostymi jak sznur, kanałami, ujętymi w tamy; gdy dziko-wspaniałe, nieokiełznane dziś wodospady staną się fabrykami elektryczności; gdy niezmierzony ocean zostanie pokryty pływającymi miastami; gdy orkany będą pracować dla człowieka; gdy groźne dziś kuźnie Hefaista staną się kuźniami zwykłymi; gdy nawet widok nieba gwiaździstego zaćmiewać będą liczne statki lub miasta powietrzne; gdy szumiące bory, śród których można „upolować tyle dumań", znikną, ustępując miejsca intensywnej kulturze, cóż wtedy z dzisiejszej „natury" zostanie, prócz może „Parków Narodowych"? Wtedy „natura", a właściwie otoczenie, będzie jedynie wyrazem wszystko łamiącego rozumu ludzkiego, nieugiętej woli ludzkiej, niezmierzonych, nieskończonych pragnień ludzkich!

Wacław Nałkowski

Rozalia Rybacka

U ŹRÓDEŁ „PIASTA"

Jeszcze o „Starej Zasłonie"*)

BRZEMIĘ ENDECJI

Gdy mikołajczykowskie PSL usiłowało stroić się w cudze piórka i uroczyście głosić zaczęło swoje „pięćdziesięciolecie", starałam się (w art. p. t. „Na marginesie pięćdziesięciolecia PSL") wykazać, że nie ma ono na to prawa. Że tradycji swoich w ruchu ludowym szukać mogło najwyżej w prawicowym nurcie. A nurt ten, wyhodowany przez klasy obszarniczo - kapitalistyczne i w ruch ludowy przez nie wszczepiony, stanowił tubę, przez którą obszarnictwo i burżuazja dyktowały swoją ideologię masom ludowym. Żeby zaś ukryć jego charakter i pochodzenie, zasłonięto gęstą zasłoną kłamstw i legend głęboką ranę powstałą w miejscu gdzie wdarł się on do ruchu ludowego: rozłam w galicyjskim stronnictwie ludowym w grudniu 1913 r. Gdy tylko zlekka dotknęłam tej zasłony, wystąpił w jej obronie wierny jej stróż, jeden z organizatorów rozłamu p. Zygmunt Lasocki (naówczas hrabia Lasocki) i usiłował wzmocnić tę zasłonę jeszcze jedną legendą, podając jako przyczynę rozłamu walkę przeciw kurii średniej własności. Odpowiedziałam, na to na łamach tygodnika „Wieś", z czego wywiązała się polemika, do której przyłączył się ob. Czuła, literat wiejski. Ob. Czuła nie znając początku polemiki może nie zupełnie wyczuł jej sens. Wydało mu się, że demaskowanie pochodzenia prawicy w ruchu ludowym może ubliżyć temu ruchowi. Nie, ob. Czuła, ujmę ruchowi ludowemu może przynieść właśnie bezkrytyczne przyjmowanie tych wszystkich zasłon z legend i oszczerstw, którymi klasy posiadające manewrowały, żeby unieszkodliwić ruch ludowy, a manewrowały tak zręcznie, że potrafiły zagłuszyć głos jasny i wyraźny, pogrążyć w zapomnienie to, co pisało „Zaranie".

> **„Rząd z panami polskimi i biskupami uplanował sobie unieszkodliwić ludowców dla swoich zamiarów i swojej polityki. Plan taki powzięli wtedy, gdy Stapiński zapowiedział, że w imieniu ludu będzie dlań żądał szerokich praw: głosowania powszechnego na posłów do Sejmu, zmiany systemu podatkowego, obciążającego głównie lud i t. d. Rząd tedy z panami polskimi postanowili unieszkodliwić Stapińskiego, a zatem i ludowców, a ku temu użyli Długosza, ministra Zaleskiego, innych Rejów, Kędziorów i t. d." (Zaranie Nr 51 18.XII.1913 r.).**

I dobrze, że do „rozmowy u starej zasłony" przyłączył się, choć mimochodem, ob Czuła. Szczególnie z radością witam myśl ob. Czuły zawartą w słowach: „Nie żadna" gęsta zasłona", ale otwarte, szczere przedstawienie wypadków i zdarzeń zaszłych w ruchu ludowym i rozwoju stronnictw ludowych — powinno być naczelnym przykazaniem tych co zechcą pisać jego kronikę". Właśnie o to chodzi. O prawdę historyczną. Żeby ją znaleźć potrzebne jest właśnie dociekanie, potrzebne zestawienie wspomnień, dokumentów i faktów i wymiana zdań, bo to każe przyszłym historykom pogłębiać badania. I nie można w tym widzieć żadnej obrazy, ani rozdzierania ran, bo to o czym mówimy już przeszło do historii, stanowi jakby zamknięty okres historyczny, a historia ukazuje nam rozwój zdarzeń, dlatego my wiemy co było dalej, co z czego wynikło, a ludzie, którzy wówczas działali, tego nie wiedzieli. Młode pokolenie, poznawszy całą prawdę z historii ruchu ludowego, tym lepiej zrozumie jak trudna była walka, jak ciężkie przeszkody spotykał ruch ludowy na swojej drodze i tym bardziej poważać go będzie.

Ob. Czuła pisze: „Endecja była mafią bez skrupułów i bardzo niebezpieczną, ale na wieś nie mieli endecy po co przychodzić, bo ich chłopi nie słuchali". I na dowód, jak „słabe zapuściła korzenie we wsi polskiej, że nigdy dla ludowców groźną partią nie była" wspomina wybory do Sejmu w r. 1922 w okręgu Tarnowskim, jak to tam wtedy kandydat endecji „ośmieszył się małą ilością rzuconych na niego głosów tak gruntownie, że uciekł jak niepyszny z Tarnowa" *).

Z historii wiemy, że po tych wyborach utworzony został „Chjeno-Piast" i rządy w kraju objęli Dmowscy, Głąbińscy i t. p. endecka śmietanka. Nie mieli endecy po co chodzić na wieś — chłopskie głosy dostali po wyborach hurtem.

„Endecja była mafią bez skrupułów i niebezpieczną" i „nigdy dla ludowców groźną partią nie była", bo „mandaty zdobywała przeważnie po miastach" powiada ob. Czuła. Radzi też czytać Szczepańskiego „Z dziejów Ruchu Ludowego". W książce Szczepańskiego, na str. 83. czytamy:

> „W całym tego słowa znaczeniu złym duchem W. Witosa, jego doradcą i sugestionerem bywał endek w każdym calu, a tylko z pokostu piastowiec redaktor Józef Rączkowski. Niejednokrotnie zachodzili ludzie w głowę, jak Rączkowski Witosa omotał, jaki miał wpływ na niego szalony i kierował jego krokami i czynami, byle ten trybun ludu jaknajspieszniej i jaknajpewniej kroczył na prawo ...Był czas, że poseł Dubiel Gabriel**) rozpowiadał w różnych sferach, że pod wpływem Rączkowskiego Witos należy do endeckiego sprzysiężenia, w którym konfratrzy bywają zaprzysięgani na dotrzymywanie przeróżnych zobowiązań i tajemnic"***).

Możnaby powiedzieć, że endecja nie tylko dla ludowców groźną partią nie była, ale nawet opiekowała się czule i bezinteresownie stronnictwami ludowymi. Naprz. Stojałowszczykami. „W końcu podreperował się sprzedażą domu i drukarni i wydawnictwa endecji, z którą zawarł wpierw przymierze, żeby założyć wspólnie „Związek Ludowo Narodowy" pisze we wspomnieniu o ks. Stojałowskim ob. Czuła ****).

Poseł endecki Stanisław Rymar, redaktor od r. 1907 do 1922 sławetnej „Ojczyzny" od r. 1910 red. „Wieńca i Pszczółki" chwali się w swoim życiorysie*), że napisał broszurę: „24 lata politykowania Jana Stapińskiego" wydaną w 100.000 egzempl. i przyczynił się do usunięcia Stapińskiego z Klubu P. S. L.; że napisał też broszurę „Ludowcy i ich program rolny", której 20.000 egz. „rozkupiono w tydzień".

Czyż nie jest wzruszająca ta dbałość endecji o to, żeby „kompromisowy" przywódca nie pozbawił Stronnictwa Ludowego jego radykalnego charakteru? Tak samo wzruszające było np. opanowanie przez endecję Tow. Szk. Ludowej i Tow. Kółek Rolniczych w Galicji, Gazety Świątecznej i „Zorzy" w Królestwie i t. d.

„Ciężkim brzemieniem legła endecja na naszym życiu publicznym" — pisało „Zaranie" w r. 1913 — „ciężkim i trudnym do zwalczenia. O tej fałszywości endeków w ludowej skórze pamiętajcie zawsze Bracia ludowcy! I, widząc ich, z pod lwiej skóry patrioty-rewolucjonisty śmiało wyciągajmy im ośle uszy reakcjonisty - endeka, służalca ciemnoty, patrona i stróża „duszy pańszczyźnianej" chłopa" („Zaranie" Nr 44, 30.10.1913 r.).

O stosunku endecji do ludu wiejskiego pisał Nocznicki w r. 1919: „Chcieliby aby ten lud był posłusznym narzędziem w ich ręku: aby dla nich, dla ich polityki, wypowiedział walkę klasie robotniczej; aby ten lud wiejski wytwarzał z siebie proletariat i aby go potem zwalczał politycznie. Oto czego chcą endecy! Już od 1906 roku ujawnili swoją politykę. Od tej pory ich posłowie w Dumie szli zawsze z reakcją, od tej pory zaciekle w kraju zwalczali wszelki postęp, a szerzyli obłudę i znieprawienie. Od tej pory wypowiedzieli bezwzględną walkę ludowi polskiemu, jego wyzwoleńczej pracy, jego chęci szczerej budowania Polski Ludowej" **).

---

*) Patrz: „Wieś" Nr 48 (1947 r.) i Nr 7 (1948 r.).

*) Dla ścisłości: piastowcy zdobyli tam wtedy nie 7 mandatów, ale 5, a 2 zdobył ks. Czuj dla Str. Katolicko-Ludowego, które zresztą też weszło w skład Chjenopiasta.

**) Dubiel Gabriel, nauczyciel gimnazj., jeden z organizatorów „Piasta" i jego pierwszy sekretarz generalny.

***) Mowa tu o endeckiej tajnej „Lidze Narodowej", której członkowie związani byli przysięgą. Rozwiązała się ta Liga podobno w 1936 r.

****) Maciej Czuła „Ks. Stan. Stojałowski", „Wieś", nr 42, 1946 r.

*) Rzepeccy „Sejm i Senat 1922—27".

**) T. Nocznicki „Prawda o bezpartyjności".

A teraz po tylu latach dalszych doświadczeń dowiadujemy się, że „endecja dla ludowców nigdy groźną partią nie była". I to po niedawnym doświadczeniu z Mikołajczykiem, którego „oślich uszu reakcjonisty-endeka" wielu ludowców tak długo nie dostrzegało!

CHŁOPSCY PAMULARZE

P. Lasocki w dalszym ciągu pisze o kurii średniej własności. Można całą rozprawę napisać o kurii średniej własności, ale to nie przesądzi sprawy, nie zmieni faktu, że nie spór o tę kurię był przyczyną rozłamu. W poprzednim artykule powołałam się na pierwszy po rozłamie numer „Piasta", który wskazywał jako przyczynę rozłamu zapowiedź Rady Naczelnej, że odtąd „PSL pójdzie razem z socjalistami i postępowcami". A teraz przytoczę uchwały Rady Naczelnej z dnia 13 grudnia 1913 roku, jak je dosłownie przedrukowało wówczas „Zaranie". (P. Lasocki przypuszczalnie na tym posiedzeniu Rady Naczelnej obecny nie był, bo już przedtym znalazł się poza obrębem stronnictwa, ale uchwały jej są mu pewnie znane).

W sprawie nas interesującej, t. j. w sprawie reformy wyborczej: „Rada Naczelna cofa



Ksiądz Stojałowski

wszelkie ustępstwa w sprawie reformy wyborczej na rzecz wielkiej własności, żąda od sejmu uchwalenia czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego bez kurii wirylistów i protestuje przeciw petryfikacji dzisiejszych przywilejów obszarów dworskich i przeciw połączeniu obszarów dworskich z gminami według obecnego projektu rządowego".

Jasne, że przeciwników kurii średniej własności, petryfikacji przywilejów obszarów dworskich i rządowego projektu połączenia obszarów dworskich z gminami — ta uchwała mogła zadowolić i nie dawała im powodu do rozłamu. (Czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze wyklucza wszelkie kurie, oprócz kurii wirylistów, którzy nie są wybierani. Dlatego uchwała zastrzega się osobno przeciwko tej kurii). Więc jednak nie „spór o kurię średniej własności" był przyczyną rozłamu.

Tym, co dbali o radykalny charakter stronnictwa i nie chcieli kompromisów, zadość czyniły następujące uchwały:

„Rada Naczelna uznaje, że jedynie drogą walki z rządem i reakcyjnymi (wstecznymi) żywiołami w kraju P.S.L. jest w stanie urzeczywistnić swój program ludowy".

„Rada Naczelna uznaje, że polityka tak narodowa jak społeczna PSL musi być niezależną od wstecznych żywiołów w Kole Polskim i od rządu". „Rada Naczelna uznaje, że co się tyczy sojuszów politycznych, to reprezentacja PSL zgodnie ze swoimi zasadami winna zawierać sojusze tylko ze stronnictwami postępowymi".

Ale Rada przyjęła także uchwały dotyczące wewnętrznych spraw stronnictwa:

„Rada Naczelna PSL uznaje, że odłam posłów stronnictwa, skupiających się około tygodnika „Piast" (wydawany przeciw Stapińskiemu) umożliwia tylko zwycięstwo reakcji i że odłam ten nosi cechy reakcyjne".

„Rada Naczelna wyraża naganę Białemu i Rejowi z powodu ich stanowiska w delegacjach, niezgodnego z programem PSL i połączonego z pokrzywdzeniem ludu".

„Rada Naczelna uznaje, że minister Długosz, jako reprezentant PSL, nie działał zgodnie z interesami tegoż stronnictwa, przeciwnie działał na jego szkodę przez ignorowanie prześladowania ludowców przez rząd i reakcyjne sfery, oraz przez intrygi wśród posłów, przeciwnych posłowi Stapińskiemu".

Ze swej strony p. min. Długosz „wyliczył, ile on to pieniędzy na wybory wydostał od rządu i dawał Stapińskiemu na jego partię, **mówiąc że to on sam daje...** *) i t. p., czyli, że Stapiński jest zaprzedany rządowi".

W rezultacie Rada uchwaliła: „Rada Naczelna wyraża posłowi Stapińskiemu za jego stanowisko w polityce dzisiejszej pełne zaufanie, jako też podziękowanie za 25 lat uciążliwej służby dla ludu".

*) Patrz „Pamiętniki" Ign. Daszyńskiego t. II, str. 133 (podkreśl. moje).

Wówczas zapewne posłowie „Długoszowcy" wyszli z sali, a Rada w ostatniej rezolucji uchwaliła wykreślić ministra Długosza ze stronnictwa.

Podając rezolucje uchwalone przez Radę Naczelną w Rzeszówie, dodaje „Zaranie" od siebie:

„Tak więc oszczercy i rozbijacze jedności i w tym i siły ludowej—przez sam lud, przez Radę Naczelną stronnictwa zostali potępieni; ze 150-u obecnych wyszło 19 posłów: Rejów, Długoszów, Angermanów, Kędziorów i t. p. oraz chłopów pamularzy **). Lud zrozumiał tam, że gotował się wielki zamach na jego wolność i prawa i odparł go z godnością, a stanowczo".

„Rząd z panami polskimi i biskupami uplanował sobie unieszkodliwić ludowców dla swoich zamiarów i swojej polityki. Plan taki powzięli wtedy, gdy Stapiński zapowiedział, że w imieniu ludu będzie dlań żądał szerokich praw: głosowania powszechnego na posłów do Sejmu, zmiany systemu podatkowego, obciążającego głównie lud i t. d. Rząd tedy z panami polskimi postanowili unieszkodliwić Stapińskiego, a zatem i ludowców, a ku temu użyli Długosza, ministra Zaleskiego, innych Rejów, Kędziorów i t. d." („Zaranie" Nr 51, 18.XII.1913 r.).

Co jest dla ludowca miarodajne, ob. Czuła? „Olbrzymia większość posłów", czy olbrzymia większość Rady Naczelnej? Tym bardziej, że wówczas ludowcy, zahukani tyloletnim krzykiem o „chamstwie" posłów chłopskich „bez uzdolnienia, bez znajomości niemieckiego języka" itd. — wybierali w większości na posłów nie ludzi swoich najlepszych, tylko „wykształconych" i wygadanych.

PIENIĄDZE RZĄDOWE

Długosz, człowiek bogaty, w ciągu 5 lat swego członkostwa w stronnictwie ludowym nieraz dawał pieniądze na różne potrzeby stronnictwa, za co mu też nieraz Rada Naczelna dziękowała; aż wreszcie, w celu utrącenia Stapińskiego, zaczął opowiadać, „ile to on pieniędzy na wybory wydostał od rządu i dawał Stapińskiemu na jego partię, mówiąc, że to on sam daje". To właśnie nazwałam szantażem, oczywiście ze strony Długosza, a nie Średniawskiego, jak to chce wmówić swoim czytelnikom p. Lasocki. Można też nazwać to nie szantażem, o prowokacją.

Daszyński, który sprawę tych historii z pieniędzmi rządowymi przedstawił w parlamencie, opowiada w swoich „Pamiętnikach", jak to zainterpelowany premier, hr. Stuergkh, przyznał, że dał p. Jaworskiemu „dla Stapińskiego 80.000 kor. na kupno „Kurierka", ale oświadczył, że p. Stapiński mógł nie wiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze" (pos. Jaworski zaofiarował Stapińskiemu pożyczkę 80.000 kor.).

Te austriacko - galicyjskie historie o pieniądzach rządowych, które przekupywały człowieka bez jego wiedzy, mogą niejednemu nasunąć dziwne myśli, szczególniej w noc bezsenną, albo w innej wolnej chwili. Na przykład: co by to było, gdyby Długoszowi pomieszały się w kieszeni pieniądze i dałby na wydanie tygodnika „Piast" właśnie pieniądze rządowe? Ale „Zaranie" z tamtych czasów podaje, jakoby minister Długosz dawał Stapińskiemu na stronnictwo pieniądze swoje, tylko potem zwracał je sobie z funduszów rządowych. W takim razie rzeczywiście na „Piasta" przypadałyby pieniądze rządowe. I jak wobec tego byłoby z tą togą... z togą świętego oburzenia cnotliwych panów z „Piasta"?

O sprawie Poppera Daszyński pisze: „Później wyszło też na jaw, że nafciarz baron Popper za pośrednictwem Długosza dał obu posłom 45.000 koron za popieranie jego spraw. Przynajmniej na tyle opiewał kwit p. Długosza, chociaż p. Stapiński twierdził, że otrzymał tylko 25.000 na cele stronnictwa".

Więc Długosz, jako minister dla Galicji, przysłużył się Popperowi, który przez wdzięczność dał mu 45 tys. kor. na stronnictwo i otrzymał od Długosza kwit. Ale Długosz dał Stapińskiemu tylko 25 tys. kor., a resztę zachował, czyżby dla siebie? Czy też... na fundusz „Piasta"?

Daszyński pisze dalej: „... Izba wniosek uchwaliła i 20 grudnia 1913 r. tow. Diamand i ja położyliśmy ministra rodaka (t. j. Długosza — R.). Nie śmiał nawet pokazać się w Izbie i podał się bez zwłoki do dymisji. P. Długosz jednak w rezultacie rozbił potężne PSL na dwie części, a sam jako bogacz i człowiek „silnych nerwów"... przetrwał ten upadek wcale nieźle".

Więc parlament po rozpatrzeniu sprawy potępił Długosza. Czy posłowie piastowcy, tak wrażliwi na punkcie moralności, wyciągnęli z tego konsekwencje? Nie, mocno stali przy Długoszu, a usprawiedliwiali to w swoim piśmie takim argumentem:

„Własnoręczne pismo cesarskie:

„Kochany Długoszu („Lieber von Długosz") uwalniam Pana w łasce, na Pańską prośbę. z urzędu mego ministra z uznaniem dla Pańskich usług, spełnianych z wiernym oddaniem się".

„Pismo to świadczy najlepiej, że wszelkie zarzuty podnoszone przeciw osobie i urzędowaniu min Długosza są zwyczajnym oszczerstwem. Najjaśniejszy Pan bowiem nie wyraziłby się z uznaniem o swym ministrze, gdyby na to nie zasługiwał" (Piast Nr 1 rok 1914).

**) Pamuła — papka dla pojenia cieląt. „Pamularze" — chłopi, których zjednali sobie panowie papką i czapką.

Argument rzeczywiście niezbity i o długotrwałym działaniu, bo zapewne pomógł Długoszowi zostać później senatorem w Polsce. I teraz jeszcze może to pod jego wpływem p. Lasocki w dyskusji stara się oszczędzić Długosza, wpychając wszędzie Średniawskiego, a ob. Czuła, oszczędzając Długosza, kaleczy cytaty z „Pamiętników" Daszyńskiego. Chociaż raczej przypuszczam, że ob. Czuła pisał swoje cytaty z pamięci i dlatego są zniekształcone.

Ale p. Lasocki powiada: jakże, przecież Stapiński wówczas na Radzie Naczelnej w przystępie szczerości i skruchy sam przyznał, że sprzedawał interesy stronnictwa, prawa ludu itp. I odsyła nas. p. Lasocki do artykułu Witosa p. t. „Co dalej" w Nr 2 „Piasta" z 1913 r., gdzie o tym przystępie szczerości jest mowa. Otóż w artykule „Co dalej" autor z ubolewaniem wielkim opowiada, jak to ogromna większość Rady Naczelnej stronnictwa ludowego, „ludzie, którzy za kwiat tego ludu powinni być uważani" przyjęli oklaskami i okrzykami „brawo" słowa Stapińskiego, gdy ten mówił: „sprzedawałem was i interesy stronnictwa, łączyłem się na waszą szkodę z konserwatystami, sprzedawałem wasze prawa, walałem się w błocie i korupcji itd".

Mnie się zdaje, że każdy kto zna choć trochę publicystykę chłopską tamtych czasów i komu nie zależy specjalnie na przedstawieniu Rady Naczelnej stronnictwa ludowego jako zdeprawowanej bandy, zrozumie od razu, że w słowach Stapińskiego była ironia, którą sala w lot podchwyciła i przyjęła oklaskami. Ironią posługiwali się ludowcy często i rozumieli ją doskonale. Przykładów możnaby dać bez liku, gdyby miejsca na to starczyło. Oto np. piszą ludowcy spod Lanckorony do „Przyjaciela Ludu" w korespondencji p. t. „Szkoda marudzić" (w r. 1908): „Wszystkie prawie stronnictwa wołają, że Stapiński sprzedał panom ludowców. Tego nam, Lanckoroniakom, za mało, przeto radzimy naszym wrogom nie marudzić, tylko w najbliższym numerze umieścić, jak zwykle co następuje: „Stapiński okradł Bank Parcelacyjny i uciekł do Ameryki"... I za to ogłoszenie z góry dziękujemy. Lanckoronianie". Zresztą sam autor artykułu „Co dalej" nie gardzi ironią. Cóż tam czytamy? „Prezes Stapiński zwyciężył... Rada Naczelna PSL w Rzeszowie uchwaliła mu pełne votum zaufania, a potępiła stanowisko jego przeciwników. Takie wiadomości przyniosły pisma łaknącym wieści czytelnikom; niektóre zaś dodały, że zwyciężyła prawda i miłość nad obłudą i nienawiścią. Czytaj to ludu i rozkoszuj się! Wszak przecie odniosłeś zwycięstwo, które uratowało **ideę od deprawacji, postęp od zalewu reakcji i wstecznictwa**". (podkreślenie „Piasta").

Gdyby przeciwnicy piastowców posługiwali się ich metodami, mogliby przez lat przeszło 30 opowiadać: „Witos w przystępie szczerości sam przyznał, że potępienie grupy „Piasta" przez Radę Naczelną PSL w Rzeszowie było zwycięstwem ludu, zwycięstwem które uratowało ideę od deprawacji, postęp od zalewu reakcji i wstecznictwa..."

Tak więc, ob. Czuła, te wszystkie prowokacje z pieniędzmi rządowymi nie były przyczyną rozłamu, ale jego skutkiem. Rozłam zapoczątkowany był o wiele wcześniej i z poważniejszych przyczyn.

SOJUSZ Z BURŻUAZJĄ

Ob. Czuła opowiedział nam, że ówczesnego „Piasta" „faktycznie redagował w mieszkaniu posła i późniejszego ministra dr Fr. Bardla... dr Gagatek, któremu później za rozmaite nadużycia Sądy odebrały doktorat". Ten dr Bardel, to też był gagatek, któremu później Sady za rozmaite nadużycia odebrały tekę ministra itd., ale nie o to chodzi. Gdy na parę lat przed rozłamem zarysowały się różne kierunki w łonie Rady Naczelnej stronnictwa, dr Bardel był rzecznikiem kierunku, który na pytanie z kim mają się łączyć chłopi w swojej walce — odpowiedział: z burżuazją miejską. To pozwala nam łatwiej zrozumieć właściwą przyczynę rozłamu. Gdy 13 grudnia 1913 r. większość Rady Naczelnej uchwaliła: ze wszystkimi ludźmi pracy — na lewo, większość posłów uparła się przy swoim: z burżuazją — na prawo. Ale dla przeważającej niezmiernie masy chłopów żyjących z własnej pracy sojusz z burżuazją (zrośniętą u nas ściśle z obszarnictwem) był czymś tak nienaturalnym, że prędzej czy później tym, co ciągnęli w ową stronę, rwały się postronki, łamały dyszle i musieli wracać po nowe. Ale dlatego też praca tych piastowców, o których pisze ob. Czuła, że pracowali z oddaniem i poświęceniem, nie poszła na marne, bo raz rozbudzone masy prędzej czy później znajdowały swoją drogę. Dowodem może służyć r. 1935, kiedy zjednoczone Stronnictwo Ludowe przyjęło program, zapoczątkowany niegdyś tylko przez zaszczutą i oplutą garstkę stapińczyków — PSL - Lewicę.

Na pytanie ob. Czuły, kto stał na czele PSL w r. 1907 i 1911 — odpowiadam. W r. 1907 na czele PSL stała oczywiście Rada Naczelna, a prezesem był Henryk Rewakowicz, redaktor „Kuriera Lwowskiego". W październiku 1907 Rewakowicz umarł, a Kongres 8.III.1908 r. wybrał na prezesa dr Szymona Bernadzikowskiego. Na kongresie w r. 1910 wybrano na prezesa Stapińskiego. Gdy w r. 1907 podniesiono w stronnictwie myśl łagodniejszej polityki, Stapiński był początkowo temu przeciwny.

Odpowiadając w dalszym ciągu dyskutantom, czyż mam tłumaczyć p. Lasockiemu, że w zdaniu: „z wyborów endecy otrzymali 9 mandatów zamiast poprzednich 14, ale zato mieli wzmocnioną bazę w Klubie ludowców" — słowo „zato" nie oznacza ani „przez to", ani „wskutek tego że", tylko: „na pociechę" „powetowali sobie" i powinno się to „zato" pisać razem, ale trudno dopilnować tego. Dalej: jeśli Komisja Likwidacyjna była rządem koalicyjnym, to jednak na czele tego rządu stał Witos i ważniejsze resorty obsadzone były przez długoszowców. Dlaczego mamy uważać, że sojuszu piastowców z endecją wtedy nie było, jeśli na wybory wystawili w zachodniej Galicji wspólną listę? Bodaj też było wówczas publiczną tajemnicą, że Rączkowski, Tetmajer i Witos są członkami „Ligi Narodowej". To, co pisze p. Lasocki o składzie i działalności Pol. Komisji Likwidacyjnej, wiadome jest z jego „Wspomnień szefa administracji PKL", tylko tam skarży się on na posła Stapińskiego, którego wystąpienia były „rozdźwiękiem w PKL", i który w swoim „Przyjacielu Ludu" (z grudnia 1918 r.) żądał wywłaszczenia bez odszkodowania dóbr wielkiej własności i kościelnych i przejęcia lasów dworskich i księżych na własność państwa.



Jan Stapiński

WIEŚ SPOKOJNA

Jest w tych „Wspomnieniach" także w pewnym miejscu odsyłacz, który czytelnika odsyła do „Pamiętników włościanina" Słomki. A Słomka, konserwatywny włościanin, tak opisuje ówczesny powiat Tarnobrzeski: 114.000 morgów ogólnego obszaru, z czego 78.000 (w tym 56.000 lasów) należało do dworów tj. do 10 właścicieli, a tylko 36,000 do drobnych gospodarstw, których było 14,000, przy tym w powiecie brak fabryk czy innych przedsiębiorstw. Ludność w tym powiecie uspokojono siłą przy pomocy żandarmerii i wojska. Lotna kompania żandarmerii przeszła kolejno cały powiat od wsi do wsi, przeprowadzając rewizje i wymierzając kary 25 — 50 kijów na człowieka. I dodaje: „Podnoszono skargi, że sprowadzona żandarmeria i wojsko dokonywała egzekucji bezwzględnie, bijąc jednych za rabunki, innych by wydali broń i wyjawiali winnych oraz rekwizując żywność dla siebie. Opowiadano, że w ten sposób zostało ukaranych 4.000 chłopów, a kilkunastu zabito". To tylko w jednym powiecie. A było ich więcej. Zbyt systematyczna robota, żeby to mógł być „odruch rozdrażnionego wojska" i zbyt długo trwała, żeby szef administracji nie miał na to żadnego wpływu. Widać w tym metodę, a jest taki świadek, co bardzo tę metodę chwali i podaje jej motywy. Stary obszarnik z Niwisk, koło Kolbuszowy, Jan Hupka, były wydawca „Roli", wieloletni zawzięty wróg chłopów galicyjskich, poucza w r. 1937 rządy sanacyjne, że z powodu wielkiej nędzy na wsi, kara więzienia nie jest odpowiednia dla chłopów. „Przeciwnie — niejeden z nędzarzy wzdycha do tego, by się — zwłaszcza na zimę — dostać do więzienia... I jest rzeczą wielce charakterystyczną — pisze dalej Hupka — że w pierwszych latach odrodzonej Polski, w ostatnich miesiącach r. 1918 i w pierwszym półroczu r. 19-go, kara chłosty była w Polsce administracyjnie bardzo szeroko stosowana i to z bardzo dodatnim skutkiem. Pamiętam dobrze, że gdy w mojej okolicy trzeba było odbierać przechowywane po chałupach karabiny, potrafiono je odebrać tylko grozą i wykonaniem chłosty. Podobnie bito za rabunki, a w r. 1920 i za przechowywanie dezerterów"*)

Oto strzęp prawdy o tragicznych zmaganiach ruchu ludowego (tego prawdziwego) z wrogimi ludowi wpływami. Wszak ten ruch, który reprezentowali nie prawicowcy, kierujący naówczas „Piastem", lecz chłopi bici kijami przez żandarmerię p. Lasockiego, ten ruch **lewicy ludowej** zwyciężył. Tego ruchu historia powinna być napisana. A wtedy spoza zasłon wyłoni się prawda o wielkiej sile, rewolucyjnej i twórczej, polskiego ludu wiejskiego, który uparcie łamał i w końcu złamał zapory, stawiane mu przez fałszywych przyjaciół na drodze do ludowej demokracji.

Rozalia Rybacka

*) J. Hupka „Z czasów wielkiej wojny" — dodatek z 2.II.1937 r.

Wojciech Kacper

KONSERWATYZM CHŁOPSKICH RADYKAŁÓW

(z protokółów zebrań słuchaczy Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie)

Leżą na moim biurku — „Księga protokółów" i „Kronika" czwartego kursu męskiego Mazowieckiego Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie Skierniewickim z lat 1938/39. Z zalatujących stęchlizną pożółkłych kartek, które w ziemi przetrwały okupację niemiecką, przeziera niedawna głuchowska przeszłość: rysuje się biały murowany domek z gankiem kamiennym i dwa po jego bokach rozsiadłe drewniaki. Tuż obok nich schylona, z rozwalonym dymnikiem chałupka pachciarza z przed lat 80-ciu, zamieniona na przedszkole dla chłopskich dzieci. W najbliższym sąsiedztwie Spółdzielnia Spożywców, kościół, mleczarnia, karczma i buda dworcowa kolejki wąskotorowej Rogów — Biała Rawska. Biały domek z kamiennym gankiem i dwa drewniaki mieściły w latach 1937-9 uniwersytet ludowy im. Adama Skwarczyńskiego, utrzymywany z zasiłków ministerstwa Rolnictwa oraz Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W „państwowo-twórczym" planie Poniatowskiego i Jędrzejewicza uniwersytet miał odwodzić radykałów chłopskich syrenim ludomańskim śpiewem od buntu przeciw piłsudczyźnie. Towarzystwo „Przodownik Wiejski", które sprawowało opiekę nad tym uniwersytetem, za ministerialne pieniądze obdarzało go ojcowską czułością i baczyło, aby odległość między miejscową plebanią, przysłoniętą od frontu przez księżą oborę, a białym domkiem z kamiennym gankiem nie uległa broń Boże powiększeniu. Poza „Przodownikiem" czuwał nad tym również przodownik miejscowego posterunku policji, sanacyjny wójt gminy, ochroniarka, sztab tercjarek, stary pleban hodujący jedwabniki, oraz Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży.

Obrońcy głuchowskiego „dawnego porządku" piętnowali wychowanków uniwersytetu mianem komunistów. Matki czyniły im po każdym kazaniu i wizycie u siebie ochroniarki gorzkie wymówki za to, że na zebraniach w białym domku mówili o jakiejś chłopskiej Polsce bez ziemian, że odrzucali katolicką „jetykę", czytali bez zezwolenia proboszcza pogańskie książki. Chłopcy wysłuchiwali tych żalów jednym uchem, brali dziewuchy za ręce, szli na wieczornice do „uniwerku" i śpiewali aż szyby dźwięczały w plebanii i u ochroniarki nad spółdzielnią: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem..." Głuchów, pobożny, pracowity, oszczędny, proboszczowski od 1236 r., stawał się głośny w okolicy.

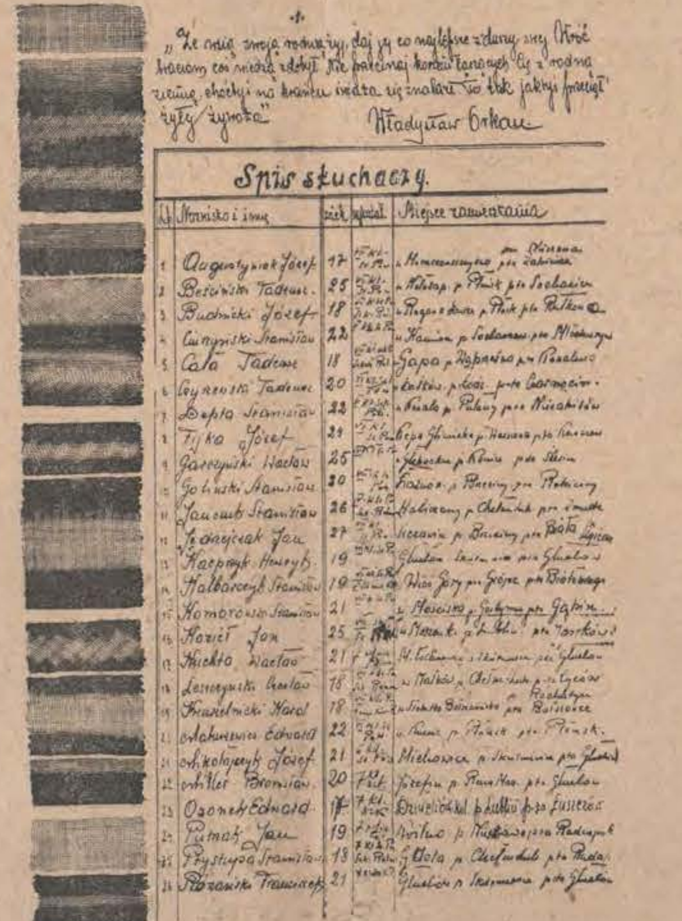
W CHŁOPSKIEJ POLSCE BĘDZIEM RADZIĆ...

Sława uniwersytetu wiejskiego w Głuchowie rosła jak na drożdżach, dzięki jego kierownikowi, kurii biskupiej warszawskiej i narodowym filarom B. B. W. R. w sejmie. Kierownik uniwersytetu głuchowskiego był oryginalnym chłopomanem. Chciał się zbliżyć do księżaków przez przybranie ich stroju, zwyczajów, nawyków. Pokazywał się każdego dnia na głównej ulicy w zabrudzonych gnojem butach, z czarnymi jak ziemia rękami, i w takim stanie wdawał się w pogaduszki z nestorami wioski, prawiąc im o chłopskiej Polsce, o wspólnej własności, reformie religii i obyczajów. Chłopi zerkali ukradkiem w trakcie wywodów na zagnojone buty jednookiego kierownika, robili znaczące miny i jeden po drugim wymykali się do pobliskiej karczmy. A w każdą niedzielę „jedwabny" pleban nie omieszkał tuż po odczytaniu ewangelii rzucić wiernym kilka uwag o panu kierowniku i jego adeptach, opierając się na doniesieniach swoich gospodyń, ochroniarki, komendanta posterunku, wójta, sołtysa i tercjarek.

Zacne matrony w pękatych wełniakach szlochały po cichu nad ślepotą synów i córek, kładły się na kamiennej posadzce i powoli zasypiały wypiąwszy pewną część ciała. Tak było prawie w każdą niedzielę. Mimo tych żalów z ambony uniwerek pęczniał, słuchaczów przybywało, sława rosła. W kurii zaczęto się denerwować, w sejmie interepelować pana Poniatowskiego i Jędrzejewicza: że komuna, że bolszewizm itp.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Hodujący jedwabniki i gospodynie proboszcz głuchowski przeszedł z rozkazu kurii do innej parafii. Na jego miejsce przysłano zdolnego ofiarnego społecznika, księdza z powołania. Poszedł również na grzybki jednooki kierownik uniwersytetu. „Przodownik Wiejski" uznał że nie umiał współżyć z plebanem, że był za bardzo czerwony, chłopomański i zbyt często zamącał sielski żywot w podwarszawskiej willi pana prezesa. Przysłano innego. Był jak tur, czerwony na policzkach, nosaty, niczym prawdziwy góral z zakopiańskiej turni. Pan prezes wiele sobie po nim obiecywał, pleban również, policja także; chłopi przy pierwszym spotkaniu wlepiali oczy w buty kierownika. Były czyste, ręce umyte, ubranie dobrze skrojone. To „pon" — wyrokowali i szli do karczmy. Ten „pon" dobrał sobie grono profesorskie i zaczął pracować. Z czerwienią na policzkach zlewała się swoista czerwień duszy. Czyżby prezes z „Przodownika" omylił się? Miejscowy organista wyczuł rychło przyjaciela. Już na pierwszej wspólnej wieczornicy zasiadł ochoczo do rozklekotanego fortepianu i zahuczał basem razem z kierownikiem: „W chłopskiej Polsce będziem radzić". Sojusz został zawarty. W każdą niedzielę organista grał na organach poważne kościelne melodie, a kierownik czytał wiejskim chłopakom i dziewczętom „Mroki Średniowiecza". Tak trwało przez cały ciąg kursu. Zarówno kierownika jak i organistę głuchowiacy uważali za komunistów.

No, ale wróćmy do właściwego tematu.



Strona 1 „Kroniki" IV Kursu MUW w Głuchowie rok 1933/39

DLACZEGO PRZYJECHAŁEM NA UNIWERSYTET?

Pytanie to postawił uczestnikom IV kursu męskiego Mazowieckiego Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie „pon" kierownik na pierwszym zebraniu ogólnym w dniu 18 października 1938 roku. Chłopców było 36, przyjechali z całej Polski. Najstarszy liczył lat 27, najmłodszy 17, najuczeńszy z nich miał ukończone zaledwie 7 klas szkoły powszechnej. Wszyscy pochodzili ze wsi i byli synami chłopskimi, wszyscy rzymsko - katolickiego wyznania.

Większość korzystała ze stypendiów wydziałów powiatowych na okres czterech miesięcy, tj. normalny czas trwania kursu. Słuchacze sami przewodniczyli i sekretarzowali na zebraniach ogólnych. Rola kierownika i grona profesorskiego sprowadzała się do obserwacji, udzielania wyjaśnień i podsumowywania wyników dyskusji. Wypowiedzi uczestników kursu nie miały cech sztuczności, były szczere, otwarte, swobodne. Przekonałem się o tym niejednokrotnie, obserwując jako gość przebieg zebrań uniwersyteckich w Głuchowie w latach 1938/39.

Dlaczego przyjechałem na Uniwersytet Wiejski? Na to pytanie odpowiedzieli wszyscy. 3/4 słuchaczy przyjechało po to, aby zdobyć więcej wiedzy i nauczyć się, jak należy organizować społecznie i gospodarczo wieś. Kilku chciało się nauczyć w uniwerku, jak można opanowywać sanacyjny samorząd terytorialny. Tylko Szczypa chciał w uniwersytecie „przede wszystkim poznać siebie, a dopiero później wziąć się do pracy organizacyjnej" i zapisywał w kronice kursu wiele mówiące słowa: „Ucz się, bo widzisz, jak u nas ciemno... Będę pracował". Słuchacz Kalbarczyk spod Białobrzegów opatrzył całą dyskusję następującą uwagą: „dla stypendystów, którzy ukończą Uniwersytet Wiejski, szkoda grosza publicznego, ponieważ zapomną o wsi, pójdą do miast, a te wiadomości, jakie zdobędą, staną się im w mieście niepotrzebne..." Prosta logika chłopska odkrywała w tym powiedzeniu najważniejszą bolączkę wsi. Uwaga Kalbarczyka spotkała się z żywymi protestami ze strony pozostałych kursistów, którzy zapewniali, obiecywali, ślubowali, iż pozostaną na wsi dla wsi.

Były to śluby panieńskie. W roku 1945 głuchowscy wychowankowie „uniwerku" podbijali Łódź, sadowiąc się w przemyśle, administracji, spółdzielczości. Głuchów pozostał bez przodowniczego narybku z proboszczem, ochroniarką, tercjarkami.

Powoli z gruzów zaczął się podnosić nowy uniwersytet, by zapełnić luki. Należałoby teraz przeprowadzić ankietę wśród uczestników kursu, w jakim celu przyjechali oni na uniwersytet w roku 1947?

> Stoją wśród deszczów i burz
> Kryjąc w swych wnętrzach lud,
> Nędzę, głód, zimno i brud
> Słomiane, sczerniałe strzechy —

pisał w r. 1939 w „Kronice" uniwersytetu Stanisław Komorowski ze wsi Mościska pod Gostyninem. W tych kilku wierszach malował rodzimą wioskę i jej dolę. Chciał ją zmienić na lepszą, jaśniejszą zbiorowym chłopskim wysiłkiem, gdy kończył swój nieudolny pod względem formy, ale jakże wymowny w treści, utwór — słowami: „...Sprawiedliwości i chleba nie wymodlisz i nie wypłaczesz, ani u wrót kościelnych nie wykołaczesz!"

Stoją i dziś jeszcze z sosnowych bali sklecone, długie szeregi chłopskich chat w każdej prawie wiosce i czekają na Komorowskich, czy przyjdą, czy też zmieszają się i znikną w gwarze miejskiego życia?

OBCHODY I DYSKUSJE — CZYLI TO I OWO

Po pierwszym zebraniu kursistów życie potoczyło się wartko naprzód. Zorganizowano samorząd z prezesem, kierownikami sekcji, czytelnią, powołano do życia spółdzielnię duńską z władzami od rady nadzorczej do kasjera i zaczęto długie wieczorne pogwarki na tematy polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne. Kierownik z ciałem profesorskim dwoili się i troili, aby słuchacze wynieśli możliwie najwięcej wiedzy książkowej i praktycznej z zakresu organizacji życia na wsi i przebudowy społeczno - politycznej państwa. Przesiadywali więc ze swymi pupilami godzinami i radykalizowali się gadaniem. Śmiał się z tego radykalizmu min. Poniatowski, chichotał w kułak pan prezes „Przodownika Wiejskiego" i wizytatorzy oświaty pozaszkolnej z ministerstwa W.R. i O.P. Śmiali się, bo było naprawdę z czego szczerzyć zęby i klepać się po udach. „Czerwony" kierownik uniwerku brał do serca „siewowe" rady pana Gierata i z pompą urządzał obchód 11 listopada oraz święcił „włodarzowe imieniny" (1.II. b. prezydenta Ignacego Mościckiego).

Zwiedzeni syrenim śpiewem sanacyjnego „Siewu", wypisywali chłopscy radykali uniwersyteccy tyrady pochwalne na cześć piłsudczyzny. Oto kilka kwiatuszków obchodowo - imieninowych, uwiecznionych pro memoria dla przyszłych chłopskich pokoleń w „Protokółach" i „Kronice" Uniwersytetu Wiejskiego.

Obchód 11 listopada w relacji słuchacza kursu Komorowskiego:

„Wielka sala Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie zapełnia się szybko ludźmi... każde miejsce nie wyłączając okien i poręczy ławek zapełnione publicznością. Wieczór jest ciemny i cichy, jak gdyby cała przyroda zasłuchana w gwar i wpatrzona w płonące przed gmachem chłopskiej uczelni znicze (czyli ognie z palącej się nafty ze spirytusem denaturowanym w wydrążonych otworach cementowej bariery ganku) co tworzyło śliczną iluminację... Kolega kierownik w różowym humorze, otoczony swymi wychowankami raz po raz rzuca jakieś uwagi pod adresem aktorów i w związku z uroczystością 20-letniej rocznicy odzyskania niepodległości (11.XI.1938)... O godzinie szóstej następuje otwarcie akademii... Na scenie bogato udekorowanej staje miejscowy działacz społeczny pan W. W swym przemówieniu mówił o roli, jaką odegrali chłopi w walkach o niepodległość i o roli, jaką tenże chłop pełni i pełnić powinien w budowie już wolnej Polski. Następnie bardzo przez nas lubiany i szanowany wychowawca kolega S. w swym przemówieniu przedstawił dzieje naszego narodu, przyczyny, z których naród polski popadł w niewolę państw ościennych oraz drogę, po jakiej się wyzwalał z pęt niewoli, wzywając również do skupienia się całego narodu ze względu na obecną sytuację polityczną.

W przerwie orkiestra gra „My, pierwsza brygada". Na sali olbrzymi tłok i duszno pomimo otwartych okien..."

Istotnie dla chłopów - gości w tak „podniosłym" brygadowym nastroju musiało być duszno pomimo otwartych okien.

A oto „włodarzowe imieniny" w relacji Stanisława Prystupy z Chełmszczyzny, pupila kierownika uniwersytetu i największego radykała w sprawach polityczno - społecznych na kursie:

„Kiedy obchodzimy czyjeś imieniny, kiedy komuś winszujemy, życząc dużo dobrego, to mimowoli myślimy o nim, zastanawiamy się nad jego wartościami, dla których życzymy mu dalszej owocnej, pięknej pracy. Widzimy w nim wówczas bliskiego sobie, nazywamy go kochanym przyjacielem naszej doli i niedoli. Nic dla nas wówczas nie znaczą jego rangi, dygnitarstwa, a widzimy w nim człowieka i jego ducha i serce. I dziś, kiedy jako gromada chłopska w naszej „uczelni" obchodzimy Jego imieniny, to jako człowieka z sercem, człowieka wielkiego nie stopniem, a duchem, a tym co on zrobił. Tak jest — prof. Ign. Mościcki — to wielki człowiek, polityk i naukowiec i to razem łączy z wielkim poważaniem człowieka pracy. Jego wielki czyn, to stworzenie przemysłu chemicznego w Polsce, to wielkie zakłady chorzowskie, to dalsza praca niestrudzona w swoim laboratorium. To długie gazdowanie tak mądre, tak wielkim gospodarstwem jak Polska. Boć pan Prezydent obejmuje swym gazdowaniem wszystkie warstwy społeczne. **Iluż to ludzi w ciężkich chwilach życia** i swego działania przychodzi do Niego po radę? Niejednokrotnie bierze w obronę tych, którzy zostają w niełasce u innych „sfer rządzących". Krzepi ich w wytrwaniu, sprawiedliwie sądzi. Bo rządzi nie tylko rozumem, ale i sercem.

To też nasza gromada wraz z całym personelem wychowawczym przygotowała się, aby godnie uczcić jego pracę i życzyć mu jak najowocniejszych wysiłków w dalszej drodze (do Zaleszczyk?), w dalszym rządzeniu. Na uroczystość obchodu imienin zaprosiliśmy wieś całą, aby razem z nami przeżyła chwile życzeń dla Dostojnego Gazdy. To też z chwilą rozpoczęcia uroczystości, tj. o godz. 6.30 wieczorem sala nasza, udekorowana odświętnie z portretem Dostojnego Solenizanta na honorowym miejscu, wypełniona była po brzegi. Wieczornicę tę rozpoczęliśmy hymnem narodowym „Jeszcze Polska nie zginęła" i pieśnią życzeniową: „Włodarzu naszej ziemicy serdeczną przyjm życzeń dań, już Ci ją wiatr do stolicy przynosi". Następnie jeden z kolegów (Budnicki) mówi o całej działalności Pana Prezydenta, o jego życiu. Zadumały się twarze ludzi, a zarazem radość wstąpiła na twarze, że mamy na naczelnym stanowisku tak wielkiego człowieka.

...Kończymy nasz wieczór życzeniowy hymnem ludzi wolnych: „Oto staje nas wolnych gromada, budowniczych tworzących swój świat." Zapewniając Dostojnego Włodarza, że jego pracę tak wielką podejmują wszyscy wolni chłopi, że dołożą cegiełkę trwałą do budowy tak wielkiego dzieła jak potężna, sprawiedliwa Polska, dla jakiej pracuje nasz Włodarz — Pan Prezydent Rzeczypospolitej."

Można pogratulować „Przodownikowi Wiejskiemu" tych osiągnięć na niwie chłopskiej. O chłopska naiwności, niezmierzona w swej czołobitności przed sanacyjnym „włodarzem"! Chciałbym teraz rozmówić się z najradykalniejszym prymusem uniwerku, Stanisławem Prystupą, i dać mu do przeczytania wspaniałą satyrę Minkiewicza o granicznym moście w Zaleszczykach. Chciałbym również zerknąć w twarze chłopskich usypiaczy — poniatowszczyków. Zadowoleni?

Do jakich wyników prowadził ten system kształcenia narybku przodowniczego na Uniwersytecie Wiejskim w Głuchowie może nas dostatecznie przekonać szczera, bezkrytyczna relacja kursisty Janka Kozieła z lubelskiego, przelana na kartki „Kroniki" tuż po obchodzie „włodarzowym" tj. 14 stycznia 1939 r. pt.:

„Moje pragnienia."

„Dawnym moim pragnieniem było udać się do wiejskiej uczelni. Kiedy w roku 1932 zwiedziłem Uniwersytet Wiejski w Szycach, dowiedziałem się od kierownika... jaką rolę spełnia ta chłopska uczelnia, oraz może spełnić w życiu wsi, wypuszczając każdego roku grono wychowanków. Na tych wiadomościach zaczerpniętych oraz z obserwacji nad pracą wychowanków uniwersytetu wiejskiego przekonałem się, że te placówki mają rację nie tylko bytu, ale też rozwoju i szybkiego pomnażania... Czytając prasę młodzieżową, a przede wszystkim „Siew Młodej Wsi", miałem możność przeglądać wzmianki o Głuchowie. Naczytałem się nieraz nie tylko o samym uniwersytecie, ale też o tej wsi Głuchów, o jej życiu organizacyjnym, o tych już zdawna działających placówkach, jak również o jej ludności współpracującej z miejscowym uniwersytetem, dlatego też nabrałem dla tej wsi pewnego kultu. Dlatego też wybrałem sobie Głuchów, a nie inny (uniwersytet), chociaż miałem pewne dane i o Gaci. Bo przecież Gać też uniwersytet ludowy, a nie jakiś ziemiański. Lecz czy to wypada, jeżeli Gać ma wpływy wiciowe, a ja przecie „Siewiarz", więc nie wypada... Jak chciałem być gaciakiem to mi mówiono, że

nie pokazuj się w „Siewie", gdyż będziesz antypaństwowcem i kandydatem do więzienia; jak znowu głuchowiakiem, to były nawet i takie podejrzenia, że stanę się ozonowcem. Troszkę temu wierzyłem i nie wierzyłem... Po tym wszystkim opuściłem moją wieś Moszenki, jadąc do Głuchowa. Zjeżdżają się i inni koledzy, zapoznajemy się, pyta jeden drugiego: jakiego wyznania, skąd przybył i jaką ideę chwali? Odpowiadają sobie wzajemnie: ten taką, ten owaką. Nareszcie wyciągam wniosek, że przyjechali moi koledzy i ja z nimi do Głuchowa nie po to, żeby uczyć się demagogii i po powrocie w teren prowadzić robotę rozbijacką, ale po to, aby wykuwać swoje charaktery i wyznawać Wspólną i Wielką Ideę Ludową. Pan Kierownik T. na swych wykładach, na naszych zebraniach i dowolnych pogawędkach stara się nas zwaśnionych nieraz pogodzić, chociaż niektórzy na początku kursu twardo się trzymali swych poglądów. Po tych moich obserwacjach przekonałem się, że uniwersytety wiejskie nie służą dla „Siewu", „Wici", czy innej organizacji wyłącznie, a tylko dla wszystkich działaczy wsi. Po pewnym już pobycie na kursie przekonałem się, że ta wieś Głuchów nie jest taka ładna, jak ją malowali. Bo w tej wsi jest życie zwaśnione i rozbijackie, a jej placówki to niezagojone i przestarzałe wrzody".

Janek Kozieł podejrzał rzeczywiście słabe strony tak zachwalanej organizacji głuchowskiej, nie spostrzegł jednakże tego, że uniwersytet, nie służąc „Wiciom" ani „Siewowi", tak wspaniale wprzęgał się w rydwan sanacyjnego obozu rządzącego. Opium ludomańskie poniatowszczyzny działało bez zarzutu! Chłopski salon w Głuchowie, niwelując różne poglądy polityczno-społeczne wśród kursistów, tworzył z nich posłuszną gromadkę, z którą pan kierownik i zespół profesorski wyrabiali, co im tylko zalecono z „Przodownika Wiejskiego."

„UCZYŁ MARCIN MARCINA", CZYLI POŻYTECZNA DYSKUSJA NAD OWENEM I MAŁŻEŃSTWEM

Po załatwieniu się z obchodami ciało pedagogiczne przystąpiło do organizowania pogadanek połączonych z dyskusją zbiorową, na tematy społeczno-gospodarcze i polityczne. Nacisk szczególny położono na zagadnienie spółdzielczości na wsi, oraz na ogólną przebudowę struktury społeczno-politycznej państwa polskiego. Słuchacze na podstawie dostarczonej przez profesorów lektury opracowywali pewne tematy samodzielnie i odczytywali je na zebraniach ogólnych. Nad całokształtem i poziomem dyskusji czuwał z reguły kierownik. Oto fragment takiej pogaduszki o Owenie w dniu 15.12.1938 r. (Protokóły).

„...Kol. Ozonek wygłosił referat pt. „Życiorys i całokształt Owena". Kol. Kierownik powiedział, żeby zacząć od pytań i, że Ozonek dobrze opracował referat... Kol. Fijka (zaznaczył), że robotnik nie mógł kupić, co zrobił i widzimy, że kapitaliści wyzyskują robotników. Kol. Szydłowski — że i teraz nie mają lepiej robotnicy. Kol. Kruk (pyta), że jak zakładał (Owen) spółdzielnie, co on miał na celu? Kol. Ozonek mówi, że miał na celu bronić robotników przed wyzyskiem. Kol. Depta zapytuje się, w którym to roku było; Ozonek odpowiada, że w końcu 17 wieku na początku 18 (!!) A Depta, że już przeszło wiek minęło i nic się nie poprawiło i mówi, że musimy my młodzi o to się dopominać. Pan lustrator (spółdzielni spożywców) wrócił się jeszcze do Owena, że Owen zaczął coś nowego i to był pionista (pionier). I dał przykład, że w dawnej Grecji pionier Ikar, pasąc bydło widział, jak ptaki fruwają i on naprzyklejał sobie gęsich piór i fruwał, a gdy słońce mocniej zagrzało i klej puścił, Ikar spadł na ziemię... Twierdzą ci, co nie chcą oświaty ludu: widzieliście jak spadł Ikar, tak i wy spadniecie... My młodzi powinniśmy brać się (mimo to) do czynu i skupić małe siły w jedną organizację, a nikt nas nie złamie."

Uzupełnieniem tematyki spółdzielczej były referaty o „Tkaczach Roczdelskich" i o „Fourierze". Miały one na celu podtrzymanie w kursistach przeświadczenia o słuszności i potrzebie spółdzielczości na wsi. Bez względu na formę i poziom wypowiedzi referatów i słuchaczy — nie były one bez znaczenia dla zespołu dyskusyjnego Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie.

Od ruchu spółdzielczego dokonał pan kierownik niebyle skoku w tematyce — przeszedł mianowicie do omawiania życia rodzinnego na wsi. 8.2.1938 r. słuchacz Depta ze wsi Kowala koło Puław wygłosił referat pt. „Rodzina, czyli o małżeństwie". Treści referatu protokólant nie zanotował, ograniczył się wyłącznie do zebrania wypowiedzi w dyskusji. Oto jej fragmenty:

„...kol. Serzysko wyjaśnił nam, że małżeństwo na wsi nie ma uświadomienia a zarazem podziału pracy i zrozumienia (między sobą)... Stwierdził nam, że głównym trzonem w rodzinie jest matka i ona ma wpływ na dzieci i na męża"... „...kol. Goliński przytoczył fakty, że młodzi pobierają się w nierównym wieku, oraz to, że rodzice przymuszają do zawarcia małżeństwa.." „Kol. Ozonek w odpowiedzi Komorowskiemu, który mówił o małżeństwie jako dyktaturze jednostronnej męża bądź żony, zaznaczył, że wielka demokracja prowadzi do rozłamu w małżeństwie..." „Kol. Miller przedstawił nam wczesne pobieranie się i dowodził, że z tego wywodzi się dziadostwo i bezrobocie". Podsumował wyniki kierownik, wypowiadając się za równouprawnieniem w małżeństwie męża i żony, za doborem uczuciowym a nie majątkowym, jeśli związek ma być trwały i szczęśliwy.

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA, CZYLI O KONSERWATYZMIE CHŁOPSKICH RADYKAŁÓW

Podsumowaniem niejako osiągnięć ideologicznych słuchaczy IV kursu Uniwersytetu Wiejskiego była dyskusja nad referatem Kazimierza Szydłowskiego p. t. „Przebudowa Polski na drodze ewolucyjnej czy rewolucyjnej", wygłoszonym w dniu 24 lutego 1939 r.

W dyskusji tej wypowiedzieli się prawie wszyscy kursiści. Oto jej przebieg z pewnymi skrótami:

„Referat wygłosił kol. **Szydłowski.** W dyskusji kol. **Pietrzak** mówi, że robotnik jest więcej uświadomiony aniżeli chłop na wsi.

Kol. Tęsiorowski zapytuje jaka jest droga do ewolucji? Kol. Szydłowski — najlepszą drogą jest oświata i spółdzielczość.

Kol. **Prystupa** mówi, że on popiera stanowisko kol. Szydłowskiego, że stanąłby na drodze ewolucji, a nie rewolucji, bo naród jeszcze nie dorósł do stanowiska rewolucji.

Kol. **Depta** — rewolucją prędzej się rozstrzygnie sprawę chłopską aniżeli ewolucją. Chociaż się rząd zmienił, ale chłopom nic się nie polepszyło, jak tak dłużej będzie, to najlepsze talenty, które są w chłopach, wyginą marnie.

Kol. **Rogóż** — (wypowiada się) za ewolucją, a nie rewolucją; bo wiemy co nam przyniosła rewolucja francuska, ale gdybyśmy nie mogli ewolucją, to trzeba rewolucją.

Kol. **Komorowski** — zajął stanowisko po stronie ewolucji; z rewolucji mamy przykłady w Rosji: zdobyli władzę, a nie umieją rządzić (!)... trzeba oświaty i polityki, że jak każdy chłop będzie miał szkołę i uświadomienie, to prędzej będzie można wystąpić do ewolucji, że w rewolucji nię będzie się bił chłop z magnatem, ale chłop z chłopem.

Kol. **Ozonek** — Jakie wyniki dała Rewolucja Francuska? 10 lat była i tak zostały rządy dyktatorskie!

Kol. **Czyżewski** — Najlepiej będzie, jak staniemy na drodze ewolucji, a nie rewolucji, bo przy rządzie jest wojsko, a wtedy będzie bił brat brata.

Kol. **Cała** — On stoi po stronie ewolucji, za rewolucją pójdzie tylko Galicja, a pozostałe części nie.

Kol. **Depta** — mówi, iż niekoniecznie rewolucją można zdobyć (władzę), ale nawet strajkiem można wywalczyć sobie prawa.

Kol. **Cała** — Strajk rolny jest niedozwolony, a po drugie, co jest nam winien proletariat miejski i mieszczanie...

Kol. **Pietrzak** — mówi, że kol. Depta staje na stanowisku, aby wstrzymać przywóz produktów rolnych do miasta, a przecie i wieś potrzebuje produktów miejskich...

Kol. **Depta** — (przyciśnięty do muru w dyskusji, jedyny zwolennik metod radykalnych w walce o prawa chłopskie, przyznaje), że nie stoi przy tym, aby mieszczan gnębić.

Kol. **Kierownik** — w krótkości wyjaśnił nam, że nie można stanąć na stanowisku ewolucji, czy rewolucji, bo to zależy od uświadomienia społeczeństwa; to są poglądy, które ścierają się ze sobą odkąd istnieje życie ludzkie".

Jeden radykał chłopski — Depta na trzydziestu paru kursistów i do tego zmuszony do zmiany swego stanowiska! Drugi „czerwieniec" Prystupa, słuchając wypowiedzi swych kolegów, nawet się nie odezwał. Zabawa w salon chłopski nie była zatem groźna dla sanacji nawet wówczas, gdy jego uczestnicy, finansowani głównie przez wydziały powiatowe i organizacje młodzieżowe siewowe czy wiciowe, od czasu do czasu zakłócali plebanowi i komendantowi posterunku spokój gromkim śpiewem: — „Gdy naród do boju wystąpił z orężem". Głuchów był na radykalizm chłopski głuchy.

„SIEW" I „WICI" W RELACJACH KURSISTÓW

W lutym 1939 roku w obecności Kazimierza Maja z Warszawy, członka Zarządu „Przodownika Wiejskiego", miała miejsce ożywiona dyskusja nad referatem słuchacza kursu Czesława Leszczyńskiego spod Chełma p. t. „Dlaczego jestem Siewiarzem? Dlaczego jestem Wiciarzem?

„Kol. Różański (oświadcza), że nie podoba mu się praca w „Siewie", zarzuca jej, że nie było tam równości; że rządzący zarząd nie zwracał uwagi na wszystkich członków; zjazdy czy teatry urządzał tylko z wybrańcami, odrzucając gromadę. Dlatego wystąpił z „Siewu", pisząc się do „Wici". Brak ducha gromadzkiego, demokratycznego zarzucał „Siewowi" również Depta; w „Wiciach" natomiast widział radykalizm i zdecydowaną postawę ludową. Na wstąpienie Szydłowskiego do „Wici" wpłynął ten fakt, że w tej organizacji skupiali się liczni pisarze i poeci ludowi. Najkapitalniejszą motywację swego przystąpienia do „Wici" podał Rogóż. Oświadczył on mianowicie, „Że jest zawsze z tymi, co wiecznie krytykują i stoją w opozycji".

Tylko jeden z dyskutujących podkreślił straty, jakie ma do zanotowania chłop polski z osłabienia ruchu ludowego wskutek zwalczania się wzajemnego organizacji wiejskich, i wypowiedział się za wytężoną pracą, zgodną i budującą, opartą na zasadach prawdziwie demokratycznych.

SŁOWA... SŁOWA

Jaką wagę przywiązywali do tych głuchowskich dyskusji mecenasi ludowi z „Przodownika Wiejskiego" i jakie rzucali hasła słuchaczom uniwersytetu im. A. Skwarczyńskiego? „Kronika" kursu uwieczniła ich wypowiedzi, zaopatrzone własnoręcznymi podpisami:

„Korzystając z miłej, serdecznej gościny w Mazowieckim Uniwersytecie Wiejskim, składam Wychowawcom i Młodzieży najgłębsze życzenia, by w tej chłopskiej uczelni rozjaśniały się i poszerzały się wiejskie umysły, rozgrzewały się serca i hartowały się młode charaktery — a w ciężkich trudach, przy przebudowie życia wsi niech Wam przyświeca ta pociecha, że nie tylko sami jesteście młodzi, ale i warstwa chłopska, z której pochodzicie jest młoda, ma historyczne życie przed sobą. Więc warto żyć, trudzić się dla przyszłej Polski, która musi być Polską chłopską czy ludową.

Głuchów, 28 stycznia 1939 r.

Jędrzej Cierniak"

Czy mogły się w uniwersytecie głuchowskim zahartować młode charaktery i rozgrzać serca pragnieniem Polski Ludowej? Czy atmosfera ideologiczna, jaka tam panowała, sprzyjała wyrabianiu się w słuchaczach demokratycznej chłopskiej osobowości?

Sądzę, że nie trudno znaleźć na te pytania odpowiedź po uważnym przeczytaniu „Protokółów" i „Kroniki".

„Polska Chłopska powstanie przez umysły i serca nasze" — pisał w „Kronice" uniwersyteckiej Kazimierz Maj bezpośrednio po wysłuchaniu wypowiedzi kursistów w dyskusji nad referatem o „Siewie" i „Wiciach".

Można przypuszczać na podstawie tej notatki, że wpływowy reprezentant władz „Przodownika Wiejskiego" był zadowolony z osiągniętych wyników w uniwersytecie głuchowskim.

A co pokazała najbliższa przyszłość?

W czasie okupacji niemieckiej nie powstał w obwodzie głuchowskim, w którym było i działało kilkunastu wychowanków uniwersytetu, ani jeden oddział Batalionów Chłopskich z ich udziałem. Chłopcy konspirowali, byli czynni, ale w innych formacjach pod komendą oficerów ze „Strzelca", czy P. W.

Po odzyskaniu niepodległości prawie wszyscy byli słuchacze uniwersytetu głuchowskiego wstąpili do mikołajczykowskiego PSL i byli tam bardzo ruchliwi. Dopiero od pewnego czasu następuje powoli zmiana na lepsze: odwrót z fałszywej drogi, zwrot plecami do usypiaczy chłopów.

Zrozumiał słuszność i celowość takiego zwrotu również były kierownik „uniwerku" głuchowskiego, ale dopiero po trzech latach rozmyślań.

Wojciech Kacper

Roman Bratny

W I E R S Z E



Roman Bratny

M A J

Defilada. Wojsko. Przybij!
Równy rząd podeszew w górę!
Patrzcie — to wyprasowane mapy plastyczne ziem zdobytych
— zelówki cienkie, prawie dziury,
ale marszami uwolnione olbrzymie karpackie góry.

Wiosna. Każdy listek gałąź sobie zarzuca na plecki
i biegnie rozpromieniony.
Wiatr trzepotał słoneczny.
1 Maja dowiedziono wiosny.
W pochodach udział bierze każdy nierozstrzelany robotnik.

Pochody miną. Wieczór. Teraz pod niebem czerwonym
coś na chwilę zabłyska — żołnierz podnosi rękę —
srebrny orzełek — guzik — maleńka manierka.
z której niebo pociąga robotniczej Polski.
Kto i tego nie widzi, niech przeciera oczy.

A jeśli oczy przymkniesz w dalekim Rzymie
to nawet nagi posąg dyskobola
na to tylko potężne napręża ramiona,
by dwa palce przyłożyć do daszka, choć nie ma.
Jeśli tego nie widzisz — na obczyźnie nie płacz.

A u nas pojutrze maj trzeci.
Tańczmy. Ta melodia, to podkasany smyczkiem
nasz sztandar narodowy — mazur trzepocze i leci!
Zresztą możecie i z murzyńskiej melodii rozwinąć
naszych par polskich tysiąc. Tańczmy. Kraj nie zginął.

Z E S T R O N

Uderzeniami serca
z 4 stron świata zbijałem kołyskę
dla dzieci wieku, który po mnie przyjdzie,
gdy mnie ostatni już grom z ziemi zegna.

Myślałem:
z ostatnim zejdę gromem, zniknę
— a przyjdzie słońce i oczy śmiechem zapali,
— taką mieć chciałem nad grobem gromnicę.

Stoję na czarnej ziemi i postarzały wiatr
czoło mi wichrzy.
Ile to innych ziem mieszkało w komórkach źrenicy
nim oczy ku mnie polnym chabrem otworzył świat

Mówiłem:
wszędzie ojczyzna gdzie źle,
gdzie nienawidzieć trzeba bo tak każe miłość.

A teraz tu stoję, gdzie powszedni chleb
o człowieka się modli zbyt dojrzałym żytem
i gdzie słońce czeka
by się w oczach zapalić radośnie człowieka.
Tu stoję. W ojczyźnie której dożyłem.

Sierpień 1945

Romuald Lesiakowski

Trzy lata chłopskiego wysiłku

OD JEDNEGO SPOJRZENIA

Przed miesiącem minęły 3 lata od chwili, gdy w ostatnich dniach grudnia 1944 roku grono działaczy na Kongresie Chłopskim w Lublinie powołało do życia Związek Samopomocy Chłopskiej. Jest to czas wystarczający, aby pokusić się o ocenę dotychczasowych poczynań, o zbilansowanie osiągniętych rezultatów, o wskazanie bolączek i niedomagań, o skonfrontowanie wkładów pracy z osiągniętymi rezultatami. Jest to także dostateczny czas, aby na podstawie zdobytych doświadczeń i nagromadzonych materiałów nakreślić plan pracy na przyszłość, aby wytyczyć perspektywy dalszego rozwoju Związku.

Związek Samopomocy Chłopskiej powstał w okresie wielkich przemian społeczno-politycznych, uwarunkowanych wynikiem zwycięsko zakończonej walki z hitlerowskim okupantem.

Związek Samopomocy Chłopskiej brał czynny i wybitny udział w dokonywaniu się tych przeobrażeń w szczególności i przede wszystkim, co wynika z natury rzeczy, na odcinku wiejskim.

Jest to pierwszy etap w rozwoju i pracach Związku, etap prac organizacyjnych, okres poszukiwania właściwych dróg i rozpracowywania koncepcji, okres wykreślania struktury i form organizacyjnych Związku. Jest to jednocześnie okres wytężonej walki z trudnościami i realnej, choć nie zawsze w ramy przemyślanego planu ujętej, pracy.

Do osiągnięć Związku w tym okresie zaliczyć należy utworzenie na terenie całego kraju jednolitej sieci organizacyjnej na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym.

Daje to w sumie ponad 3.500 ogniw organizacyjnych na wymienionych szczeblach.

Związek ujął też w swych ramach organizacyjnych ponad 25.000 gromad, zrzeszając tym samym w swych szeregach przeszło milion członków.

BILANS — „AKTYWA"

W związku z odbywającą się w tej chwili właśnie przebudową struktury spółdzielczej w kraju i spowodowanymi tym zasadniczymi i głęboko sięgającymi zmianami szczególnie na odcinku wiejskim, godzi się poświęcić parę słów wkładowi pracy i dorobkowi Związku w tej dziedzinie.

Naszym zadaniem, naszą ambicją była przebudowa nietylko organizacyjna, ale i społeczno-kulturalna wsi przez spółdzielczość samopomocową. Spółdzielczość w warunkach demokracji ludowej stać się może niezastąpioną formą powiązania planowej działalności gospodarczej państwa, z gospodarką drobnych indywidualnych gospodarstw, niezastąpioną w podnoszeniu tych gospodarstw na wyższy poziom organizacji i techniki produkcji. Cel ten spółdzielczość może osiągnąć na odcinku wiejskim przez należyte zorganizowanie z jednej strony zaopatrzenia wsi w artykuły przemysłowe, z drugiej przez ujęcie w swe ręce skupu artykułów rolniczych.

Ponadto spółdzielczość wiejska winna ująć w swe formy organizacyjne przetwórstwo rolnicze, które przed wojną było jednym z narzędzi wyzysku ze strony obszarnictwa, a w rękach spółdzielczości może się stać instrumentem wyrównania różnic ekonomicznych między biedną i bogatą częścią wsi.

Wykonanie tak zarysowanych zadań przekreślało zgóry zarówno istniejący stan organizacyjny spółdzielni na wsi, jak i statutowy zakres ich działania.

Istniejące w liczbie ca. 4.000 — spółdzielnie powszechne na wsi obejmowały swym asortymentem tylko artykuły spożywcze, a więc z zupełnym wykluczeniem takich artykułów jak nawozy sztuczne, cement, wapno, żelazo, blacha, uprząż, gwoździe, a więc artykuły gospodarstwa rolnego. Oczywiście nie było też mowy o zorganizowaniu skupu artykułów rolniczych, o prowadzeniu przemysłu rolnego czy zakładów usługowych.

Nie spełniało też tych zadań kilkaset spółdzielni rolniczo-handlowych nastawionych na handel detaliczny, wysokie zyski i na obroty jedynie z bogatszą częścią wsi.

W tych warunkach Związek Samopomocy przystąpił do organizowania nowego typu spółdzielni zwanych Spółdzielniami Gminnymi Samopomocy Chłopskiej o wielokierunkowej działalności, uwzględniającej w swym statucie zarówno organizację zaopatrzenia chłopskiego gospodarstwa rolnego i domowego, jako też skup artykułów rolniczych i prowadzenie zakładów przetwórstwa rolniczego.

Prace nad tworzeniem i organizowaniem zarówno Związku jak i Spółdzielni Gminnych rozpoczęliśmy w czasie szalejącej jeszcze wojny i bandyckich wyczynów różnych watah spod znaku NSZ i WIN-u oraz przy akompaniamencie zaciekłych ataków reakcji.

Mimo wielu i z różnych stron narzucających się trudności Związek Samopomocy Chłopskiej w omawianym okresie czasu zdołał zorganizować:

2.300 spółdzielni gminnych
84 spółdzielni powiatowych
114 spółdzielni innych typów (branżowych)

Łącznie 2.493 spółdzielnie.

Spółdzielnie te prowadzą we własnej administracji:

3.400 resztówek
42 kopalnie torfu
925 młynów
160 gorzelni
55 mleczarni
184 piekarnie
32 olejarnie
13 przetwórni owocowych
5 octowni
7 browarów
5 iecznie
2.370 sklepów
90 cegielni
69 tartaków
420 ośrodków maszyn rolniczych
224 innych zakładów.

Razem więc ponad 8.500 różnych zakładów.

Spółdzielnie te w/g danych z lipca ub. roku zrzeszały ponad ½ miliona członków.

Zwiększa się w szybkim tempie wysokość obrotów spółdzielni S. Chł. I tak: jeśli w roku 1946 przeciętna obrotów na jedną naszą spółdzielnię wynosiła 600 tys. złotych, to w roku 1947 przekoczyła 2,500.000, a więc obserwujemy 4-krotny wzrost obrotów.

Wzrosły też znacznie fundusze własne spółdzielni, wykazując na koniec roku 1946 ca 170 milionów złotych. Nie mniej są one w dalszym ciągu za niskie i wytężyć musimy wszystkie siły, zmierzając do ich podwyższenia.

Skoro jestem już przy obrotach pragnę podzielić się spostrzeżeniem charakteryzującym dodatnio działalność spółdzielni S. Chł. Jeśli mianowicie zwrócimy uwagę na udział wódki w obrotach poszczególnych spółdzielni to stwierdzimy, że: miejskie spółdzielnie spożywców na

miesięczne obroty w kwocie 2,400,000.000,—
wykazywały obrót wódki na
sumę . . . . 1,000,000.000,—
spółdzielnie wiejskie spożywców na . . . . . . 550,000.000,—
miały obrót wódki . . . . 104,000.000,—
spółdzielnie S. Chł. na . . 600,000.000,—

wykazywały obrót wódką w kwocie paru milionów złotych.

Nie mniej w obrotach spółdzielni S. Chł. stwierdzić należy za niski, bo wynoszący zaledwie 10% udział handlu zbożem i znikomy, bo wynoszący zaledwie 4 do 5% obrót artykułami przeznaczonymi dla gospodarstw rolnych. Jest to objaw niezdrowy i musi być przez nas zwalczany.

Taki jest, w dużym skrócie ujęty, bilans prac Związku S. Chł. na odcinku spółdzielczym.

Jeśli w stosunku do innych zagadnień poświęciłem mu nieco więcej miejsca, to dlatego, że w momencie zachodzących zmian dobrze jest zdawać sobie sprawę z wnoszonego dorobku, choćby dla celów porównawczych w przyszłości, aby mieć miernik osiągniętych na pewnym etapie czasu rezultatów.

Dużym też wysiłkiem i jednocześnie osiągnięciem ze strony naszego Związku było przejęcie przez spółdzielnie gminne ponad 3.400 resztówek. Okres miniony, aż do dnia odejścia Mikołajczyka z Min. Rolnictwa był okresem permanentnej walki o ustalenie podstaw prawnych ich przejmowania, o wydanie rozporządzenia wykonawczego do dekretu z 12.6.47 r. o powołanie Komisji Szacunkowych, o ustabilizowanie notarialne tytułu własności. — Walczyć zresztą musieliśmy z Ministerstwem i podległymi mu urzędami o każdą resztówkę z osobna, a na resztówce o każdy młyn, browar czy cegielnię. Ten stan rzeczy z konieczności odsunął na plan drugi uporządkowanie ewidencyjne i gospodarcze resztówek. Dopiero pod koniec roku ubiegłego byliśmy w stanie przeprowadzić ich inwentaryzację w wyniku czego, poza dużym materiałem ewidencyjnym mogliśmy przystąpić do uporządkowania stanu prawnego i gospodarczego resztówek. Przed paroma dniami ukazało się zarządzenie Ministerstwa o powołaniu Komisji Szacunkowych, wkrótce zaś ukażą się dyrektywy i wytyczne Zarządu Głównego Z. S. Chł. odnośnie zagospodarowania resztówek.

Z innych prac Związku wymienić należy wysiłki i starania Związku dla uzyskania kredytów zarówno dla indywidualnych gospodarstw, jak kredyty siewne, nawozowe, na zakup pogłowia, na odbudowę, jak i kredyty dla spółdzielni zarówno obrotowe, jak i inwestycyjne. Związek opracował plan inwestycyjny dla kilkuset spółdzielni S. Chł na ogólną sumę 750 milionów zł.

W formie krótkiej wzmianki wskazać należy na prace Związku, zmierzające do organizacji skupu zboża, przeszkolono w tym kierunku ponad 700 spółdzielców, na zorganizowanie eksploatacji torfu przez kilkadziesiąt spółdzielni, na organizacje spędów dla skupu zwierząt rzeźnych.

BILANS — „PASSYWA"

Dla pełności obrazu przejść z kolei należy do strony biernej naszego bilansu, do przeglądu braków, niedociągnięć i niepowodzeń naszych wysiłków, oceniając je z punktu widzenia organizacyjnego, politycznego i gospodarczego. Przegląd taki jest konieczny, abyśmy mogli wysnuć właściwe wnioski z naszej dotychczasowej pracy, a co za tym idzie znaleźć właściwe metody i środki dalszego działania.

1) Niedostateczne pogłębienie prac Związku wyrażające się w niedostatecznej bezpośredniej pracy instrukcyjnej na wsi.

2) Niedostateczna opieka nad najliczniejszą warstwą wsi tj. chłopem mało i średniorolnym.

3) Uleganie na odcinku gospodarczej działalności na wsi naciskowi elementu reakcyjnego (kapitalistycznego).

4) Niedostateczny udział w pracach Zarządów gromadzkich i gminnych przedstawicieli biedniejszej części wsi

5) Niedostateczna w stosunku do ogółu wsi ilość członków Związku i spółdzielni gminnych.

6) Nie zawsze właściwy kierunek działalności spółdzielni S. Chł., zbaczanie na tory kramikarskie, w pogoni za zyskiem.

7) Tendencja Zarządów terenowych do bezpośredniego administrowania obiektami gospodarczymi, zamiast przekazywania ich spółdzielniom.

8) Częste wypadki, że spółdzielnie S. Chł. zamiast prowadzić walkę interwencyjną ze spekulacją, zachowywały się biernie lub, co gorsze, same uprawiały spekulacyjną gonitwę za zyskiem.

9) Uleganie niesłusznemu ekonomizmowi w szukaniu wyjść z trudnych sytuacji w pogoni za szukaniem środków i źródeł zarobku oraz dublowanie pracy instytucji gospodarczych, Ministerstwa Rolnictwa i R. R., Ministerstwa Przemysłu itp. zamiast szukania wyjścia w akcjach społecznych i gospodarczych, wypływających z potrzeby zdobycia zaufania szerokich mas chłopskich, jak organizowanie ośrodków maszynowych setkami niszczejących maszyn i narzędzi rolniczych na resztówkach, zainteresowanie się działalnością spółdzielni budownictwa wiejskiego, sprawiedliwą wymianą towarową, zakupem nawozów sztucznych doborem asortymentu towarowego, godziwą marżą zarobkową itp.

10) Szukanie dogodnych źródeł zarobkowych ze szkodą dla realizowania państwowego planu gospodarczego (zakupy towarów kosmetycznych zamiast włączenia się do skupu zboża).

c) Niedostateczna praca organizacyjna, brak aktywności szczególnie Zarządów powiatowych i gminnym, marazm kół gromadzkich, brak jakiejkolwiek sprawozdawczości i nie docenianie, a nawet lekceważenie jej znaczenia, a przede wszystkim brak żywego organizacyjnego powiązania z terenem oraz nieznajomość potrzeb terenu.

j) Zabagniona gospodarka finansowa, brak poczucia odpowiedzialności za ten stan rzeczy u kierownictwa Oddziałów, niedostateczna kontrola, niezorganizowanie należytej księgowości, szczególnie na szczeblu powiatowym

k) i najważniejsze niedostateczna praca nad podniesieniem wydajności produkcyjnej rolnictwa.

Poważne osiągnięcia polityczne, społeczne, organizacyjne i gospodarcze Związku świadczą o tym, że bezwzględną większość w naszych szeregach stanowią ludzie jasno i wyraźnie stojący na gruncie zgody i solidarności narodowej, ustroju Polski Ludowej.

W pracy naszej zarysowały się dwie tendencje, dwie cechy, które wywierały swój wpływ na działalność Związku, które też nadawały mu specyficzne zabarwienie.

Pierwsza — wynikająca nietyle z politycznych co z organizacyjnych tradycji wszelkich ruchów chłopskich — to żywiołowy, ekspansywny, rzadko planowany i konsekwentny w wykonaniu styl pracy, starający się objąć wszystko co chłopskie, co ze wsią związane, bez względu na siły i możliwości realizacyjne.

Druga — to tendencja biurokratyczna, usiłująca narzucić organizacji społecznej jaką jest Związek, tok i styl pracy urzędów i Ministerstw. To posługiwanie się korespondencją, instrukcjami, okólnikami, dyrektywami i regulaminami, kosztem bezpośrednich, osobistych i jak najbliższych kontaktów z terenem.

Obydwie te tendencje są z gruntu fałszywe i niesłuszne. Obydwie uniemożliwiają ścisły organiczny, a tak w pracy społecznej i gospodarczej ważny, kontakt bezpośredni, rozluźniają więzy organizacyjne z zarządami gminnymi i gromadzkimi, a więc z naturalną bazą naszej działalności. Uważamy, że zamiast tych dwóch tendencji, należy wprowadzić jeden, ale prowadzący do celu kierunek. Jest nim **przemyślany plan pracy i kontrola jego wykonania.**

W PLANIE ŚWIATOWEJ I POLSKIEJ SYTUACJI EKONOMICZNEJ

Potrzeby Państwa, potrzeby społeczeństwa są zawsze wyrazem określonej w czasie i miejscu sytuacji ekonomicznej i politycznej kraju. Jakżeż się ukształtowała i jak się ukształtuje obecna nasza sytuacja gospodarcza i polityczna i jakie czynniki wpływają na formę i sposób tego ukształtowania się.

W wyniku paroletniej wojny z hitlerowskim najeźdźcą jesteśmy obok Związku Radzieckiego krajem najbardziej zrujnowanym ekonomicznie, krajem, który obok strat materialnych, poniósł największe ofiary w ludziach. Zdawało się, że Polska ten najbardziej niezłomny sojusznik, liczyć może na pomoc ze strony niedawnych sojuszników. Przyjmowaliśmy, jako rzecz poniekąd samo przez się zrozumiałą, zapewnienia ze strony Anglii i Ameryki o pomocy w odbudowie naszego zniszczonego kraju. Niestety, rzeczywistość niemal następnego dnia po skończonej wojnie przyniosła grutowne rozczarowanie

Mniemaliśmy, że otrzymamy pomoc od naszych zachodnich sojuszników, którzy tak hojnie między innymi obdarzali Niemcy i państwa im posłuszne. Nie mogliśmy jednak przyjąć pomocy, za którą zapłatą byłaby utrata suwerenności. Chcieliśmy pomocy na prawach równego kontrahenta.

Tej tak pojętej pomocy odmówiono nam. Nasi niedawni sprzymierzeńcy wolą palić lub zatapiać miliony ton pszenicy i kawy, niżli je dostarczyć głodującym robotnikom europejskim. Odmówiono nam kredytów, pomocy UNRRA, pożyczki w Międzynarodowym Banku Odbudowy Nasza sytuacja gospodarcza w powojennym układzie międzynarodowym stała się jasna. Poza pomocą ze strony Związku Radzieckiego możemy liczyć jedynie na siebie. Na żadną poza tym wydatną pomoc nie możemy i nie powinniśmy rachować bez lekkomyślnego łudzenia samych siebie. Wiemy, że nie możemy liczyć właśnie i przede wszystkim na pomoc ze strony tych krajów, które wzbogaciły się na ostatniej wojnie, a więc nazywając rzeczy po imieniu, przede wszystkim na pomoc ze strony Stanów Zjednoczonych. Za pomoc tę trzeba płacić zbyt drogo, bo niezawisłością polityczną i gospodarczą, wyrzeczeniem się własnej woli i prawa do podejmowania samodzielnych decyzji. Przykład Włoch, Francji, a nawet Anglii jest pouczający i niezachęcający.

Na próby monopolistów amerykańskich zepchnięcia nas do roli eksploatowanej przez nich kolonii, zrobienia z nas powolnego narzędzia ich planów imperialistycznych, na ich pragnienie zrobienia z nas pionka na szachownicy egoistycznych rozgrywek wielkiego kapitału, dał już godną odpowiedź robotnik polski wzmożonym wysiłkiem pracy w postaci współzawodnictwa, w bohaterskim przykładowym wysiłku górników Zagłębia w postaci wyścigu pracy w fabrykach włókienniczych Łodzi, Pabianic, Białegostoku, uzupełnionym wysiłkiem robotników portowych.

Osiągnięcia produkcji przemysłowej w poszczególnych gałęziach przemysłu wynoszą w porównaniu z rokiem 1937/38:

	1937 miesięcznie	sierpień 1948	%
węgiel w tonach	3.174.000	5.107.000	161
stal	122.325.	143.642	117
cement	107.426	153.046	147
parowozy sztuk	2,3	18	783
wagony osobowe i towarowe	33,2	664	2000
superfosfat ton	13.621	20.715	152
azotniak	5.675	10.175	179
tkaniny bawełniane t.	4.290	4.144	97
skóra podeszwowa w tonach	1.967	403	20

Ten ogromny wzrost produkcji przemysłowej, osiągnięcie wręcz nieprawdopodobne, jeśli uwzględnić kolosalne zniszczenie, jest widocznym znakiem i pierwszorzędnym czynnikiem stabilizacji gospodarczej kraju, jest piękną i dumną odpowiedzią robotnika i technika polskiego na zakusy panów zza Oceanu.

Niestety temu imponującemu rozwojowi produkcji przemysłowej nie dotrzymuje kroku produkcja rolnicza. — Między tymi podstawowymi gałęziami gospodarki narodowej zachodzi rażąca dysproporcja.

Jeśli teraz z kolei porównamy wydajność produkcji rolnej z 1 ha z roku 1937 z produkcją z roku 1947, to otrzymamy przyjmując produkcję przedwojenną za sto następujący obraz:

pszenica	42%
żyto	56%
owies	50%
jęczmień	46%
kartofle	56%
buraki	60%

Plony zmniejszyły się o połowę.

Niedobór głównych 4 zbóż przekracza w roku bieżącym 500.000 ton, choć przeciętna ilość ziemi przypadająca na 1 mieszkańca w Polsce zwiększyła się w stosunku do przedwojennej o 16 proc.

Przyczyna zmniejszenia się produkcji rolnej może tkwić w zmniejszonym areale upraw lub też w zmniejszeniu się przeciętnej wydajności z 1 ha.

W rozpatrywanym przez nas wypadku mamy niewątpliwie do czynienia przede wszystkim z drugim zjawiskiem. Choć bowiem w Polsce znajduje się jeszcze pewien procent odłogów, to jednak w stosunku do sytuacji przedwojennej mieliśmy pod uprawą 4 głównych zbóż 98 proc., pod ziemniakami 100 proc., a pod burakami nawet 133 procent. Dowodzi to raz jeszcze w sposób niezbity, że przyczyna niedoboru tkwi niemal wyłącznie w zmniejszonej wydajności produkcji rolnej.

Mówi się często i dużo, o nieopłacalności rolnictwa, o dużej rozwartości nożyc, o niekorzystnym dla rolnictwa kształtowaniu się wzajemnym cen artykułów przemysłowych i rolniczych. W wyniku przeprowadzonej wiosną i latem ub. roku akcji uporządkowania niezdrowych stosunków w handlu nożyce zwarły się na korzyść rolnika i stosunek cen w porównaniu z latami przedwojennymi ukształtował się następująco:

	1937/38	1946	1947
pług	100%	96%	70%
100 kg superfosfatu		95%	70%
buty		247%	277%
10 kg soli		56%	25%
10 kg nafty		249%	74%

Stwierdzić więc możemy niewątpliwie lepszą relację cen i zwieranie się nożyc. Stwierdzić jednak przy tej okazji należy, że opłacalność w rolnictwie, jak zresztą w każdej gałęzi produkcji, to nie tylko wzajemna relacja cen, lecz także wydajność tej produkcji, która niestety właśnie w rolnictwie jest bardzo odległa od potrzebnych i osiągalnych poziomów. Z przedstawionego przeze mnie zestawienia cen widać, że tylko ceny za buty wzrosły i trzeba to przyznać bardzo znacznie w stosunku do okresu przedwojennego. Lecz i tutaj nastąpi poprawa, jak bowiem zapowiedział minister Minc zostanie wzmożona produkcja skór w kraju oraz zostanie sprowadzonych z zagranicy 1,5 miliona par obuwia.

ROLNICTWO NAPRZÓD!

W produkcji rolniczej, jak zresztą w każdej innej mogą występować 3 zjawiska:

1 Poziom produkcji jest niższy od zapotrzebowania w wyniku czego zachodzi konieczność importu

2 Poziom produkcji jest równy popytowi, zachodzi wówczas moment równowagi.

3 Poziom jest wyższy od zapotrzebowania, stwarzając tym samym możliwości eksportu.

W Polsce w okresie powojennym mamy do czynienia z wybitnie szkodliwym zarówno z punktu widzenia interesów chłopa, jak i gospodarki ogólnonarodowej, zjawiskiem **niedoboru produkcji rolnej.**

Logicznym następstwem tego stanu rzeczy jest import artykułów żywnościowych. Państwo bowiem nie może dopuścić do wygłodzenia miast, co, pomijając już względy humanitarne, pociągnęłoby za sobą zahamowanie produkcji przemysłowej, a więc i głównego naszego środka płatniczego w obrotach zagranicą, jakim jest węgiel.

W interesy rolnika godzi nie tylko przyczyna t. j. mała wydajność, zmniejszająca opłacalność gospodarki rolnej, lecz i jej skutek t. j. import. Powiedzieliśmy już wyżej że niedobór zbóż wynosi 500 do 600 tys. ton, tyle więc musimy importować. W przeliczeniu na gotówkę wyniesie to 15 do 18 miliardów złotych. Za sumę tę moglibyśmy zaopatrzyć rolnictwo w 15 000 tak potrzebnych mu traktorów albo 150.000 koni albo 150—200 tys. krów.

Konieczność importu zbóż, a więc artykułów konsumcyjnych zmusza nas do wyrzeczenia się, a w każdym razie do poważnego okrojenia wwożonej ilości środków i narzędzi produkcji roślinnej, jakimi są nawozy sztuczne, traktory i maszyny rolnicze.

Przedstawiona sytuacja określa w sposób jasny i niedwuznaczny. stojące przed rolnictwem zadanie na najbliższą przyszłość. **Jest nim zmobilizowanie wszelkich wysiłków i środków zmierzających do podniesienia wydajności produkcji rolniczej z każdego ha ziemi uprawnej, jest walka z resztą odłogów.**

Aby podnieść wydajność z ha nie trzeba kosztownych inwestycji i urządzeń, niedostępnych dla nas w obecnym stanie zniszczenia kraju.

Musimy sięgnąć do środków tak prostych, że aż często i dlatego przeoczanych, a tak masowych przy zastosowaniu, że już przez to samo posiadających pierwszorzędny ciężar gatunkowy.

a) W zespole tych środków jednym z najważniejszych będzie racjonalne przechowywanie oraz zwiększenie produkcji obornika, będącego podstawowym, bo dostarczającym próchnicy, nawozem dla ziem słabszych. Obornika produkujemy i używamy o połowę mniej niż przed wojną. Zwiększenie masy obornika uzyskamy przez racjonalne odżywianie pogłowia, zaprowadzenie kompostów, stosowanie jako ściółki niesłychanie chłonnego torfu włóknistego. Rekonstrukcja istniejących lub budowa nowych gnojowni, a przynajmniej racjonalne przechowywanie obornika zwiększy jego jakość. Złe przechowywanie nawozu od 1 krowy powoduje stratę równą 1 workowi 16 proc. saletrzaku. Koszt budowy gnojowni wynosi ca 8.500 zł., a więc amortyzuje się w ciągu 1 roku.

b) Drugim środkiem jest walka z chwastami przez podorywki, wyrywanie i palenie oraz staranne czyszczenie ziarna przed siewem.

c) Jak największe stosowanie nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych, a w związku z tym organizowanie ośrodków maszyn rolniczych.

d) Przestrzeganie i wprowadzanie w życie dekretu o sąsiedzkiej pomocy.

e) Propagowanie i stosowanie nawozów sztucznych.

f) Organizowanie zrzeszeń branżowych, mających przecież na celu planowanie w rolnictwie, podnoszenie jego poziomu, a więc wydajności przez stosowanie racjonalnych i równoczesnych zasad uprawy, przez zorganizowanie zaopatrzenia w potrzebne narzędzia i maszyny.

g) Stosowanie w jak największej mierze siewu rzędowego, nie dopuszczenie żeby choć jeden siewnik nie był w pełnej mierze wykorzystany.

Omawiając sprawę podniesienia wydajności nie sposób pominąć zagadnienia organizacji wymiany, a przede wszystkim zaopatrzenia wsi w artykuły gospodarstwa rolnego. Nie potrzeba dowodzić, że wszelkie zaburzenia, wszelkie nieprawidłowości w obrocie odbijają się natychmiast na produkcji. Omawialiśmy już wyżej zadania jakie Związek stawia spółdzielczości, należy zwrócić szczególną uwagę na unifikację spółdzielni spożywców ze spółdzielniami gminnymi. W tej dziedzinie Związek Samopomocy Chłopskiej nie przejawia dostatecznej aktywności i zainteresowania. Należy zwrócić baczną uwagę na próby trwonienia majątku włączonych spółdzielni spożywców.

Drugim przedmiotem szczególnego zainteresowania Związku winny być Powiatowe Związki Gosp. Spółdzielni Gminnych, posiadających dla spółdzielczości na wsi kluczowe znaczenie. Należy dążyć do szybkiej, opartej na nowym statucie i przesłanych instrukcjach reorganizacji spółdzielni rolniczych na Związki Powiatowe. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na odpowiedni dobór ludzi do władz Związku. Ludzi posiadających obok kwalifikacji moralnych i społecznych jednocześnie kwalifikacje fachowe.

Trzecim niezwykle ważnym odcinkiem naszej pracy jest tworzenie ośrodków maszyn rolniczych.

Obok powyższych naczelnych zadań stojących przed Związkiem należy dążyć do:

a) umasowienia i podniesienia poziomu społeczno - politycznego Związku,

b) do usprawnienia pracy organizacyjnej, zwiększenia dyscypliny pracy,

c) należy opracować plan pracy i przestrzegać jego wykonania.

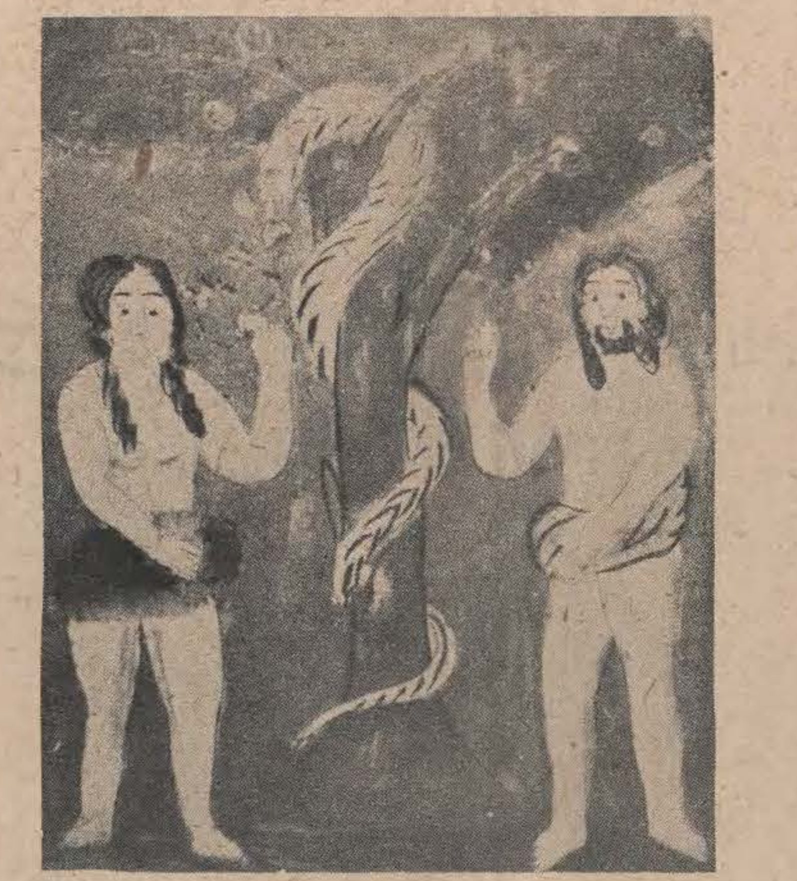
Oczywiście nakreślone tu, a stojące przed Związkiem zadania nie wyczerpują całości piętrzących się przed nami zagadnień. Nie zostały tu poruszone między innymi prace w dziedzinie kulturalnej, oświatowej i zdrowotnej. Takie omówienie całokształtu zadań przekracza ramy niniejszej pracy.

Na czoło wszystkich zagadnień wysuwa się sprawa **podniesienia produkcji rolnej.**

Romuald Lesiakowski.

Stefan Gierowski

Wystawa sztuki ludowej w Krakowie



Adam i Ewa, obraz na szkle, Spisz
Wł. Państw. Muzeum Etnograficznego w Krakowie



Genowefa i łania, obraz na szkle, Śląsk Dolny
Wł. Państw. Muzeum Etnograficznego w Krakowie

W styczniu została otwarta w Pałacu Sztuki w Krakowie wystawa: „Sztuka Ludowa w Polsce", Muzea i zbiory prywatne całego kraju łącznie z obszarem „Ziem Odzyskanych" — wypożyczyły najciekawsze z eksponatów malarstwa, rzeźby i drzeworytu ludowego.

Celowo, jak podaje wstęp do katalogu, — „wystawa rezygnuje z wszystkiego, co świadczy o zdobniczym charakterze sztuki ludowej... Chodziło o pokazanie dokonań ludu polskiego w zakresie rzeźby, malarstwa i grafiki bez względu na treść wyrażaną i to nie w świetle etnografii, jak to czyniono dotychczas, ale w świetle wartości plastycznych" — Departament Plastyki Min. Kultury i Sztuki chciał z jednej strony „zsyntetyzować wartości naszego dorobku w zakresie sztuki ludowej", z drugiej wykazać, „że na obszarze Polski dzisiejszej istnieją źródła, które zasilić mogą strumień sztuki polskiej".

Toteż, aby osiągnąć zamierzony cel z Komitetem Wystawy współpracowała Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków i Centralny Instytut Kultury. Dzięki ich szeroko zakrojonej akcji było możliwe udostępnienie wielu dotychczas mało lub wcale nieznanych zabytków.

*

Obejrzenie pięciu sal „Pałacu Sztuki" powoduje silne przeżycie estetyczne. Może najbliższe jest ono temu, które dają wystawy plastyki średniowiecznej. Stwierdza się nieprzeciętną wartość zebranych dzieł sztuki ludowej. Niemal każdy obraz czy rzeźba są skończenie doskonałe i dają widzowi radość poznania, podobną do tej, jaką odczuwamy przed arcydziełami największych artystów. Problem, który nasuwa wystawa powinien być szeroko dyskutowany. Trzeba koniecznie „odnaleźć" w historii sztuki polskiej miejsce dla twórczości artystów ludowych — trzeba, aby ta twórczość, która dotychczas łączona była raczej z etnografią zajęła należne jej miejsce w muzeach i galeriach sztuki.

Należy podziwiać i uczyć się od sztuki ludowej wymowy zestawień barwnych i logiki kompozycji wypływających z poczucia formy i koloru — częstokroć bardzo odbiegającego od logiki formy rzeczywistej. Mamy więc do czynienia z podejściem stawiającym dzieło sztuki na platformie oderwanego, dla siebie istniejącego i swoimi prawami rządzącego się świata. Szczególnie rzeźba zbliżona jest do prac artystów greckich późnego okresu archaicznego, czy też do osiągnięć artystów romańszczyzny lub wczesnego gotyku. Uderzają także analogie z prymitywami prehistorycznymi lub murzyńskimi.

Ta właśnie sztuka oddziałała na twórców kubizmu, ekspresjonizmu, futuryzmu etc. Dlatego nie jest przypadkiem, że przy patrzeniu na dzieła artystów ludowych przychodzą na myśl nazwiska Aristida Maillela, A. Modiglianiego, Henri Matisse'a, Chugall'a i Picassa z pewnych okresów. Mimowoli doszukujemy się także łączności formalnej z traktowaniem obrazu przez niektórych polskich formistów, specjalnie Tadeusza Makowskiego.

Ci wielcy i uznani twórcy sztuki nowatorskiej — nauczyli nas odnajdywać i rozumieć piękno prac artystów ludowych przez długi okres czasu uważanych za nieudolne marnoty. Zresztą do dziś nie wszyscy zwiedzający wystawę zdają sobie sprawę z tego, na co patrzą. Stąd stosunkowo niewielka frekwencja i zainteresowanie. Tkwi jeszcze w społeczeństwie niezrozumiała tendencja oceniania niżej wartości rodzimych niż obcych, zwłaszcza zachodnio-europejskich. Dlatego też często dopiero znajomość i rozsmakowanie w sztuce Zachodu dopomaga do „odkrycia" sztuki ludowej.

Różnymi drogami — bo z jednej strony usilną pracą o dużym podkładzie intelektualnym, z drugiej ścieżką uczuciowej naiwności a nawet nieumiejętności osiągnięcia zamierzonego ideału — wyniki zeszły się w momencie najwyższej plastycznej ekspresji.

Artysta ludowy, który przeciętnie tworzył na marginesie czasu poświęconego uprawie roli, bądź też kaleka lub dziadek niezdatny do pracy **wyobraźnię swoją kształtował na rzeźbach i obrazach oglądanych w kościele.** Równocześnie prymitywizm wiary narzucał mu tematykę mitologiczną. I tak jak w czasach prehistorycznych przodowały związane z kultem „idole", tak teraz rozpowszechniły się podobizny świętych chroniących, jak św. Florian od ognia, czy św. Wendelin, opiekun bydła. Stąd tak charakterystyczne podłoże religijne sztuki ludowej. Na wystawowych około 380 eksponatów może tylko 10—15 posiadało tematykę świecką jak „Janosiki" czy „Frairka Janosikowa", „Hajduk", „Wesele" i inne. Tak więc przez wpływ zabytków kościelnych, przez kopiowanie obrazów, starych miedziorytów, sztychów, — różne często dawne, minione prądy, a szczególnie czasowo rozwojowi sztuki ludowej bliski barok przedostawały się do twórczości ludowej i stopione przez naiwne odczucie stworzyły styl, określany dziś jako „sztuka ludowa". Jest to jedna z tych przedziwnych dróg historii sztuki, — która naśladowcom pozwalała przewyższyć oryginały, a nawet stworzyć przekonywującą nową interpretację. Jest w tym coś z geniusza Szekspira, który opierając na cudzej i starej treści napisał swe wielkie dramaty.

Wartości formalne, jakie posiadają dzieła sztuki ludowej — to umiejętność zestawiania kontrastów barwnych (przypominam, że P. Cézanne duchowy ojciec sztuki XX wieku wskazywał na kontrasty barwne jako na podstawę ludowego obrazu), prymitywna uczuciowość, — która podporządkowała ekspresji plastycznej formę, niezmiernie uproszczoną, (czasem ze względu na trudności techniczne), poczucie dekoracyjności (którego dowodami są wycinanki i malowanki) i swojego rodzaju horror vacui, który nakazuje wypełniać zbyt wielką płaszczyznę ornamentem. W rzeźbie ważną rolę odgrywa materiał narzucający interpretację formy. Artyści ludowi — operowali wieloma technikami. W pracach rzeźbiarskich dominuje drzewo, choć zdarza się piaskowiec i gips. Malarstwo reprezentują tempery na deskach (b. rzadkie), tempery i oleje na papierze, oleje na płótnie i wyróżniające się specyficznym urokiem obrazy na szkle rozpowszechnione w XVIII wieku do połowy XIX wieku. — Grafika jest uboższa technicznie, znajdujemy drzeworyt i metaloryt, tradycje techniczne zapewne odziedziczone po dawnym malarstwie cechowym. W ogóle ciekawe wyniki mogłoby dać zestawienie malarstwa ludowego z polskim malarstwem cechowym XVII i XVIII wieku.

Bardzo ciekawa jest skłonność do typizacji Przypomina to sztukę egipską, gdzie przez cały dwutysięczny okres jej trwania przewijały się pewne ustalone typy np. tzw. pisarz. Podobnie i tu wyróżnić łatwo ulubione kompozycje. Nie wiadomo kto stworzył typ Chrystusa Frasobliwego zwanego Dumającym, Swiętą Turbację itd. — ale powstały one w jednym ze szczęśliwszych momentów w historii sztuki.

Nowy problem nasuwa sala poświęcona współczesnej sztuce ludowej. Spotykamy tu nieustępujące dawniejszym w wykonaniu i ekspresji prace Leona Kudły (szczególnie ciekawa grupa ucieczki z Egiptu), Heleny Roj-Kozłowskiej i Zofii Roj-Szeligowej — które wznawiając tradycję malują na szkle, Jędrzeja Wawro, Franciszka Janeczko i innych. Dzieła te są tradycyjne co do formy i treści, aczkolwiek wprowadzają czasem pewne nowe elementy.

Że jednak nie wszystko jest po staremu dowodzą prace poprawnie realistyczne Wandy Goraj, Konstantego Chojnowskiego, Stanisława Kalemby i innych. Tematyka staje się bardziej świecka, widzimy chłopa, baby, widoki na Wawel — równocześnie ekspresja spada do minimum. Stajemy przed przeciętną twórczością. Artysta sięga po temat ludowy, ale traci styl ludowy. I tu napotykamy na zagadnienie: czy istnieje możliwość rozwoju sztuki ludowej i w jakim kierunku?

T. Seweryn we wstępie do katalogu wystawy napisał: „Zgromadzone w jednej sali przykłady współczesnej twórczości artystów ludowych dowodzą, że plastyka ludowa nie jest pieśnią przebrzmiałą, ale zjawiskiem żywym, dokonywującym się, trwającym".

Ale nie jest zjawiskiem oderwanym, powstaje i tkwi w kulturze, w społeczeństwie. Wszelkie przejawy życia oddziaływują na nią i pozostawiają ślad.

Postęp kultury, rozwój przemysłu, przemiany społeczne, pomyślny lub niepomyślny stan ekonomiczny — to wszystko stwarza nowy typ odbiorcy i twórcy sztuki. Przy sprzyjających podniesieniu poziomu kultury okolicznościach społecznych naiwność prymitywna sztuki ludowej nie będzie mogła mieć miejsca — a utrzymywana systemem cieplarnianym zatraci swój istotny sens, swą funkcję kulturową.

To, co powstaje dziś w dziedzinie sztuki ludowej jest po części próbą wskrzeszenia dawności, po części wynikiem zacofania wsi, a częściowo procesem zanikania wartości abstrakcyjnych na rzecz realizmu, czyli normalnym procesem rozwoju sztuki od prymitywu do komplikacji. Otóż prace tej ostatniej grupy, wydają się być zaczątkiem tzw. w Rosji Radzieckiej, „socjalistycznego realizmu". Kierunek ten nie jest jednak żadnym osiągnięciem w sztuce, metoda jego jest odtwórcza — ilustracyjna i w zestawieniu z osiągnięciami sztuki polskiej współczesnej — zacofana. Niewątpliwie jest to w Rosji pewna forma przejściowa kultywowana z przesłanek nie ściśle estetycznych, w każdym razie ten styl w sztuce ludowej nie mógłby być „źródłem zasilającym strumień sztuki polskiej".

Wydaje się, że tradycyjna twórczość ludowa będzie niezadługo należeć do chlubnej przeszłości sztuki polskiej. Nowe czasy, nowa sytuacja społeczno - kulturalna warstwy chłopskiej wymagają nowego wyrazu plastycznego. Różnice międzyklasowe będą się zacierać coraz bardziej. Trudno dziś mówić o wyodrębnionej literaturze ludowej. Przecież poezja Piętaka czy gwarą pisana proza Pogana nie mogą być przeznaczone dla jednej klasy i nie powstały w zamkniętym kole jednej wioski. Postęp kulturalno - społeczny musi doprowadzić do wytworzenia się pewnej przeciętnej odczuwania estetycznego a przez to do zaniku sztuki ludowej.

Natomiast te wartości, które ukrywają w sobie dzieła plastyki ludowej — powinny być szkołą i źródłem dla młodych artystów na równi z najwybitniejszymi wzorami wielkiej sztuki europejskiej.

Wiesław Jażdżyński

W CHŁOPSKIM GIMNAZJUM

Na międzynarodowych Kongresach Wychowania Moralnego, odbytych w 1908 i 1930 roku święciła raz jeszcze triumf, wypracowana w drugiej połowie XIX wieku pedagogika mieszczańska. Panowało, szczególnie na pierwszym ze wspomnianych zjazdów — ogólne przekonanie, że zadania i metody wychowania należy oprzeć na zasadach liberalizmu.

Mieszczańska pedagogika dziedziczyła nadal obowiązujące zdobycze nauk ekonomicznych i społecznych XIX wieku.

Klasycy kapitalistycznej ekonomiki sformułowali statyczne w swej istocie, wieczne i niezmienne, z „natury bytu" wynikające prawa życia gospodarczego.

Na odcinku teorii rozwoju społeczeństw obowiązywały podobne „wieczne" prawa wynikające także z „natury bytu". Sprecyzował je Spencer i szkoła organicystów w socjologii.

Liberalizm mieszczańskiej pedagogiki wychowawczej wyrażał przekonanie, że pomiędzy, jednostką a społeczeństwem istnieje **automatycznie** zachodząca harmonia, jako rezultat praw naturalnych, według których funkcjonuje zarówno człowiek jak i społeczeństwo. Harmonia ta zachodzi, jednak tylko wówczas, kiedy jednostka ludzka [illegible] że **„działać swobodnie po linii własnych interesów"**. W „wolnej konkurencji" wszechstronnych pragnień człowieka kształtuje się jego pełny rozwój kulturalny. Podobnie — wolność gospodarcza, jaką osiąga „homo oeconomicus", wynika z wolnej gry interesów na rynku dóbr gospodarczych i usług.

Tak więc indywidualizm gospodarczy w kapitalizmie, przerzucony na grunt wychowania młodzieży wykształcił **personalistyczną** pedagogikę, realizowaną w mieszczańskich gimnazjach ogólnokształcących. Podmiotem wychowawczym stała się jednostka jako osobny i autonomiczny rodzaj rzeczywistości kulturowej. Celem postępowania wychowawczego — ukształtowanie typu sharmonizowanej osobowości poprzez sublimację instynktów, uśmierzenie ich, pogodzenie sprzeczności w duszy jednostki z naturą bytu.

W ten sposób formułuje zadania pedagogiki personalistycznej Emanuel Mounier w „Manifeście o personaliźmie", w Polsce Sergiusz Hessen w „Podstawach pedagogiki".

Wspomniany na początku — Międzynarodowy Kongres Wychowania Moralnego z roku 1930 ujawnił już początki kryzysu mieszczańskiej pedagogiki wychowawczej. Zaznaczano coraz silniej niewystarczalność odziedziczonego po XIX wieku systemu wychowania w średniej szkole ogólnokształcącej. Dzieci średniego i bogatego mieszczaństwa wypełniające — niemal po brzegi gimnazja ogólnokształcące pogłębiały wprawdzie swoje osobiste dyspozycje umysłowe i duchowe, opanowały nawet technikę wywoływania postaw uczuciowych wobec problemu nędzy i zła, oderwane jednak od rzeczywistości idealistycznymi założeniami systemu wychowania, nie związane z określonymi zadaniami społecznymi i gospodarczymi, nie potrafiły powstrzymać procesu rozkładania się kapitalizmu, a wraz z nim i swojej mieszczańskiej grupy społecznej.

Na Zjeździe mówiono już o upadku mieszczaństwa i wraz z nim — kultury Zachodu. Zwrócono nareszcie uwagę na ostrzeżenia przywódców ludu.

Procesowi załamywania się kapitalizmu w jego ostatniej, imperialnej fazie, odpowiadał rozkład mieszczaństwa.

Ale mieszczańska myśl pedagogiczna miała i ma znacznie dłuższy żywot. Przetrwała bowiem nie tylko drugą wojnę światową, ale trwa do dziś w kraju, który usunąwszy gospodarczo — społeczne podstawy kapitalizmu, usiłuje je z kolei zwalczyć na odcinku wychowania młodzieży.

Czytelnikowi będziemy starali się pokazać w dalszych częściach naszej pracy, na przykładzie realnie istniejącego gimnazjum chłopskiego:

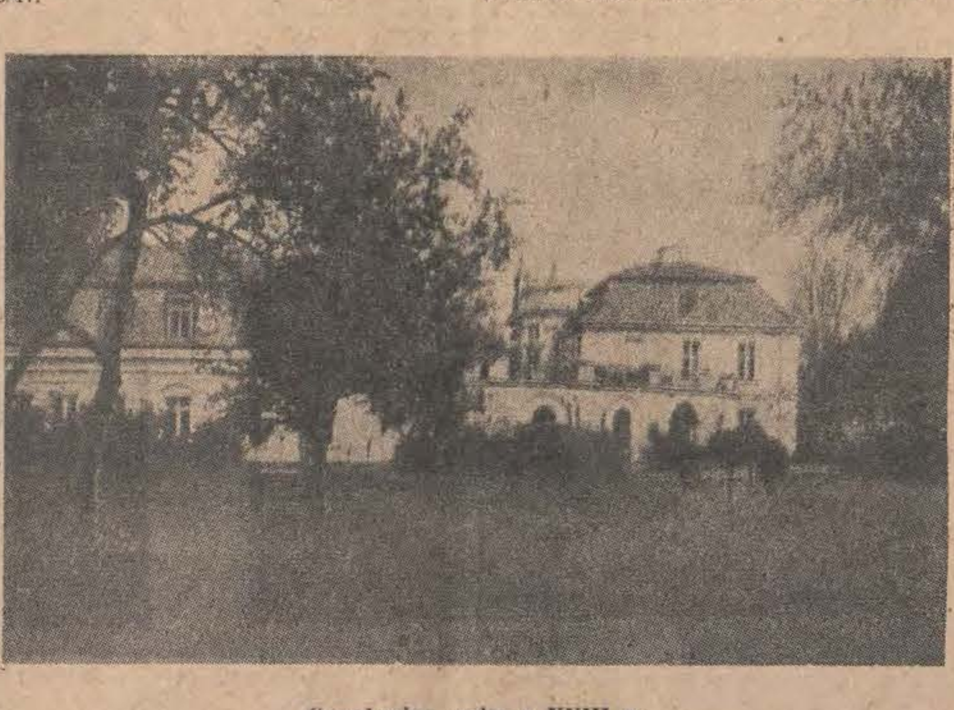
1) jakie konsekwencje społeczno - kulturalne wywołało przedłużające się w dzisiejszym Państwie Ludowym — personalistyczne wychowanie,

2) będziemy starali się pokazać próby wprowadzenia nowego, społecznego wychowania młodzieży i jego społeczno - kulturalne skutki.

I. POD UROKIEM PERSONALIZMU

a) Czysto polskie wychowanie i...

Leży przed nami księga protokółów z posiedzeń Rady Pedagogicznej gimnazjum chłopskiego w Szczekocinach, za rok szkolny 1946/47.



Szczekociny, pałac z XVIII w.

Czytamy tam (25. IX. 1946 r.): „W roku szkolnym bieżącym będzie się dążyć do stosowania takich metod dydaktycznych, które wyrabiają samodzielność myślenia i zapewniają najbardziej skuteczny rozwój osobowości ucznia... Dużą wagę przywiązuje szkoła do uczuć estetycznych, w szczególności do umuzykalnienia młodzieży... W zimie pojedzie młodzież na kurs tańców, zwróci się przy tym uwagę na tańce narodowe: kujawiaka, krakowiaka, trojaka i inne".

Jesienią tegoż roku ułożono także Regulamin szkolny. W poszczególnych paragrafach wstępu do regulaminów czytamy:

par. 2) W zakładach naukowych w Szczekocinach skupiła się młodzież chłopskiego pochodzenia. Pomna, że lud wiejski stanowi podstawę Odrodzonej Polski, zwiąże się najmocniej ze swym środowiskiem aby zarówno w czasie studiów jak i po ich ukończeniu pracą swą przodować życiu polskiej wsi""... par. 4) Miłość dla matki i siostr, podziw dla ofiarności i heroizmu Polek walczących w szeregach wojska Polskiego nakaże uczniom czcić kobietę i stanąć w jej obronie w razie potrzeby... par. 5) Swój pobyt w szkole winna młodzież wyzyskać dla wszechstronnego, harmonijnego rozwoju duszy, umysłu i ciała. Będzie więc z równą troską dbała o rozwój intelektu, uczuć, woli, zdrowia i sił fizycznych pamiętając stale, że jeszcze wyżej ponad naukę stawiać należy wyrobienie charakteru".

Oto fragmenty jeszcze jednego manifestu o personalizmie! Sformułowano go a raczej powtórzono na gruzach kapitalizmu, u progu innej już przecież „ojczyzny robotnika i chłopa" w gimnazjum, gdzie młodzież chłopska stanowiła 80%!

Dlaczego?

Wypada jeszcze tylko pokazać jak zaznaczył się w pedagogice wychowawczej fakt, że gimnazjum skupiło 80% młodzieży chłopskiej.

Odpowiedzi są dwie: 1) W skład grona pedagogicznego weszli nauczyciele z przedwojennych mieszczańskich gimnazjów ogólno - kształcących, albo wychowankowie tych gimnazjów. 2) Nie istniał żaden inny konkretnie wypracowany system wychowawczy.

Powstałe w takich warunkach ogólnokształcące gimnazjum chłopskie odwzorowywało mniej lub więcej szczęśliwie poprawne gimnazjum mieszczańskie.

Sięgnięto tu do ludomańskich wzorów wychowawczych, awansujących chłopa nie rzeczowo ale... „duchowo" w warstwę inteligencko - mieszczańską. Takie właśnie „duchowe" przechodzenie z ludu w naród, nie przeznaczające awansującemu chłopu żadnego wpływu na społeczno - gospodarczy i kulturalny układ stosunków w kraju, akceptowała w całości mieszczańska pedagogika wychowawcza.

Naszemu czytelnikowi streszczamy wykład pt.: „Psychika chłopa i jej źródła" — wygłoszony przez przedstawiciela grupy pedagogów, pochodzących z „ludu". Prelegent, opierając się na pracy W. Radwana („Kultura i Wychowanie" nr 5, 1938 r.) wyjaśnia, że chłop żyje w przyrodzie jako jej część. Łączy go z nią uczuciowy związek. Poczucie całkowitej zależności, od ślepych sił przyrody opanowało tak dalece psychikę chłopa, że nie podejmuje on nawet inicjatywy w kierunku ujarzmienia przyrody.

Chłop nie ma szerszych zainteresowań społecznych. Ale w tym życiu, w tym małym zakresie zjawisk jest jakaś głębia, jakiś dech kosmiczny, **jest biologiczna pełnia ludzkiego żywota.** Chłop stanowi dla całej kultury korzenie w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu". Jeżeli utrzymuje się jeszcze przy życiu zdegenerowany cywilizacją przemysłowo - techniczną człowiek z miasta — to jedynie dzięki dopływowi świeżej krwi ze wsi. Współczesne czasy radykalnych reform zakłóciły gwałtownie równowagę ducha młodzieży wiejskiej i mogłoby to być niebezpieczne dla kultury, ponieważ stan wykształcenia chłopa jest zbyt mały w stosunku do jego pragnień i tęsknot.

Młodzież chłopska jest słaba intelektualnie i trzeba wobec tego najpierw ją szkolić, a jak już będzie mądrzejsza — **jej zalety zorganizują się same.** System wychowawczy nie powinien naginać się do zmiennych „konstelacji politycznych", ale zachować czysto polski, zgodny z duchem narodu charakter.

Otrzymaliśmy „czysto polski" i zgodny z duchem narodu, także i chłopską psychiką wzór systemu wychowawczego.

Przyjrzyjmy się jeszcze tylko młodzieży i oddajmy jej głos a poznamy

b) ... jego społeczne konsekwencje.

„Beztrosko płynęły lata nauki w naszym chłopskim gimnazjum w Szczekocinach — pisał w liście do redakcji tyg. „Wieś" jeden z absolwentów („Wieś" nr 42) — Jakże inaczej przedstawia się nowy etap życia, w który wstępujemy! Droga z gimnazjum prowadzi na rozdroża, gdzie darmo szukać drogowskazów. I dopiero teraz, kiedy przychodzi czymś być, działać, grać jakąś rolę w społeczeństwie, mogę już dobrze ocenić co mi dało gimnazjum.

...Znam wprawdzie piękne cytaty z naszych wieszczów: „mierz siły na zamiary" i umiem, „cierpieć za miliony", ale nie umiem cierpiącym milionom pomóc... nie umiem skonkretyzować mojej działalności wśród chłopów. Brak mi narzędzi oddziaływania, po prostu nie wiele umiem(!!)... ja prymus gimnazjum i nauczyciel ludowy. Kupiłem sobie kilka książek takie, jak „Historia Chłopów" — Świętochowskiego, „Dzieje chłopów" — Śreniowskiego, czy „Drogowskazy" — Króla. Lektura nauczyła mnie wiele, ale pomyśl: po to siedziałem tyle lat w chłopskim gimnazjum, żeby drugie tyle lat douczać się elementarnej wiedzy o dziejach swojej klasy?"

Tragiczny list wychowanka chłopskiego gimnazjum przedłużającego mieszczańskie tradycje wychowawcze w nowej Polsce Ludowej, pokazuje wyraźnie, że postawiony wobec konkretnych zadań kulturalno - społecznych prymus gimnazjum, nie jest zdolny do podjęcia zadań nauczyciela ludowego w nowej strukturze społeczno - gospodarczej kraju.

Cóż więc dało personalistyczne wychowanie prymusowi gimnazjum i całej chłopskiej młodzieży?...

Przypatrzmy się bliżej życiu chłopskiego gimnazjum w pierwszym, a częściowo i drugim roku szkolnym w wolnej już Polsce.

Młodzież chłopską wychowywano na układnego konsumenta „wyższej" mieszczańskiej kultury. Droga do osiągnięcia „wyższej kultury" wiodła przez naśladowanie treści formalnych i wewnętrznych społeczno-obyczajowego życia klasy mieszczańskiej, jako głównego reprezentanta tej kultury.

Wykształcenie harmonijnej osobowości, postawy — „godnej ucznia gimnazjum", szacunek dla starszych, grzeczność wobec dam, poprawność w towarzyskim zachowaniu się i wymowie, wspólne uczestniczenie w lekcjach tańca, wreszcie zabawy taneczne, w czasie których profesorowie inteligenci tańczyli z chłopskimi dziewczętami — oto drogi na których awansował syn małorolnego chłopa, poprzez inteligencki salonik w „wyższą" narodowo-mieszczańską kulturę. Po przejściu takiej drogi mógł zasilić degenerujące się cywilizacją techniczną miasto — zastrzykiem świeżej krwi. Była to istotnie bezbolesna transfuzja, dokonywana pod tęgą dawką usypiającej narkozy.

Nakreślona tu sytuacja wychowawcza przypomina czasy sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy to na Sejmie galicyjskim z roku 1880 mówił hr. Rey: „Przyznać trzeba, że idziemy szerokim gościńcem do hiperprodukcji inteligencji tj. do wytwarzania najnieszczęśliwszego z proletariatów do — **proletariatu inteligencji".**

Cytowany już poprzednio list prymusa chłopskiego gimnazjum pokazuje, że z chwilą zetknięcia się z rzeczywistością kulturalno-społeczną działanie znieczulającej atmosfery chłopskiego saloniku znika, a rodzi się gwałtowny ból wynikający z niewiedzy o rzeczywistości i nieprzydatności do konkretnych zadań spadających na młode pokolenie chłopów.

Prymus gimnazjum będzie jeszcze długo [illegible] w samowiedzy społecznej nim stanie się pełno wartościowym nauczycielem ludowym. Innych, podkształconych w „wyższej" kulturze obyczajowo - towarzyskiej, nie można już odróżnić od młodzieży mieszczańskiej, stanowiącej nadal poważny procent studiujących na wyższych uczelniach.

II NA NOWEJ DRODZE

a) Źródła przemiany

Na progu roku szkolnego 1946-47 przeżyły Zakłady Naukowe w Szczekocinach poważny kryzys.

Duża część grona pedagogicznego, przyzwyczajona do obcowania z młodym mieszczańskim gentlemanem, traktowała pracę w środowisku chłopskim jako zło konieczne — rezultat minionej wojny. Wyrzuceni z płonącej Warszawy po powstaniu, częściowo zmuszeni ukrywać się przed gestapo w okolicach Szczekocin, powrócili nauczyciele-inteligenci do miast na swe przed wojną zajmowane stanowiska w mieszczańskich gimnazjach ogólnokształcących.

Mimo trudności, wynikających z powojennego braku sił nauczycielskich uzupełniono luki w gronie pedagogicznym i czekano na przybycie młodzieży.

Tymczasem nadciągnęła znacznie mniejsza liczba młodzieży niż się tego spodziewano. Kiedy jeszcze wiosną 1945 roku liczyły Zakłady blisko 1000 uczącej się młodzieży, w tym ponad 250 wypełniało internaty, to na następny rok szkolny zapisało się początkowo około 600 uczniów i uczennic, z których tylko 180 zamieszkało w internatach.

Diaczego?

Urzędnicy spółdzielni rolniczo-handlowych, urzędnicy gminni, aptekarze, akuszerki, nauczyciele ludowi, częściowo i zamożniejsi chłopi — „arystokracja" wiejska okolicy — wolała oddać swe dzieci „na wyszkolenie", do lepszych, przedwojennych gimnazjów ogólnokształcących w Zawierciu, Jędrzejowie, czy Włoszczowie. Gimnazjum z tradycją której Zakłady Naukowe, otwarte po wojnie, nie posiadały, gwarantowały pomyślny awans na „inteligenta".

Z drugiej strony synowie średnio i małorolnych chłopów rezygnowali z długiej, 6-letniej drogi awansowania w „wyższą kulturę" mieszczańską. Działalność partii politycznych, organizacji młodzieżowych, świetlic i Domów Ludowych w ramach szybko krystalizującego się nowego ustroju Polski Ludowej, ukazała grzebiącym się na dnie chłopskiej nędzy biedniakom nieznane im dotąd perspektywy **awansu już nie „duchowego",**



Szczekociny, gimnazjum

ale rzeczowego. Usłyszeli oni, że Polska ma być przemysłowa i, że wobec tego 250 000 zakładów przemysłowych, 300 000 warsztatów rzemieślniczych, 600 000 przedsiębiorstw handlowych i spółdzielczych zatrudni na stałe każdego, kto będzie posiadał wykształcenie zawodowe.

Zatem **idea konkretnego zawodu** — rezultat działania nowego ustroju społeczno-gospodarczego państwa, odsunęła znaczną część biednej i średnio-zamożnej młodzieży chłopskiej od gimnazjum ogólnokształcącego, gdzie mogła „ponad naukę stawiać... wyrobienie charakteru".

Młodzież ta odchodziła na kursy zawodowe organizowane przez państwo, do Junackich Hufców „Świt" powstających w Kielcach, czy nawet — szkół zawodowych niższego i średniego stopnia.

Jeżeli więc grono pedagogiczne Gimnazjum w Szczekocinach nie chciało zrezygnować z ambicji skupiania całej młodzieży z okolicy, musiało przystosować prowadzone przez siebie Zakłady Naukowe do warunków nowego ustroju państwowego.

Jeszcze w roku szkolnym 1946-47 uruchomiono przedszkole, 6-klasową szkołę ćwiczeń, roczną szkołę spółdzielczą, 2-letni kurs przygotowawczy na nauczycieli ludowych szkół powszechnych, 4-letnie liceum pedagogiczne, roczny kurs szoferski, motorowy i szybowco-

---

W OSTATNIM 7 (136) NUMERZE „WSI" Z DNIA 15.2.1948 r.

Stanisław Cieślak — Plan Inwestycyjny; **Zygmunt Lasocki** — Odpowiedź na „Starą zasłonę"; **Maciej Czuła** — Zdradzieckie zakręty, **Tadeusz Chróścielewski** — Lud u zachodowca; **Maria Janion** — Mieszczański humanitaryzm; **Waldemar Kiwilszo** — Od liberalizmu do socjalizmu; **Jakub Litwin** — W kręgu moralności „Ziemi obiecanej"; **Zdzisław Laszcz** — „Piast" i nagroda Nobla; **Jan A. Król** — Pisarze wobec filmu; **Anna Kamieńska** — Czytanie Miłosza, Pieśń biesiadna; **Teodor Goździkiewicz** — Na pastwisku; **Tadeusz Drewnowski** — Wyrok zagłady na Jerycho; **Janusz Lin** — Kapitalistyczny Tartuffe; **Zbigniew Wasilewski** — Bobrzyński redivivus; **Wiktor Heltman** — Szlachta, powstanie, organizacja społeczna; Fakty i zdania — **Witold Jedlicki** — Jeszcze jeden głos o egzystencjoliźmie; **j. m.** — Chmielowski aeternus; **Józef Kompot** — Polityka ogłupiania i polityka zastraszania; **Jerzy Falenciak** — Pochwała parafiańszczyzny; **Bufallo Bill** — O transportowaniu ideologii; **Akademik** — O „niesprytnym" dziennikarzu. **j. f.**—Wokulski a Pakulski; — Sprostowanie. Ilustracji 15 — Stron 12.

wy, zachowując przy tym gimnazjum i liceum ogólnokształcące.

Do tak zreorganizowanych Zakładów Naukowych, gwarantujących swoim wychowankom wyposażenie już nie w zalety charakteru, ale zawód umożliwiający rzeczywiste funkcjonowanie społeczne — młodzież napłynęła znowu i to w przeważającej części najbiedniejsza.

Na ogólną liczbę 779 uczniów i uczennic w latach 1946-47 przypadało młodzieży z gospodarstw poniżej 5 ha, robotniczej i sierot — 577.

Ujawniła ona od razu swoje prawdziwe zainteresowania. Wystarczy tylko podać, że poszczególne szkoły zawodowe Zakładów skupiają blisko 300 uczniów i uczennic, podczas gdy liceum i gimnazjum ogólnokształcące, które w poprzednim roku miało do 1000 osób — liczyło w następnym tylko 161 osób.

Nowa młodzież żądała nowej pedagogiki wychowawczej.

b) Jej kierunek

W protokule z posiedzenia Rady Pedagogicznej z dnia 10.9.1947 czytamy:

„Dyrektor wyjaśnia, że w tej chwili dokonuje się odwrót od pedagogiki indywidualistycznej, która ogniskowała uwagę wychowawcy wokół jednostki... Pojęcie pedagogiki społecznej nie jest dziś jeszcze skrystalizowane. Ciekawe próby w tym kierunku wyszły spod pióra kuratora łódzkiego J. Baculewskiego" („Wieś", Nr 27-28, rok 1947—„Pedagogika społeczna").

Włączenie się Grona Pedagogicznego w proces przemian gospodarczo-społecznych i kulturalnych zachodzących w kraju, poprzez obecność jego przedstawicieli na zjeździe pisarzy chłopskich w Rytwianach, uczestniczenie w zjazdach i dyskusjach nauczycielskich, wycieczki naukowo-poznawcze do innych chłopskich szkół, na Śląsk, Ziemie Odzyskane i Wybrzeże, gruntowne studia nad zdobyczami współczesnej nauki i pedagogiki, ułatwiły mu wypracowanie nowej koncepcji wychowawczej, dostosowanej do rzeczywistych potrzeb młodzieży.

Na posiedzeniach Komisji Wychowawczej nie mówiono już więcej, że chłop nie ma „szerszych zainteresowań społecznych". Rozważania nad biologiczną pełnią chłopskiego żywota zastąpiono „Rozważaniami nauczycielskimi" St. Żółkiewskiego, sposobami wyzyskania wiadomości z prasy przy nauce o Polsce współczesnej, dyskusjami nad programem wprowadzonych w nauczaniu zagadnień z nauki ekonomii i spółdzielczości.

W tej próbie można było liczyć na pomoc młodzieży. Przypatrzmy się bliżej jej życiu i pozwólmy jej przemówić.

c) Mówi nowa młodzież!

Oddajemy głos uczniowi 4-ej klasy gimnazjum: „Chociaż jestem z chłopów, wstąpiłem do Z. W M-u, ponieważ nie widzę poważniejszych różnic ideologicznych między chłopem i robotnikiem. Jedni i drudzy walczą z kapitalizmem. Dzisiaj szczególnie chłopi, bo na wsi choć może na oko tak nie wygląda — istnieje taki mały kapitalizm. Jedni chłopi się bogacą, drudzy biednieją. Jednym ucieka ziemia spod nóg, innym — bogatym ziemi przybywa".

Prymus 2-ej klasy liceum pedagogicznego mówił na temat literatury pozytywizmu w ten sposób: „można ją przyrównać do apteki, gdzie według recepty skreślonej przez pisarzy nabywa się lekarstwo na schorzenia społeczne drugiej połowy XIX wieku. Recepta á la „Janko Muzykant" kosztuje za drogo i nie jest każdemu. W mojej rodzinie jest nas czterech Janków Muzykantów, a cóż tu mówić o całej wsi!"

I wreszcie głos członka „Wici": „Wychodzimy wraz z kolegami z T.U.R.-u i Z.W.M.-u w teren, zakładać świetlice. Przeszkadza nam plebania, starsze pokolenie chłopów i dewotki. Przy końcu spowiedzi pytają nas po wsiach księża do jakich organizacji należymy. Jeżeli do demokratycznych, to znaczy nie do harcerstwa, ksiądz mówi przed daniem rozgrzeszenia: wystąp dziecko z tej organizacji, bo to dzieło wyznawców diabła!"

Zacytowane głosy członków organizacji młodzieżowych pokazują **dojrzałość** pokolenia do **nowego ustroju.** Zdaje sobie już ono sprawę z tego, że młode państwo ludowe walczy z resztkami kapitalizmu, ocenia właściwie siły społeczne, które przeciwstawiają się w tej walce — obozowi postępu. Młodzież potrafi już także porównać proponowane w literaturze rozwiązania problemów społecznych z rzeczywistością społeczno-gospodarczą. Działają tu niewątpliwie wprowadzone przez grono pedagogiczne zmiany w strukturze nauczania i systemie wychowania.

Podstawową instytucją życia społecznego wychowanków Zakładów jest świetlica. Starsza młodzież z pierwszego roku, ucząca się jeszcze w liceum ogólno-kształcącym, niechętna wszelkim organizacjom młodzieżowym, a szczególnie ZWM-owi, zaglądała raczej do mieszczańskich pokoików „panienek z miasta", gdzie też prezentowała swój „partyzancki fason", wypolerowany „grzecznością wobec dam" i „poprawnością w towarzyskim zachowaniu się oraz wymowie".

Młodzież z roku szkolnego 1947-48 przebywa chętnie w świetlicy, gdzie pogłębia intensywnie samowiedzę społeczną.

Na 1400 wypożyczonych w ciągu trzech pierwszych miesięcy jesieni 1947 książek — 2/3 przypada na wydawnictwa „Biblioteki Klasyków Marksizmu", „Historię Chłopów"— Swiętochowskiego, „Dzieje chłopów" — Śreniowskiego, „Drogowskazy" — Króla i „Młode pokolenie chłopów" — J. Chałasińskiego.

Naszego czytelnika przestaną teraz chyba dziwić trzy wypowiedzi przedstawicieli tej młodzieży, która uczy się nauk społecznych w szkole, poznaje dzieje chłopów i robotników teoretycznie z książek w czytelni, z gazet w świetlicy i sprawdza swe wiadomości w próbach konkretnej pracy w terenie.

To właśnie nowe pokolenie chłopów, na którym działanie ustroju „ojczyzny chłopów i robotników" zaznaczyło się już wyraźnie, wypełni powoli plan zorganizowania życia kulturalno-społecznego i gospodarczego swojego powiatu, zaprojektowany i realizowany przez Radę Pedagogiczną Zakładów Naukowych w Szczekocinach.

III. PIERWSZE OSIĄGNIĘCIA

Powiat włoszczowski jest typowo chłopski. Leżą w nim tylko dwa miasteczka Włoszczowa i Szczekociny, liczące rązem około 15.000 mieszkańców.

Zaniedbany przed wojną, odcięty od ważniejszych linii kolejowych i dróg partykularz podejmuje próbę zorganizowania nowego życia. Na terenie powiatu powstają 10-klasowe Szkoły Podstawowe, szkoły powszechne, świetlice wiejskie, domy ludowe i organizuje się spółdzielczość Z. S. Ch.

Jaką rolę ma odegrać w tej przebudowie społeczno - kulturalnego i gospodarczego powiatu młodzież z Zakładów Naukowych w Szczekocinach?

W trakcie uczęszczania do szkoły, wyjdzie ona w każdą sobotę do pracy w terenie — zakładać świetlice, organizować odczyty, zawiązywać koła wiejskie „Wici", ZWM i TUR, pomagać w akcji żniwnej, przy budowie dróg, elektryfikacji wsi.

W roku 1947, począwszy od lata, zorganizowała młodzież kilka świetlic, brała udział w akcji żniwnej i dała kilka odczytów dla wsi.

Już w czasie pobierania nauki, próbują realizować młodzi chłopi jedno z najpoważniejszych zadań — **ujęcia życia społeczngo wsi w ramy instytucji.**

A po ukończeniu nauki?

Absolwenci Zakładów Naukowych, którzy pozostaną na terenie powiatu, przygotowani do wykonywania określonych zadań społecznych obejmą stanowiska nauczycieli w szkołach podstawowych, będą zakładać szkoły powszechne po wsiach i kierować nimi. Wezmą udział w organizowaniu podstawowych w nowym ustroju instytucji życia gospodarczego — Uniwersalnych Spółdzielni Gminnych Z. S. Ch. Zorganizują i poprowadzą pracę wiciową, ZWM-ową i TUR-ową w powiecie.

Jesienią pracowało już w szkołach podstawowych i powszechnych powiatu włoszczowskiego 77-miu absolwentów dwuletniego kursu pedagogicznego i 16-tu po pełnym czteroletnim liceum pedagogicznym. Jeden z nich uruchomił, zaopatrzył w sprzęt i niezbędne pomoce naukowe szkołę powszechną w ciągu niespełna 4-ch miesięcy na wsi, gdzie dotąd nie było nigdy szkoły.

Nad całością prac w terenie czuwa Komisja Rejonowa, wyłoniona z Grona Pedagogicznego Zakładów Naukowych w Szczekocinach. Komisja ta prowadzi w każdym miesiącu dwudniowe seminaria dla nauczycieli powszechnych szkół ludowych. W lecie odbywa się miesięczne seminarium, na którym niewykwalifikowane siły pedagogiczne składają egzaminy kwalifikacyjne.

Na takiej to drodze, poznania rzeczywistych zadań nauczyciela szkoły średniej, polegających na przygotowaniu młodzieży do określonego funkcjonowania społecznego włączyło się Grono Pedagogiczne Chłopskich Zakładów Naukowych w wartki nurt przemian kulturalno-społecznych i gospodarczych Polski Ludowej. Droga ta nie prowadzi już więcej chłopskiej młodzieży na bezdroża mieszczańskiej pedagogiki wychowawczej, gdzie przecież znalazła się spora część młodych chłopów z pierwszego liberalnego i niezorganizowanego na [illegible] społecznego.

Wiesław Jażdżyński

Maria Pujmanowa

T R U H L A*)



M. Pujmanowa

rys. A. Stopka

(rys. z „Odrodzenia" 22(131)

Ojciec Andrzeja, Wacław Urban zmarł, kiedy chłopak miał niespełna jedenaście lat. Pogrzebano zmarłego w miejscu urodzenia, w Lhotce na cmentarzu zwanym „Mareczku". Anna Urbanowa urodziła się w Pradze, nic więc dziwnego, że po zabezpieczeniu w księdze hipotecznej działów należących się z domu córce Różenie i synowi Andrzejowi, postanowiła wyjechać. Po charakterystycznym dla jej usposobienia wahaniu, za doradą lhoteckich krewnych ustalono, że przeniosą się do dziadka do Pragi. Tłumaczyło się to tym, iż matka robi to dla dzieci. Jednak postanowienia dorosłych są dla dzieci niezbadane. Pożegnanie z domostwem dosięgło wówczas Andrzeja jak śmierć.

Urbanowie nie posiadali wiele, lecz do chłopaka należała cała ziemia. Bynajmniej nie mam zamiaru przedstawić Andrzeja lepszym niż był, a udawanie, że dziecko kocha przyrodę, byłoby podobne do twierdzenia że kocha swój palec. Tylko ludzie zmęczeni, lub skrzywdzeni przez miasto roztkliwiają się na widok kwitnących łąk, kształtu sosny i kolorów zachodu. Urwis Andrzej tulał beczki z pagórków, celował szyszkami sosnowymi do dziewczynek i strzelał z procy do wróbli. Na łuk najlepsza jest wierzba, lecz procę miał Andrzej bukową z lasu około Czarnej Skały, z której dwa razy się stoczył, lecz to nic nie znaczy. Brnęli po kolana w tlejących liściach polnych, Andrzej, Antek Szczastny, któremu nabój urwał palec, i Franek Suk. Złapali tam rogacza, po prostu smok między owadami. Zanim jeszcze przybyli do domu, przegryzł Andrzejowi kieszeń. Nad głowami w pogańskiej ciemni lasu biadał drgającym głosem drapieżny ptak, którego nazwy nie znali. Może to był orzeł. Rozmawiali cichutko. Kiedy zajączki rozpoczęły wiosenną zabawę, chłopak wspinał się zwykle na wierzbę w Mareczku.

Potem wykurzał gniazda os. Wiedział, gdzie mieszka jeż, gdzie są maleńkie kociaki, znał nazwy wiejskich krów. Z wszystkich drzew śliwowych wybierał sobie te, które dawały najsłodsze owoce. Początek i koniec wsi były oznaczone jego paleniskami. Znajdywał je co roku po spłynięciu śniegu. Tak było od lat. I teraz ma się zmienić?

— O Boże! Całą niedzielę nosiłbym wodę i wiązał fasolę do patyków, tylko żeby tu był jeszcze ojciec — westchnął Andrzej. Tak mało sobą się nacieszyli.

Wszyscy chłopcy w Lhotce mieli ojców w domu. Powrócili z wojny. Tylko niektórzy byli wymienieni na pomniku poległych żołnierzy.

Wacław Urban, rosyjski legionista powrócił ostatni. Przybył z Władywostoku morzem. Naprzód Andrzej się wstydził starego obcego żołnierza, który napełniał kuchnię szczypiącym dymem, nie będąc podobny do owego młodego mężczyzny w czarnym surducie i wysokim białym kołnierzu z fotografii wiszącej w pokoju nad kanapą. Było mu z nim jakoś obco. Wolałby po prostu, żeby ojciec nie przyjechał i żeby wszystko zostało po dawnemu. Dziwna rzecz i żołnierz, który przecież nie bał się ani Niemca ani bolszewika ani nikogo na świecie, był onieśmielony chłopakiem. Kiedy odszedł na wojnę, mały zaledwie paplał. Nie znali się po prostu.

Ojciec najadł się, położył i spał noc i dzień. Przespał burzę i zawieruchę. Padał wówczas grad tak wielki, jak kurze jajka, kulka ważyła pół funta, mama ważyła ją na wadze. Kiedy ojciec się podniósł, już się wyjaśniło i słońce zachodziło, tylko świat był jakiś nowy po tym potopie. Beczka pod okapem przeciekała, droga była zatarasowana wozami. W strumyczku za domem pieniła się woda. Ojciec nakazał Andrzejowi, przynieść dwie deski, belkę i gwoździe. Sam, nie objaśniając, na co, zabrał młotek i wyszli za dom. Za małą chwilę stanął w strumyczku młynek, toczył się i grzechotał: klap, klap. Ojciec urządził sobie warsztat, gderając stale, że wiele rzeczy mu zginęło, wiele zardzewiało. Pożyczył od listonosza rower, usadowił chłopaka przed sobą i pojechał do miasta kupować narzędzia. Z tej wycieczki pochodziły scyzoryki i magnetyczne żelazko Andrzeja. Teraz dopiero zorientował się Andrzej, co to znaczy „mężczyzna". Przytrzyma w śrubie klucz i piłuje zęby do niego, ma różne obcęgi, francuski klucz, śrubki, muterki gwintowe i giętkie druty. Opanował ogień i metal, otworzy każdy zamek, wszystkiemu da rady i kiedy się mama kłóci z ciocią powie — Anetko, przestań. Że też te kobiety nie mogą się uspokoić.

Ojciec stał nad matką, pomimo, że ta gmerała w piecu już dawno niecierpliwa i zgorzkniała. Podczas wojny pracowała na roli za miarkę ziemniaków, za garść kaszy. Nie była do tego przyzwyczajona w Pradze. Była córką zarządcy i pokojówką w pańskim domu. Wojna kobiety byle czego nauczyła, więc kiedy lhotecki szewc musiał iść do wojska usiadła i naprawiała dzieciakom buty. Ugniatały trochę, lecz można było w nich wytrzymać. Miała już takie usposobienie, że potrafiła się poświęcić do ostatka, ale później to wypominała. Taka już była, nikt siebie nie zmieni.

Ojciec opowiadał o psie, synu wilczycy ścigającym pociąg, w którym odjeżdżał jego pan, o lokomotywie pancernej, o Chinach, o kapitańskim kompasie. Matka przerywała mu pytaniami o ceny wiktuałów. — Rosja to jest ziemia wielka jak świat, miesiące jedziesz pociągiem nim dojedziesz do przystani we Władywostoku. W Rosji są potoczki jak nasze rzeki, a rzeki jak morze — nie widzisz drugiego brzegu. Słońce świeci nocą nad Sybirem i dzień tam mają dłuższy. Ile tam zwierzyny, ile ryb! Co u nas kiełb, to u nich jesiotr. Rosyjskie kurze jajko, to jak u nas indycze. Andrzej pamiętał obrazek z biblii, jak to czterech mężczyzn niesie na tyce winogrona z ziemi obiecanej, tak widocznie działo się i w Rosji. Wielkość tej ziemi odbijała się na ojcu. Toteż Andrzej chlubił się tatusiową Rosją przed chłopakami w szkole.

Raz po strażackim festynie odjeżdżali goście z sąsiednich wsi na drabiniastym wozie. Nie mogli się jakoś doczekać na resztę i ponownie wstąpili do kaczmy. Kilka lhoteckich dzieciaków wlazło na wóz. Kiedy chodziło o swawolę, nie brakowało nigdy Andrzeja. I wtedy, że Franek Suk śmignął batem konie stanęły dęba, a potem się rozpędziły. Dzieciaki w wozie krzyknęły z radości, lecz zaraz umilkły z przestrachu. „Franta" się przewrócił, w tyle krzyczały kobiety, a konie z pół próżnym wozem, którym rzucało na wszystkie strony, pogalopowały ku lhoteckiemu zakrętowi. Andrzej oglądał się za pomocą ku znikającej wsi. Widział kilku mężczyzn pędzących co tchu za wozem. Ojciec biegł na czele i dawał rękami znaki dzieciom, co mają robić. W zamieszaniu tym jednak nic nie zrozumiały. Zaraz po tym pojawiła się nabrzmiała twarz ojca i Andrzej usłyszał chrapliwy oddech. Urban złapał konie za cugle, szarpnął wędzidłem. Konie dziko odskoczyły w bok, a wóz uderzył ojca całym ciężarem w biodra. Ten zaklął, ale nie puścił koni, biegł za nimi, wisząc po prostu rękami na cuglach. Rzemienie przecinały mu ręce, lecz udało mu się zatrzymać konie przed zakrętem. Ach, ojciec! — w Andrzeju aż dech zamierał.

Ten obrońca, ten żołnierz, co walczył sześć lat na wojnie i mijały go kule, ten mężczyzna, który prawie że cały świat przepłynął przybywając z daleka, kiedy chłopak opuszczał najwcześniejsze dzieciństwo, ten jego ojciec tu teraz leżał w wyniosłej nieprzystępności zmarłych, a ludzki żal nie miał do niego dostępu. Podobno serce, podobno żyły żołnierza wojny światowej szybko się starzeją. — Gdyby się był raczej nie wrócił — narzekała matka. — Przyzwyczailiśmy się już bez niego. Przybył do domu umrzeć.

Wierność ku zmarłemu utwierdziła Andrzeja w buncie przeciw przekupstwu kobiet. — matki i ciotek, które ilekroć mówiły o ojcu nie nazywały go jak dawniej Wacławem, lecz „nieboszczykiem", co brzmiało w uszach chłopca jak obelga, przeciw przekupstwu kobiet, które określały rzecz właściwą nazwą, zdradzając ojca skwapliwym pojednaniem z zuchwałością wypadku. — Zaledwie spadła ostatnia gruda na trumnę, a one już gadają o załatwieniu rejenta, o wynajęciu, o księgach hipotecznych, co z pierzynami, co z tą szafą, nawet i o garnkach była mowa.

— Co Haryk? — przestraszył się dzieciak.

— Przyjedziesz się na niego popatrzeć — uspakajała ciotka, tając zadowolenie że niedługo sama będzie rządzić domem.

— Będziesz miał w Pradze dziadka — pocieszała go Różena. Dobrze było Różenie, udawała dorosłą. Chlubiła się tym, że jej umarł ojciec, że ma żałobę, że pojadą do miasta. Różena była od niepamięci fałszywa, już kiedy się bawili w chowanego, zdradzała kryjówkę.

Czym był dla niego dziadek? Dziadek, którego nie znał. Lecz Haryk, pies, wyszczekujący z napięciem, gdy Andrzej kładł mu kostkę cukru na nos, ten Haryk był jego.

Szara rozpacz i troski przechodziły przez dom. Matka była podniecona i krzyczała na dzieci. Wszędzie jej przeszkadzały. Andrzej zdziczał. Nigdy takiego lania nie dostał, jak wówczas po śmierci ojca, kiedy to matka była wstrząśnięta i sama nie wiedziała, czego chce. Przynajmniej w mieście prędzej zapomnisz — pocieszali krewni. — Płaczem się nic nie naprawi a „nieboszczykowi" nie pomoże.

Była to więc wyprawa wojenna. Przynajmniej Andrzejowi tak się wydawało.

Andrzej wycinał scyzorykiem litery, gonił po ścierniskach, jak gdyby uciekał przed największym poznaniem życia, przed śmiercią.

Najgorsze było to mianowicie (a Andrzej by się za nic na świecie do tego nawet Antkowi Szczastnemu nie przyznał), że zmarły ojciec zamieniał się w nieprzyjaciela. Śnił mu się w nocy, chodził, gadał i wyglądał jak zwykle, lecz Andrzej i inni wiedzieli, że ojciec umarł, że taił swą śmierć przed nimi. Ojciec jakby tego nie dostrzegając, wyśmiewał się z małego chłopca, który boi się, żyje, zapomina i zdradza. Były to straszliwe chwile obcości — obcości istoty z drugiego brzegu.

Wszędzie teraz nastały inne porządki, tak jakby nieobecność ojca wcieliła się w „truh-

---

*) Fragment z czeskiej powieści Marii Pujmanowej pt. „Ludzie na rozdrożu" (Lidé na křižovatce) odznaczonej państwową nagrodą w r. 1937).

„Truhla oznacza skrzynię, stolik z szufladą, oraz wszelkie rodzaje kuferków a w ludowej mowie trumnę. Trumna nazywa się w mowie literackiej „rakew", w potocznej — „truhla".

lę", w „truhlę", w której wynosi się zmarłego z domu, w „truhlę", z którą rekrut odjeżdża na wojnę i dziewczyna na służbę, w czarną głęboką „truhlę", która tkwi obok dużego tłumoku pierzyny, pośród kuchni, otwarta na oścież — aby mógł wejść do niej zły pies.

Przez sień słychać było jak matka z ciotką odnajmowały pokój pannie z poczty, wmawiając w nią, że im nie idzie o swoją korzyść, lecz o wygodę lokatorki. Chłopaka to wcale nie interesowało. I tak się będą przenosić wkrótce do Pragi.

Widownia codziennego, samo przez się zrozumiałego żywota, znane mu rzeczy stanęły przed nim. Nie potrzebował ich widzieć oczami, teraz kiedy je musiał opuścić, one wstępowały na inne gwiazdy i promieniały w niewidzianej krasie. Cała okolica była zaznaczona jego przygodami. Chodził drogami, bezdrożami i czytał w niej. Nikt więcej nie przeczyta tego po nim.

Matka i Rożena składały rzeczy do kufrów, więc Andrzej przyniósł także swój majątek: łuk, strzały i procę. Kiedy jednak chłopak wyszedł matka wyrzuciła te bzdury na śmietnik, na potrzebniejsze rzeczy miejsca nie było. Swój znakomity scyzoryk z magnetycznym żelazem, z którym się nigdy nie rozłączał, zaciskał Andrzej w kieszeni. Zawojowany przez dwie kobiety: matkę i siostrę, w towarzystwie kilku chłopaków ruszył na stację.

Przez samo pakowanie i pożegnanie spóźnili się na południowy pociąg i odjechali dopiero wieczorem.

Po kolacji w pociągu otrzepała Urbanowa okruszynki ze spódnicy i ulokowała pozostały chleb i jaja na półce, pomiędzy cennymi paczkami. Zanim ponownie usiadła, podciągnęła spódnicę, żeby się nie wygniotła. Westchnęła i złożyła ręce na krzyż. Po pośpiechu i po zmartwieniu, które pociągnęło za sobą postanowienie przeniesienia się do Pragi, po uciążliwym pakowaniu, jazda pociągiem była odpoczynkiem nie do opisania.

Za odjeżdżającym pociągiem wymachiwały chustkami i pokrzykiwały koleżanki Róży. Lecz Róża dziś już nie należy do nich, na zawsze odchodzi. Młodzi naczelnicy stacji w czerwonych jak mak czapkach żegnali odjazd pociągów. Róża w twardych kolorach widziała to, co prawie się przesunęło i pozostało w tyle, przepadło w jej pamięci jak coś niebacznie porzuconego.

Raz zatrzymał się pociąg poza stacją wśród łąk. Wiatr ucichł. Lokomotywa zamilkła, nie słyszało się zwykłego tumultu dworców. Cicha przestrzeń rozciągała się wokół podróżnych, i słychać było tętnienie źródła poprzez zielony wieczór. Stali a las wydychiwał siłę, pachniały grzyby powstawaniem i zgnilizną, niosła się woń początków jesieni, której oko jeszcze nie spostrzegło. I znów maszyna ruszyła i znów pociąg uwoził małego chłopaka od ojca i Haryka.

Korytarzem przeszedł milcząco konduktor ze starodawną latarką u pasa, przekręcił zewnątrz kontakt, i krajobraz za szkłem ustąpił i nastała złota noc zmęczenia w trumnie przedziału.

Po północy Andrzej się przebudził. Ciała podróżnych napół siedziały, napół leżały, jak podparte pajace, grożąc przewróceniem się przy silniejszym zderzeniu. Wyciągnięte męskie nogi tarasowały wyjście, głowy się kiwały miarowo. Biedacy utracili władzę nad własnymi duszami i na policzki wystąpiło im to czym życie ich skrzywdziło. Nie mogli się bronić, spali, a śmierć jak szpieg przy złodziejskiej latarce pracowała w obrębie ich twarzy, zakreślała sobie drogę. Oprócz Andrzeja nie spał chyba tylko maszynista i palacz. Maszyna pozostawiała za sobą wciąż masę przebytej ciemności. Pociąg sczepił okolicę i odliczał domy od przekroczonej północy.

Andrzej wstrzymał oddech, nie ruszył się i nadsłuchiwał. Czy to nie w tym panu charczała harmonijka, tu warczał znów tygrys w chrapiącej babci, cygan oddychał zlekka, a Róża w śnie cicho burczała jak pszczoła nad kwiatem. Wszyscy śpiący przędli czas na tkackim warsztacie poruszającego się pociągu. Ale matka nie oddychała. Miała podczas snu głowę podobną do jamy ustnej nieżyjącego ojca.

— Mamo!

Głowa przy workowej zasłonie nie poruszała się. Ręka o znanych krótkich paznokciach była lodowata. Pociągnął więc matkę za spódnicę.

— Mamusiu...

Westchnęła, przetarła niechętnie oczy i przymknęła je ponownie. Nie zmieniła położenia opartej o ścianę głowy i zapytała niechętnie.

— Co chcesz znowu?

— Mam pragnienie — Andrzej kłamał i nie kłamał, lecz o to mniejsza.

— Bądź cicho, jest noc, teraz śpij. Patrz, Róża także śpi. Ten pan będzie się gniewał. Wsunęła się ponownie do kąta i wskazując na ramię powiedziała: — Połóż sobie główkę i śpij.

Ale dziecko ujęło kobietę obiema rękami za głowę i odwróciło jej twarz ku sobie, jak część ziemi na globusie.

— Nie śpijcie mateczko.

Podniosła się, wykrzywiła z bólu i popatrzyła złymi oczami.

— Ani w nocy nie dacie spokoju. — Serca te bachory nie mają.

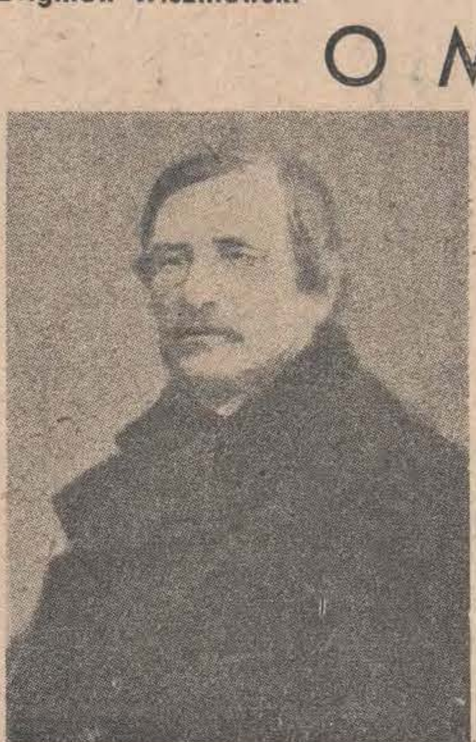
— Ale ja nie chcę żebyście spali.

Z wrogą stanowczością i bez słów wyprowadziła chłopaka na korytarzyk, gdzie nikogo nie było i tam go porządnie przetrzepała. Andrzej nie płakał, zaciął się, dałby się udręczyć, lecz zawstydzony na korytarzu, przycisnął nos do szkła, a szkło miało smak zimnego popiołu.

Przetłumaczyła z języka czeskiego
M. Ostrawicka-Skotnicowa.

Zbigniew Wiszniewski

O MUZYCE LUDOWEJ



Oskar Kolberg

I.

Sprawa pieśni ludowej była u nas zawsze tym zagadnieniem kulturalnym, któremu poświęcano stosunkowo niewiele oficjalnej uwagi. Muzykologowie zajmowali się przeważnie naszą muzyką artystyczną zwłaszcza dawniejszą, kompozytorzy i wykonawcy traktowali nasz folklor w najlepszym wypadku jako manierę stylistyczną. Zainteresowanie naszą pieśnią ludową ograniczało się niemal wyłącznie do prac kolekcjonersko-archiwalnych, do dyletanckiego zbierania melodii, wreszcie do opracowywania — a przy tym jakże często i do zniekształcania — pieśni ludowych na różne zespoły śpiewacze, lub instrumentalne. Dzieła traktującego o pochodzeniu polskiej pieśni ludowej, wpływach czynników obcych, oddziaływaniu na kultury inne, słowem, dzieła syntetyzującego polską pieśń ludową, a dotyczącego całego etnicznie polskiego obszaru nie posiadamy. Istnieją jedynie fragmentaryczne prace, nie obejmujące niestety całokształtu zagadnienia, lecz dotyczące tylko muzyki ludu pewnych dzielnic polskich np. Śląska, Podhala i t.d.

W chwili obecnej kiedy polską muzyką nietylko artystyczną, ale i ludową zaczyna się poważnie interesować zagranica, daje się odczuć szczególnie brak takiego dzieła. Nie posiadamy również popularniejszych podręczników traktujących przystępnie, a bez zbytniej afektacji o formach naszego folkloru. Dużo daje tu do myślenia szybkie wyczerpanie się nakładów śpiewników ludowych wydawanych przez L.I.M.

Daje się więc odczuć potrzeba opracowania pod każdym względem naszej muzyki ludowej przez fachowców. Jako jeden z pierwszych i najbardziej palących postulatów postawiłbym możliwie najdokładniejsze oczyszczenie naszych melodii od naleciałości obcych, wypaczających niejednokrotnie charakterystyczne cechy polskiej melodyki. Oczywiście trudno jest to zagadnienie skonkretyzować ściśle, gdyż nie można ująć w formę matematycznej definicji ani właściwości stylu polskiego, ani też udowodnić słowami, dlaczego takie wpływy środowisk obcych nie rażą nas, inne zaś odwrotnie. Tym nie mniej powinniśmy sobie stworzyć jakąś podstawę do przyszłych, na szeroką skalę zakrojonych prac muzykologicznych. Wzorem mogą być Czesi, których folklor np. o wiele od naszego uboższy, jest tak troskliwie wypielęgnowany przez muzyków i uczonych czeskich, że robi niekiedy wrażenie cieplarnianego tworu kultury pseudo-ludowej.

II.

Wiadomym powszechnie jest, że kultura nie jest wyłącznym wytworem jakiegoś środowiska; wchodzą tu w grę czynniki obce i one niejednokrotnie mają znaczny, a czasem decydujący wpływ na całokształt zjawisk kulturowych. Dotyczy to szczególnie muzyki ludowej. Muzyka jako sztuka bodaj-że najbardziej abstrakcyjna, rozwijająca się jedynie w czasie, jako jedynym tworzywem operująca dźwiękiem, jest wybitnie podatna na wszelkie wpływy i odkształcenia. Każda silniejsza indywidualność melodyczna może pozostawić niezatarte ślady na mniej charakterystycznej lub pierwotniejszej melodii. I nietylko to: każdy obcy wpływ do tego stopnia niweluje cechy pierwotne, że niemożliwe jest później odtworzenie melodii pierwotnej, zwłaszcza, że nie została ona zanotowana. O ile więc pieśń włoska asymilowała i do dziś dnia asymiluje wszelkie melodie obce, oraz wywiera znaczny wpływ na pieśni ludów innych, to z muzyką ludu polskiego rzecz się ma nieco inaczej: asymilowane pieśni obce mają znaczny wpływ na kształtowanie się pieśni rodzimych środowiska, które je sobie przyswoiło.

Do dziś dnia na przykład uważa się, w niektórych dzielnicach polskich, że tzw. sztajerki są tańcami ludowymi, podczas gdy — jak już sama nazwa wskazuje — są to walce sztyryjskie — Steier Walzer. Prócz tego istnieje wiele pieśni „spornych", do których roszczą sobie pretensje różne kultury narodowe. Słyszałem kiedyś przez radio pewną znaną piosenkę śląską — nie ulega wątpliwości, że o silnych znamionach stylu polskiego — nadawaną ze stacji niemieckiej i śpiewaną przez chór niemiecki, jako „Volkslied". Być może, że i jakiś Niemiec siedząc przy radioodbiorniku przypadkowo usłyszy np. znaną melodię „Na wójtowej roli" — i niemniej zdziwi się, gdyż jest to piosenka uważana w niektórych okolicach Niemiec za ludową niemiecką. Zresztą pomińmy Niemców, chociaż wzajemne wpływy folklorów polskiego i niemieckiego są prawie że niezbadane, a jednak szalenie silne. Zwróćmy się z kolei do naszych sąsiadów wschodnich. Prof. Brzeziński w swojej biografii Smetany, stwierdza, że polska pieśń ludowa jest w dużej mierze zniekształcona przez wpływ ukraińskich „dumek", te zaś z kolei mają swój melodyczny i nastrojowy początek w pieśniach ludów orientalnych, nie słowiańskich. Jak wielki jest ten wpływ na muzykę ludową nie da się szczegółowo określić, pewne jest natomiast, że zagranica doszukując się egzotyzmu w muzyce polskiej, uważa często genre przeróżnych tanich mazurków, kujawiaków, dumek i t.d. za cechy charakterystyczne muzyki polskiej.

Co do nas, to możemy się zgodzić na jedno: bardzo wiele pieśni ludowych to melodie ukraińskie, czy białoruskie ze słowami polskimi. Nie są one jednak obce słuchowo i stylistycznie ludowi polskiemu jak nie są obce i sztajerki; wywarły taki wpływ na twórczość artystyczną, są tak popularne, że można je uważać za pewien rodzaj pieśni ludowych. Oczywiście wszystkie te melodie obce zostały przez nasz lud do pewnego stopnia zmienione. Pieśń ludowa zresztą zmienia się szybciej niż ceramika czy budownictwo ludowe. Te pieśni, które dzisiaj uważamy za dawne ludowe, są *w większości wypadków stosunkowo* młode, gdyż zostały nam przekazane drogą tradycji ustnej, co zawsze powoduje większe lub mniejsze zmiany w redakcji melodii.

Nie należy zapominać, że Kolberg wydał „Lud" dopiero sto lat temu i że notował melodie bądź co bądź niedokładnie, gdyż wtłaczał je w obręb naszej skali chromatycznej, a wiemy, przecież, że pieśni ludowe niejednokrotnie operują subtelniejszymi odległościami niż półtony. Byli i inni muzycy podający kult często przesadny dla pieśni ludowej; próbowali oni wydawać tańce i pieśni ludowe — niestety w swej gorliwości zbyt często chcieli je „poprawiać" przez co niejednokrotnie wypaczali charakter pieśni.

Zasłużony polski kompozytor Z. Noskowski omawiając w swoim „Kontrapunkcie" — zresztą zupełnie nawiasowo — kilka melodii polskich, dochodzi do wniosku, że są one mało wartościowe estetycznie i konstrukcyjnie, gdyż nie posiadają wszystkich stopni tonacji, albo nie mają wyraźnie zaakcentowanego punktu szczytowego linii melodycznej.

Dopiero L. Różycki umieścił w wydaniu międzywojennym nieśmiałą uwagę: może ta monotonia stanowi o charakterze i pięknie naszych pieśni ludowych. W każdym razie trzeba stwierdzić, że wówczas kiedy zauważono obecność klasy chłopskiej, z jednej strony nie doceniono odrazu wartości jej kultury, z drugiej zaś — z nielicznymi wyjątkami — usiłowano rzekome „niedociągnięcia (chodzi o muzykę) melodyczne" wszelkie „dziwactwa harmoniczne, formalne etc-etc." poprawić. Dopiero liberalizm tonalny doby najnowszej sprawił, że nie uważamy, by kapela ludowa grała fałszywie, że następstwo funkcji harmonicznych jest „dziwaczne", „skażone" czy „zepsute". Ale trzeba sobie uprzytomnić, że pod patronatem owych poprawiaczy wydano wiele „skorygowanych" melodii ludowych: cała masa pośledniejszych muzyków i zawiedzionych kompozytorów, często teoretycznie i muzycznie niedokształconych rzuciła na rynek olbrzymią ilość popularnych śpiewników nie tylko poprawiając uprzednio melodie autentyczne, ale — co gorsza — umieszczając pod firmą „ludowa" każdą pieśń przez lud śpiewaną, choćby to była jakaś dawno zapomniana, a mocno zniekształcona aria operowa.

Innym zagadnieniem jest sprawa instrumentów ludowych. Jak już niejednokrotnie w kołach muzycznych stwierdzono, dawna kapela ludowa skazana jest na wymarcie; na miejsce jej wchodzi wrzaskliwa, ale wszechstronniejsza harmonia, lub akordeon. Piękną inicjatywę okazuje Radio sowieckie nadając melodie ludów Związku na instrumentach narodowych. Nasze tzw. kapele ludowe uprawiają naogół muzykę pseudo-ludową na instrumentach, które najprawdopodobniej nigdy do kapeli wiejskiej nie wejdą. Przydałoby się i tu trochę dobrej woli, aby wykorzystać choćby pieśni ludu Podhala opracowane przez Mierczyńskiego na zespół naprawdę ludowy.

(c. d. n.)

Wojciech Pawlicki

DOKOŁA BEZRUCZA

W ostatnich czasach dał się zaobserwować w Czechach wzrost popularności Piotra Bezrucza (pseudonim Włodzimierza Waszka), którego podnosi się dzisiaj do rangi narodowego wieszcza. Ten wysoce nacjonalistyczny poeta, pozostający pod silnymi wpływami secesji, jest lansowany nadzwyczaj gwałtownie, a co gorsza przy pomocy wątpliwych argumentów. Odnawia się przy tym nawet wypowiedzi znanego ongiś krytyka czeskiej „moderny" Arne Nowaka, który pisał w ten sposób: „Pojął (Bezrucz) problem narodowościowy głęboko i tragicznie, głęboko ponieważ „czeskość" utożsamił z wartością społeczną; to też jego uciśniony i sponiewierany czecho-ślązak, żyjący pod morawskimi Beskidami, jest przecież proletariuszem, wyzyskiwanym przez obcy kapitał w kopalniach węgla, albo też chałupnikiem uciskanym przez wielko-kapitalistyczną gospodarkę. Tragicznie dlatego, że ogląda swój naród wzrokiem pełnym zaniepokojonej miłości widząc go w stanie ciemnoty, wówczas, gdy grozi mu wróg zniemczenia i spolszczenia".

Niedawno do głosów tego typu przyłączyła się jeszcze jedna enuncjacja. Oto ukazała się książeczka Rektorisowej, usiłująca zamienić raz jeszcze Bezrucza w poetę buntu społecznego, w poetę protestu przeciw ustrojowi socjalnemu, panującemu przed pierwszą wojną światową na terenie całej Czechosłowacji. Cytuję tutaj fragment z tej pracy poświęconej takim właśnie wywodom: „Bezrucz i jego lud cierpiał od ucisku narodowościowego i społecznego. Jedno zło warunkuje drugie. Nie wystarczyłoby wygonić cudzoziemców, gdyby pozostała ta sama władza kapitału, nieludzka i nikczemna, bez względu na to w czyich by się znajdowała rękach. Ucisk narodowościowy jest uciskiem ludu, jest to zorganizowany system wykorzystywania i odzierania uciśnionych przez magnatów ziemskich i finansjerę, tak przez burżuazję jak i biurokrację, będącą na jej usługach. Nigdzie na naszych ziemiach nie dotknęło ludu tyle krzywd ile właśnie na Śląsku. Nigdzie ucisk nie był tak wołający o pomstę do nieba. Nie jest więc faktem przypadkowym, że na tej ziemi pojawił się pierwszy wielki, czeski, społeczny poeta. Wszystkie postacie Bezrucza mają usposobienia uwarunkowane trybem ich życia, pracy i myślenia. Spotykamy twarze ciemne, czarne, okopcone i wybladłe, o zniekształconych rysach i wygasłych oczach, z opuszczonymi rękami i ciężkim krokiem. Są to ludzie cisi, małomówni, skryci, pełni tęsknoty, smutni. W usposobieniu ich przejawia się nieśmiałość. Zostali tak już zdeptani przez swój los, że przybrali wobec wszystkiego, co ich otacza postawę pełnę negacji, niewiary a nawet i sprzeciwu. „Tylko jedną strunę mają moje skrzypki..." Tak jedną, ale i jedna tylko była siła, która je poruszyła: wzrastająca przemoc światowego kapitału".

W tekście Rektorisowej znać odrazu ten sam ton, który przebijał w pracach polskich krytyków, sprowadzających tak niedawno jeszcze Kasprowicza do roli poety walki społecznej. Pozycja, jaką bowiem zajmuje Bezrucz w literaturze czeskiej, przypomina niejako położenie twórcy „Hymnów" w poezji polskiej. Niewątpliwie duży wpływ na istnienie takich podobieństw mają zbliżone do siebie przebiegi rozwoju „moderny" w obu krajach. Tak w Czechach jak i w Polsce w drugiej połowie okresu secesji następuje gwałtowny zwrot do ludu i narodu: wzmożenie chłopomaństwa i mitologii szowinistycznych. Nagła działalność Dyka, Sovy i Bezrucza wycelowana wprost w artystowską poezję Gellnera i Karaska ze Lwowic, znalazła przecież niesłychany poklask (u nas patrz ataki Brzozowskiego, Struga oraz innych wyznawców czynu i wątpliwych utopii społecznych na krakowskie „Życie"). Zwrot ku narodowi owładnął wówczas prawie całą liryką. Arne Nowak, obaj Czapkowie, Opolsky przyłączyli się do tzw. grupy dykowców. Jest to jeden z pierwszych symptomów ogólnego odrodzenia nacjonalizmu jakie zaczynało się wówczas na całym zachodzie dokonywać. Trudno bowiem traktować ten ruch w oderwniu od działalności Maurrasa we Francji, Kiplinga w Anglii, od ruchów „narodowościowych" we Włoszech. Tak więc twórczość Piotra Bezrucza tkwi u podstaw dwu zupełnie sprzecznych później nurtów ideologicznych. A pamiętajmy, że w sytuacji, w jakiej znajdowały się Czechy przez cały wiek XIX liryka społeczna łączyła się ściśle z liryką nacjonalistyczną. Na przełomie wieku XX nie chciano także tych spraw rozdzielać. Ma rację Rektorisowa mówiąc, że poezja Bezrucza jest objawem protestu przeciw kapitalizmowi. Tak, ale przeciw obcemu kapitalizmowi. Kapitalizm czeski zostaje tu od razu uniewinniony. To też przyglądając się dzisiaj gwałtownej kampanii dążącej do gloryfikacji i wywyższania autora „Pieśni Śląskiej", trzeba powtórzyć: „Ostrożnie z Bezruczem, ostrożnie".



Piotr Bezrucz

Anna Kamieńska

IDEOLOGIA „LUDU"

(Z powodu ukazania się XXXVI tomu „Ludu" — organu Polsk. Tow. Ludozn. za lata 1939 — 45)

1. POLSKIE TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze powstało w 1895 roku we Lwowie. Jan Czekanowski występujący jako historyk tego Towarzystwa w I-szym powojennym tomie „Ludu", stwierdza, że na przełomie XIX i XX wieku było ono największym i niemal najżywotniejszym Towarzystwem naukowym obok Polskiego Towarzystwa Przyrodników. Powstało z inicjatywy inspektora szkół powszechnych w Lwowie, Seweryna Udzieli, następnie innego przedstawiciela szkolnictwa powszechnego Mikołaja Rybowskiego. Pierwotny statut nie uzyskał aprobaty c. k. Namiestnictwa. „Obawiało się ono — pisze Czekanowski — iż Towarzystwo, w skład którego wchodził w charakterze inicjatorów z jednej strony Wasilewski (znany krytyk i publicysta) a z drugiej Franko, będzie przede wszystkim ośrodkiem podówczas „tak popularnego ruchu chłopomańskiego, któremu warszawska „Wisła" rzeczywiście zawdzięczała swoją egzystencję". Rzeczywistym organizatorem Towarzystwa staje się dopiero uczony slawista Antoni Kalina, który konstytuuje komisję organizacyjną Towarzystwa na Zjeździe Polskich Literatów i Dziennikarzy w r. 1894 z okazji Wystawy Krajowej.

Po ustąpieniu i śmierci Kaliny Towarzystwo pod rządami Kallenbacha, Adama Antoniego Kryńskiego, Wilhelma Bruchnalskiego, Jana Czekanowskiego zaczyna zamierać. Oddziały prowincjonalne zanikają, zebrania i odczyty odbywają się coraz rzadziej i nielicznie. O przyczynach kryzysu ludoznawstwa po I wojnie światowej pisze prof. Czekanowski: „Niestety zainteresowanie etnografią, tak żywe u nas w końcowej fazie wojny, gdy wierzono, że uregulowanie spraw narodowościowych będzie stanowiło zasadniczą wytyczną przy nowym urządzaniu Europy, po zawarciu pokoju zaczęło u nas bardzo szybko zanikać. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że słowo „etnografia" kojarzące się z pretensjami naszych dokuczliwych mniejszości na kresach wschodnich zaczęło wywoływać przykre sensacje w szerszych kołach naszego społeczeństwa".

Jedynym przejawem żywotności Towarzystwa staje się pismo „Lud" redagowane przez Adama Fischera aż do jego śmierci (1943 r.). Ostatnia wojna zubożyła Towarzystwo o większą część członków: z 78 przeżyło ją tylko 29.

W 1945 r. w Lublinie dzięki Janowi Czekanowskiemu i Leonowi Halbanowi reaktywowano Towarzystwo, którego część archiwum udało się tu zgromadzić. Zadaniem Towarzystwa na najbliższy okres jest obok wydawania „Ludu" i gromadzenia biblioteki, stworzenie „fundamentów atlasu etnograficznego ziem polskich". W skład Zarządu Towarzystwa wchodzą: prezes Kazimierz Moszyński, wiceprezesi — Jan Czekanowski i Leon Halban, sekretarz — Józef Gajek, zastępca sekretarza — Roman Reinfuss, członkowie zarządu — J. St. Bystroń, K. Dobrowolski J. N. Kłosowski, J. Żołna Manugiewicz, J. Mydlarski, J. Obrębski, B. Stelmachowska, J. Świeży, L. Węgrzynowicz, K. Zawistowicz, J. Zborowski. W 2 § Statutu Towarzystwo określa swój cel: „**Celem Towarzystwa, obejmującego swoim działaniem cały obszar Rzeczypospolitej Polskiej, jest naukowe badanie ludu polskiego i sąsiednich, oraz rozpowszechnianie zebranych o nim wiadomości**".

2. ZASADNICZE ZAŁOŻENIA

Spróbujmy omówić zasadnicze pozycje zebrane w ostatnim XXXVI tomie „Ludu". Redakcja zamieszczając rozprawy uczonych autorów bez komentarzy przyjmuje odpowiedzialność zarówno za główne ich założenia, jak i za dysproporcje i różnice tych założeń między poszczególnymi autorami.

a) Ideologia romantyczna

Nieżyjący Adam Fischer, długoletni naczelny redaktor „Ludu" i sekretarz Towarzystwa Ludoznawczego, pisze rozprawę o Zorianie Dołędze Chodakowskim. Sięga w niej autor do genealogii polskiego ruchu ludoznawczego, a więc i swego Towarzystwa. Obudzenie zainteresowania chłopem w XVIII wieku przez społeczników i reformatorów politycznych przenosi się na teren literatury i nauki. Herder ukazał Słowianom piękno ich poezji ludowej. Adam Czarnocki czyli Zorian Dołęga Chodakowski w rozprawie „O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem" („Ćwiczenia naukowe" Warszawa, 1818) stworzył mit o wszechsłowiańskim raju w okresie przedhistorycznym. Jego wieczne, bytowe elementy zachowały się w kulturze naszego ludu. Przedsięebrał Chodakowski sam badania i podróże etnograficzne i zalecał wszystkim zbieranie przejawów tradycji ludowej: „**Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach** (podkr. autora), trzeba śpieszyć na jego uczty, zabawy i różne przygody. Tam w dymie wznoszącym się ponad głowami, snują się jeszcze stare obrzędy, nucą się dawne śpiewy i wśród pląsów prostoty odzywają się imiona bogów zapomnianych".

Adam Fischer podkreśla znaczenie ideowo-moralne tej działalności. Chodakowski odnosił się niechętnie do duchowieństwa, ponieważ tępiąc pogaństwo zniszczyło ono cenne zabytki dawnej wiary słowiańskiej. Krytykował szlachtę za zatratę cech narodowych, widział w ludzie rezerwuar narodowych sił. „**Między ludem cnota mieszka**, między ludem poezja mieszka... Złe ma serce ten kto ludu nie kocha całą braterską miłością".

Autor rozprawy nie zdobył się na rewizjonizm w stosunku do poglądów i działalności opisywanego badacza sprzed wieku. Tok rozprawy nie jest jednak suchy, informacyjny. Przeciwnie, rozprawę „O Słowiańszczyźnie" uważa Fischer za podwalinę archeologii słowiańskiej, postawę ideową Chodakowskiego referuje z największym uznaniem. „**Między ludem cnota mieszka**, między ludem poezja mieszka" — powtarza za romantycznym ludomanem. Naukowa etnograficzna wartość powyższych twierdzeń jest żadna — dotyczą one właśnie podkreślanej przez Fischera — ideowo-moralnej strony działalności Chodakowskiego. A więc też wymagają „ideowo-moralnej" czyli socjologicznej interpretacji. Odnoszą się przecież do wiadomej sytuacji klasy chłopskiej — na samym dnie pańszczyzny — rok 1818! Dlaczego mamy traktować opinię badacza-etnografa o ludzie jako poezję, a więc rzecz nieodpowiedzialną? Nie. Zorian Dołęga-Chodakowski jest **ideologiem romantycznego ludomaństwa** i tę ideologię, aby poznać i ocenić go, należało wyjaśnić. Fischer nie czyniąc tego, tym samym pisze się nie tylko na naukowe wyniki Chodakowskiego, ale pisze się na jego ideologię.

b) Ahistoryczne — etnografia, etnologia, socjologia

Fragment pozostawionej w tece pośmiertnej pracy Stanisława Poniatowskiego „Mahavrata" mówi o „metodzie badań genezy wytworów kulturowych w etnografii". Poniatowski przedstawia dwa kierunki ścierające się w etnografii: kierunek historyczny i funkcjonalistyczny. Zdaniem autora ani metoda historyczna (zajmująca się rozwojem kultur) ani funkcjonalistyczna (wyjaśniająca tylko wewnętrzną dynamikę ciągów kulturalnych) nie są zdolne do uchwycenia genezy zjawisk obserwowanych w kulturze. Przedmiot etnologii określa autor w zakończeniu fragmentu: „Społeczeństwami, którymi interesuje się etnologia, są plemiona i ludy. Narody, czyli ludy cywilizowane tylko częściowo wchodzą w zakres zainteresowań etnologii, mianowicie od swej strony ludowej, a nie narodowej". Jednym z celów etnologii, jak z tego wynika byłoby wyławianie w kulturze ludowej tego, co jest niejako ahistoryczne odwieczne (niecywilizowane). Jednak sito, które by pozwoliło otrzymać to przypuszczalne jedno ziarno przedhistoryczne — musiałoby być samo historyczne. Poniatowskiego krytyka historyzmu nie wydaje się przekonywująca.

O metodzie funkcjonalnej w etnologii pisze także O. Edward Bulanda T. J. recenzując książkę głównego teoretyka tego kierunku Wilhelma Muhlmanna: Methodik der Völkerkunde Stuttgart 1938.

Słuszne jest krytyczne stanowisko O. Bulandy w stosunku do Muhlmanna, który nie widzi różnic metodologicznych między naukami przyrodniczymi i „duchowymi" (historycznymi) — „zwłaszcza wobec współczesnej(?) tendencji do wprowadzenia myślenia przyrodniczego do dziedziny nauk duchowych". „Etnologia, zdaniem Muhlmanna, jest nauką przyrodniczą, gdy określa prawa rządzące zjawiskami etnologicznymi, jest zaś historyczną, o ile w granicach tych praw zdarzenia pojedyńcze można tylko z pewnym prawdopodobieństwem przewidzieć".

W końcowych frazesach O. Bulanda przyznaje Muhlmannowi zasługę sformułowania pierwszej metodologii kierunku funkcjonalnego w etnologii i zebrania obfitego materiału naukowego, z którego możnaby złożyć ładną syntezę, ale pod warunkiem, o którym Muhlmann w swej pracy zapomniał: „wer nicht liebt, dem zeigt sich nichts". Zaprawdę. Łatwiej się kochać, niż wykazać błędność i aktualną szkodliwość systemu metodologicznego, który w tej lub innej formie reaktywuje naturalizm w stosunku do zagadnień kulturowych — pokazać go w świetle istotnych tendencji współczesnej nauki — właśnie tendencji do **historyzmu**. Ale może to dla O. Bulandy nie byłaby już „objektywna" nauka lecz dziennikarska „publicystyka".

Leon Halban w rozprawie „O potrzebie badań etno-socjologicznych nad religijnością" opiera się na twierdzeniu wypowiedzianym przez amerykańskiego socjologa Rossa: „wiara, której się ufa, jest siłą realną, która decyduje o czynach ludzkich **niezależnie od tego, czy jest lub nie jest prawdziwa** (podkr. autora). Religia bywała stale jedną z sił, które warunkowały procesy społeczne". Ponadto autor podaje w wątpliwość ogólne mniemanie, jakoby uczucia i potrzeby religijne człowieka nowoczesnego zmniejszyły się w stosunku do przeszłości (np. średniowiecza). Następnie zastanawia się Halban nad możliwością definicji pojęcia — religia, przytacza też parę prób i zdaje się solidaryzować z opinią Webba: „Osobiście nie wierzę, żeby można zdefiniować religię". Szukając filozoficznej „istoty" religii nie przyjdzie Halbanowi na myśl szukać jej historycznie zmiennych znaczeń i socjologicznych funkcji. Przeciwnicy ideologiczni dają czasem marksistom gorzką przyjemność stwierdzenia, że... „już Marks powiedział..."

c) „Zamierzchłe warstwice psychologiczne".

Tymczasem nowoczesne (po Chodakowskim) ludomaństwo znajduje teoretyka w Bożenie Stelmachowskiej w artykule „Na drodze do teorii sztuki ludowej (Szkic informacyjny)".

Autorka dyskutując ze stanowiskiem kwestionującym w ogóle istnienie sztuki ludowej posługuje się zadziwiającą logiką rozumowania. Pisze: „Z chwilą, gdy stwierdzamy, że pewien przedmiot jest wytworem artysty ludowego, już tym samym zaistniał fakt historyczny w zakresie dziejów sztuki niezależnie od kwalifikacji samego obiektu. Są artyści, więc jest sztuka".

Przegląd stanowisk polskich historyków sztuki interesujących się sztuką ludową wykazuje, że wszyscy oni wyróżniają specificum sztuki ludowej **w psychologicznych** właściwościach jej twórców. Prymitywna, odmienna od miejskiej psychika chłopa ukształtowana w kontaktach z naturą decyduje o fenomenie sztuki ludowej. Sztuka ludowa jest odbiciem naiwnego świata chłopskiej wyobraźni. Wędrówka wątków literackich i motywów dekoracyjnych jest zjawiskiem wtórnym. Zasadniczo podobne lub te same motywy rodzą się w różnych miejscach samorodnie jako odbicia **wiecznego, niecywilizowanego umysłu ludzkiego**. Związek człowieka z przyrodą jest **decydującym** czynnikiem konstytutywnym „kultury ludowej".

„W przekonaniu człowieka z ludu — pisze Stelmachowska — magiczne koło roku obraca się nieustannie a między śmiercią i narodzinami rozgrywają się poszczególne stadia życiowe: dni pracy, radości, szczęścia i żałoby. To uzależnienie się od magicznego obrotu dorocznej obrzędowości wytworzyło u ludzi przez ciąg tysiącleci poczucie wspólnoty z przyrodą i jej przejawami, silnie odcinające się od płynności i ruchliwości życia miejskiego".

„Sztuka jako odbicie wiecznego, nieuprawnego intelektu ludzkiego **nie ma okresów stylowych** w znaczeniu stylów historycznych". Posiada ona cechy sobie tylko właściwe i funkcję bytową, ahistoryczną:

„Sztuka ludowa dąży do ukojenia w wartkim prądzie życia. Niepewność własnej egzystencji, obawa przed siłami przyrody, strach przed śmiercią. Niewiadomym, przed późniejszym bytem — podkreślają surowość i geometryzację linii".

Sztuka ludowa odsłania „zamierzchłe warstwice psychologiczne". One to stanowią w konsekwencji przedmiot zainteresowań etnografa, skoro dalej czytamy (pozytywna relacja o metodzie Spamera):

„Etnograf ma postawę fenomenologiczną. Dla niego fenomen izolowany ma walor estetyczny tylko o tyle, o ile może wyciągnąć z niego wniosek, który oświetli w sposób właściwy cały ów splot nerwowy mentalności grupy społecznej którą studiuje".

„Splot nerwowy mentalności grupy społecznej" oto jest zdaniem etnografów, których językiem jest w tym wypadku Bożena Stelmachowska, podłoże kultury. Podłoże kultury jest więc psychologiczne.

„Granica oddzielająca dziedzinę przejawów kultury ludowej od elitarnej jest tylko granicą psychiczną".

„Również i Haberlandt jest zdania, że nie trzeba ruszać świata z posad w zakresie nauk historycznych, aby ocenić w sposób właściwy sztukę ludową narodów europejskich". Antyhistoryczne te poglądy są zdaniem autorki — nowoczesne. „Daleko bardzo odeszły poglądy współczesne od stanowiska np. Forrer'a, który widział w sztuce ludowej formę podrzędną sztuki elitarnej. Sztuka wiejska wydała mu się spóźnioną sztuką urbanistyczną, wyszłą z mody, która obniżyła się o kilka stopni od swego oryginału"...

„Jakże inaczej — wykrzykuje egzaltowana autorka — ujmują te kwestie uczeni polscy!" Oczywiście głębiej i od podstaw duszy ludzkiej wplecionej w magiczne koło obrotów roku przyrodniczego.

d) Naturalistyczna teoria kultury.

XXXVI tom „Ludu" zawiera ponadto rozprawę Tadeusza Seweryna: „W nauce u zwierząt". Autor tak usprawiedliwia zajęcie się tematem: ‚Materiał ten nie ma nic wspólnego z historyzującym realizmem rejestrującym fakty w chronologicznym porządku. Niemniej przedstawia obiektywne wartości nie obojętne etnologii, jeśli charakter ich pozwala na interperetację niektórych **odwiecznych treści kultury**" (podkr. moje). Po raz drugi zostaje nam zdradzony właściwy przedmiot zainteresowań etnograficznych: odwieczne treści kultury to po prostu znów emanacja psychiki ludzkiej jako takiej, niezmiennej, istniejącej poza czasem.

Seweryn obserwuje paralelność form życia społecznego zwierząt i ludzi, przyjmuje więc bio-psychiczne podłoże kultury.

U podstaw rozprawy Seweryna leży naturalistyczna teoria kultury, spencerowski biologizm, którego krytykę przeprowadził na gruncie polskim—Znaniecki. Przedłużanie tego kierunku naukowego jest dziś jawnym anachronizmem.

e) Ruch regionalny.

Poza szczegółowymi szkicami referującymi wyniki badań terenowych zainteresuje nas jeszcze artykuł Marii Frankowskiej: „Regionalne muzea ludoznawcze w Polsce". Autorka w trosce o to, aby muzea etnograficzne stały się żywymi instytucjami kulturalnymi, wyznacza im ważną rolę wychowawczą. Powinny one skupić wszystkie „żywsze jednostki" rejonu. „W zasięgu działania muzeum powinien się znaleźć **przede wszystkim chłop** (podkr. moje), dalej nauczyciel ludowy, ksiądz, lekarz wiejski, a także urzędnik, którego terenem jest wieś, a więc instruktorzy rolni, spółdzielcy wiejscy itp. ludzie, którzy w swej codziennej pracy stykają się z ludem i mają sposobność dzięki temu bliżej poznać jego życie".

Autorka pragnie więc poruszyć wszystkie siły działające na wsi dla celu, który dawno temu Wacław Nałkowski pobłażliwie aprobował u panienek ze dworu. I to — zobaczymy — siły bardzo różnych systemów. Marię Frankowską nie obchodzi fakt, że ksiądz i instruktor rolny to ludzie różnych systemów, to działacze zupełnie różnych struktur społecznych. Widzi ona z jednej strony niezróżnicowaną masę społeczną, którą nazywa ludem, a z drugiej strony tych, którzy się z tym ludem jako zjawiskiem egzotycznym stykają. I znowu to nie tylko nieścisłości, anachronizmy werbalne, to nie tylko czysta tendencja naukowa, to świadomie czy nieświadomie przyjęta ideologia. „Ze względu na rolę, jaką we współpracy z regionalnymi muzeami etnograficznymi mogłoby odgrywać **duchowieństwo wiejskie, dążyć by należało do wprowadzenia wykładów z etnografii także i do seminariów duchownych**". (podkr. moje). Sens tego programu jest dla nas jasny. Z etnografów Tadeusz Seweryn bodaj największą rolę w kształtowaniu „kultury ludowej" przypisuje czynnikowi religijnemu. Ale są to znowu raczej „uczucia religijne", jakaś zachowana pogańskość, niż historyczny czynnik Kościoła. Parafia jest podstawowym wyznacznikiem kultury wsi. Niezgoda w tym punkcie etnografii z wiedzą historyczną — może tę pierwsza kosztować wiele zbędnego trudu. Proces zatracania się tzw. kultury ludowej, to jednocześnie proces emancypowania się wsi spod wpływów parafii. To też „wielkie zasługi" położyli księża dla zachowania „czystości" kultury ludowej na wsi. Oni to zawsze najpóźniej godzili się na zaszłą już w obyczajowości wsi zmianę w kierunku urbanizacji, grozili ogniem piekielnym za odrzucenie stroju ludowego na rzecz miejskiej tandety itd. Nie dziw, że księży przede wszystkim mobilizuje się do udziału w ruchu regionalistycznym.

Muzea regionalne nie powinny ograniczyć się do inwentaryzowania zabytków dawnej kultury ludowej. Frankowska pragnie, aby w ich programie leżało: przywrócić wsi dawne stroje, pielęgnować zanikające obrzędy i w ogóle „przejawy rodzimej kultury". Bo „pierwszym i najważniejszym zadaniem powołanych do życia muzeów etnograficznych, będzie **ratowanie za wszelką cenę od zagłady** i gromadzenie istniejących jeszcze i możliwych do zdobycia zabytków kultury ludowej... Umiejętnie wydobywając na jaw wartość tej kultury, budząc zrozumienie i umiłowanie jej przejawów, zespalając mieszkańca rejonu spójnią **więzów rodzinnych z własną ziemią** i całym krajem i pomnażając życie kulturalne swego ośrodka, spełniają muzea najpiękniejsze swe zadanie. **Rozszerzając i bogacąc życie wewnętrzne ludzi** znajdujących się w zasięgu ich promieniowania, osiągną one cel, do którego winny uparcie dążyć".

3. IDEOLOGIA.

Ta może zbyt szczegółowa recenzja treści ostatniego tomu „Ludu" okazuje się jednak pouczająca.

Pokazuje nam ona przede wszystkim, że etnografowie skupieni w Tow. Ludoznawczym bynajmniej nie ograniczają się do uprawiania „bezinteresownej" nauki. Jest to dla nas zupełnie oczywiste i zrozumiałe, uważamy bowiem etnografię za naukę humanistyczną i historyczną. Nie jest to jednak oczywiste dla nich. Nie zdając sobie sprawy ze znaczenia i konsekwencji społecznych swych postaw, wyrażają jednak ideologię, która przez działaczy i praktyków społecznych może być co najwyżej zlekceważona, lub uznana za szkodliwą. Pojmujemy tu ideologię w najszerszym sensie, a więc chodzi także o pewne tendencje metodologiczne niewątpliwie przestarzałe i cudem niejako zachowane w tej jedynej nauce, w której interesie badawczym leży jak **największy tradycjonalizm** — w etnografii.

Nie wtrącajcie się do nauki — powiedzą. Zgoda. Ale skoro nauka zaczyna przekraczać swoje granice, skoro, jak w wypadku M. Frankowskiej uzurpuje sobie sfery społeczno-kulturalnego działactwa i wyraża program ideologiczny (jak prawie wszystkie omówione pozycje artykułowe) wówczas naraża się na ocenę kryteriami ideologicznymi, ważnymi nie odwiecznie, a w czasie, aktualnymi i natrętnie politycznymi.

1. Teza o istnieniu odwiecznych pierwiastków kultury ludowej wyrosłej na gruncie psychiki człowieka nie cywilizowanego jest historycznym fałszem. W okresie romantyzmu odwoływała się ona do mitu słowiańskiego, pozostawała zwłaszcza w okresie Młodej Polski pod opieką filozofii idealistycznej i posługiwała się systemem werbalnym wszystkich razem irracjonalnych kierunków okraszonych stylem poezji symbolicznej. Kultura ludowa niewątpliwie rozwijała się historycznie w środowisku, którego sytuację społeczną i wewnętrzne uwarstwienie zdolna jest opisać je-

dynie socjologia i w kręgu instytucji oddziaływujących kulturalnie: dwór, parafia, miasteczko, targ itd. Cofając się w czasie możemy napotykać tylko coraz inne sytuacje społeczne warunkujące kulturę, nigdy zaś nie dojdziemy do czegoś, co określa się jako psychikę człowieka — twórcy kultury.

2. Zagadnienie: Kultura ludowa żywa czy martwa? — nie jest właściwie zagadnieniem. „Kultura ludowa" w procesie, który nazwiemy nieściśle urbanizacją wsi, nie przedłuża się w tradycji kulturalnej środowiska (z wyjątkiem nielicznych form rzeczywiście związanych z terenem, jak budownictwo). Muzeum i teatr, są jedyną lokatą form ludowej kultury. Ale szpada nie staje się przez to dla nas groźniejsza, że ginie od niej na scenie Hamlet.

O ile literaci, malarze, muzycy mogą się spodziewać wytrysku nowych natchnień ze „źródła" sztuki ludowej? O tyle, o ile dość silnie tkwić będą w ogólno-europejskim nurcie sztuki, a nie o ile głęboko zanurzą ręce w źródle ludowym.

3. „Lud" jest kategorią, która znaczy zupełnie co innego w ustach dziewiętnastowiecznych ludomanów, a co innego w przymiotniku używanym dziś np. w zestawieniu: Państwo Ludowe. „Lud", jest kategorią środowiska kulturalnego dziś nie istniejącego. Określenie: kontakt z „ludem" znaczy dziś po prostu, że się spadło prosto z tego nieba, w którym rozróżniano dwa światy społeczne: szlachtę i lud. Czy np. są ludem chłopi - samopomocowcy, działacze polityczni, młodzież szkolna na wsi, czytelnicy jeżeli nie Gałaja to Sienkiewicza, starzy prenumeratorzy pism literackich i politycznych? Są ludem? Ale Cholewę znaleźliście jednego, któremu się podobało chodzić w kierpcach i zamiast na zebraniu gminnym krytykować politykę cen i nadużycia spółdzielców — zbierać wiadomości o strojach ludowych. Bo, jak zresztą pokazał prof. Czekanowski, nie chłopska to rzecz. Szlacheckie ludomaństwo i jego polityczne (czy patriotyczne) interesy powołały do życia Towarzystwo Ludoznawcze w końcu XIX wieku. Szlacheckie ludomaństwo, działanie „Macierzy" i szlachetnych pań pobudzało wiejskich nauczycieli do solidarności z kierunkiem i pracami grup inteligencko - szlacheckich.

4. „Ratować za wszelką cenę" formy kultury ludowej, to u tradycjonalistycznych etnografów znaczy izolować wieś, to znaczy raz jeszcze w historii odcinać jej drogę postępu. Czy chcecie szkoły na wsi? Trudno powiedzieć — nie, choć prof. Bystroń stwierdza, że kultura ludowa to wytwór okresu przedpiśmiennego, to w każdej dziedzinie **analfabetyzm** wsi. Niech więc choć nauczyciel do spółki z księdzem ochrania i zbiera to, co zostało z kultury ludowej. Słusznie. Ale przewidujemy i to, że nauczyciel z księdzem mogą się pokłócić, bo okazać się może, że ustrój, którego funkcjonariuszem będzie się czuł nauczyciel, nie podoba się księdzu. A jeśli będą działać zgodnie, to znów zdarzyć się może, że w hierachii ważnych zadań społecznych, nauczyciel wybierze nie muzealnictwo etnograficzne, a zorganizowanie koła „Wici", spółdzielni i na więcej czasu mu w Polsce Ludowej nie wystarczy. Nie znaczy to oczywiście, aby nauczyciel nie miał się zajmować zbieraniem zabytków kultury ludowej. Pożyteczna to praca pomagać historykom kultury i nauczyciel z racji swej pozycji na wsi może ją łatwiej spełnić, niż ktokolwiek inny. Chodzi tylko o zdanie sobie sprawy z funkcji tej pracy — czy będzie ona samooszukiwaniem się, ucieczką od historii, „powrotem do natury", czy też gromadzeniem historycznego, społecznie ważnego materiału, tak samo z zakresu „kultury ludowej", jak np. tradycji społeczno - politycznej regionu.

5. Przyrodę, mistyczny związek z ziemią — przeciwstawia się cywilizacji, w której jarzmie żyje człowiek współczesny i mieszczuch. Chodzi przecież tylko o różnice systemów cywilizacyjnych. Możnaby powiedzieć nawet, że doskonalsza technika w ramach oczywiście socjalistycznego, a nie kapitalistycznego ustroju, może zapewnić człowiekowi więcej wolności niż żarna i drewniany lemiesz.

„Tak, proszę państwa — mówił pięknie uczony etnograf w dobranym gronie —wiedza nowoczesna potrafi w retorcie wytworzyć rubiny pozornie podobne do tych, jakie się wytwarzają w łonie ziemi. Ale to nie to. Duszy nie ma!"

Etnografowie, widząc podstawę kultury ludowej w związku ludu z ziemią, stawiają kulturze normy nie humanistyczne, a fizjologiczne. Rzeczywistość miasta jest może społeczna, kulturalna, czy polityczna, rzeczywistość wsi jest tylko **biologiczna.** Obyczajowość wsi układa się w „girlandowe pętle" czasu przyrodniczego. Sama fałszywa poetyczność sformułowań niektórych etnografów przekonuje o fałszywości ich tez naukowych.

6. Kryzys sztuki w ogóle. Notują go teoretycy „zachodniej" orientacji i malkontenci. To co zdrowe, jędrne, świeże tkwi jeszcze w jednej sztuce ludowej. U nas wszystko mętne, mdłe, anemiczne. I dalej na wieś — zbierać przejawy zdrowej, niezepsutej jeszcze sztuki ludowej! Nawoływanie to jest bardzo słabym, spóźnionym echem prądu regionalistycznego. Cały nasz „ruch ludoznawczy", jeśli nie jest traktowany jako dyscyplina historyczna, jest ostatnim drgnieniem szerokiej fali europejskiego regionalizmu dziewiętnastowiecznego. Jego sens polityczny i społeczny był jasny. Wyzwolenie uciśnionych narodowości z jednej strony, z drugiej: przeciwdziałanie w sferze kulturalno - moralnej kapitalistycznemu centralizmowi gospodarczemu. Dziś regionalizm trudno by już nazwać poprawką do kapitalizmu. Dziś regionalizm oznaczałby już tylko: zatrzymanie stanu rzeczy — **za wszelką cenę.**

Powtórzę z wiersza drukowanego kiedyś we **„Wsi"**:

„Bronilibyśmy każdej bryłki ludzkiego
pomysłu,
Gdyby nie kierunek historii —
sprawiedliwy".

Anna Kamieńska

Lech Budrecki

Wróćcie na pastwisko

Pozycja Ramuza we współczesnej literaturze francuskiej wydaje mi się jedną z najbardziej interesujących. Sprzeczne sądy, jakie na temat autora „Życia Samuela Belet" wypowiada się po dziś dzień, utrudniać mogą poważnie ocenę jego pozycji. Jeszcze w latach 20-ych gwałtownie atakowany i potępiany, potem znów szanowany i coraz bardziej czczony ten pisarz szwajcarski stanowi niewdzięczny przedmiot badań. Krytyk błądzi zazwyczaj pomiędzy sugestiami, to drwiącymi i pełnymi tonu ekskomuniki, to znów rozbrzmiewającymi zachwytem i pochwałami.

W takiej sytuacji naprawdę trudno przyłożyć do książek jakieś miary krytyczne. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, gdy piszący ma świeżo w pamięci entuzjastyczną przedmowę tłumacza.

Chcąc jednak wybrnąć z tak kłopotliwego położenia, zacznę od umiejscowienia Ramuza na mapie literackiej Francji kilkudziesięciu ostatnich lat. Jego książki sąsiadują z całą działalnością Jana Giono, zbliżając się nieco do „Nocnego Lotu" St. Exupéry'ego. Jak widać raz jeszcze mamy do czynienia z osiwioną krucjatą naturystów. Już Baudelaire nie ufał industrialnej cywilizacji XIX wieku, nazywając przy tym wiarę w postęp najstraszliwszym z nonsensów. Tak więc powtórzono odpowiedź daną przez Jana Jakuba na konkurs Akademii w Dijon. Bunt przeciw tradycyjnym formom życia mieszczańskiego, przeciw ideologiom, które je usprawiedliwiały, szybko stał się rozgrzeszeniem praktyki imperializmu. Nietzsche, Rimbaud a nawet Gide zwalczający strukturę obyczajową mieszczaństwa, usiłujący sformułować nowe hasła etyki i moralności zamienili się w proroków tych form społecznych, które broniły monopolistycznego kapitalizmu. Ich kontynuatorzy całkiem wyraźnie zeszli na pozycje interesów własnej klasy. W tym przerażająco pobieżnym zarysie (wina każdej recenzji), który przedstawiłem tu przed chwilą, mieści się cała historia naturyzmu. W każdej chwili można ją odczytać. Pytacie, co to naturyzm? Otóż naturyzm — to filozofia powrotu do ziemi, zerwania z industrialną cywilizacja, to wiara w chłopa, człowieka wiecznego. W liczbie dzieł ilustrujących taką właśnie ideologię nietrudno będzie nam znaleźć i „Pastwisko na Derborence". Waląca się skała zasypuje człowieka, ten jednak wydostaje się cudem spod kamieni i wraca do domu. Wyrusza jednak ponownie w góry, by odnaleźć swego towarzysza, który może żyć tam jeszcze, wyrusza na bardzo prawdopodobną śmierć. Powstrzymuje go jednak żona, mówiąca mu, że będzie miał dziecko. Obowiązek ojcostwa każe Antoniemu Pont zatrzymać się i wrócić do siebie, na wieś.

Jedynym więc konfliktem całej książki jest walka z przyrodą, walka najważniejsza rzekomo dla ludzkiego życia. Ten, kto potrafi pokonać siły zostaje prawdziwym triumfatorem. „Pięciu ludzi miał przed sobą, górę zbrojną w mury, ogromne wieżyce, złośliwą, wszechmocną — ale ta jedna słaba kobieta powstała przeciw niej i pokonała ją, gdyż kochając odważyła się. Będąc pełna życia poszła tam gdzie ono jeszcze się kołacze i wyprowadza je z samego środka krainy śmierci". Nie starcie poszczególnych grup społecznych i nie kryzysy ekonomiczne grają podstawową rolę w ludzkim życiu. Główny i rozstrzygający problem leży zupełnie gdzie indziej. Oto wstęp Ramuza do „Pastwiska na Derborence". On powinien objaśnić nas ostatecznie w tej kwestii... „Derborence" raz wyzuta ze wszystkiego, co może mieć charakter anegdotyczny, wyraża w swej istocie walkę człowieka z przyrodą, walkę, która, myślę jest od krańca do krańca ziemi jednakowa, jakiekolwiek byłyby jej formy; i tak tutaj człowiek broni się przeciw skale, gdzie indziej przeciw wodzie, tam przeciw ziemi, jeszcze gdzie indziej przeciw posusze, lecz wszędzie gdziekolwiek przebywa, musi się wykazać tą samą wytrzymałością, tym samym uporem, jeśli tylko chce pozostać przy życiu... W ten



C. F. Ramuz

sposób, upewniam się, być może człowiek również zdoła rozpoznać siebie i odnaleźć w człowieku gór, chociaż ich widnokręg jest różny, wszędzie bowiem trzeba walczyć, wszędzie budować, zaczynać i znów rozpoczynać, nawet nie poto, aby czynić postępy, lecz tylko aby trwać, gdyż dom bez konserwacji wali się, pole nieuprawiane przestaje być urodzajne, ubranie nie reperowane szybko rozpada się w strzępy". Tak więc pokazane nam zostało zadanie książki, mającej reprezentować widowisko konfliktu dwu „wielkich" przeciwstawnych sobie sił: człowieka i przyrody.

Z dala od cywilizacji technicznej jest dopiero prawdziwe piękno, nawoływali wszyscy zwolennicy pierwotności, wszyscy wyznawcy powrotu do prymitywizmu. Głosili przy tym, że człowiek traci swoją osobowość wśród rosnącej industrializacji, stając się bezwolnym narzędziem, częścią maszyny. A w górach, w odległych miejscach, o które nie otarły się wynalazki techniczne, mają znajdować się rezerwaty urody świata. Nic w tym więc dziwnego, że opisując dalekie wioski alpejskie, Ramuz sięga po niesłychaną poetyczność pejzażów. Posługuje się tu daleką metaforą, ozdabiając i deformując przedmioty w imię najczęstszych i najpowszechniejszych wśród ówczesnych czytelników upodobań estetycznych. Ich bowiem miała przekonać poetyckość Anzeindazu i Derborence'u. Proszę, oto wystarczający chyba przykład: „Niekiedy tylko pojawia się w tych pustkowiach stado owiec, zwabione odrobiną trawy, która rośnie, wszędzie tam, gdzie skała ustępuje jej miejsca i stado wałęsa się długo jak cień obłoku. Jak cień obłoku raz ciemniejszego od niego, jeśli zwierzęta mają barwę brunatną, a kiedy są białe, cień jest tej samej barwy co skała, kiedy indziej cień jest pstry, jeśli zwierzęta jak to bywa, są różnej maści. Gdy przechodzą blisko, szumią jak rzęsista ulewa".

Styl był chyba tym elementem dzieł Ramuza, który powodował najczęstsze i najgwałtowniejsze inwektywy. Stały się one w końcu tak nagminne, że autor „Życia Samuela Belet", odpowiadał na nie sam w liście do Bernarda Grasset umieszczonym na początku tomu „Salutation paysanne".

Przytaczam stamtąd kilka bardzo charakterystycznych, w moim mniemaniu, zdań, ułatwiających niepomiernie pracę krytyczną. Autor daje w pewnym sensie klucz do swoich poczynań i co ciekawsze klucz trafny. „Oto jest to właśnie co usiłowałem robić (lepiej lub gorzej, mówię tu tylko o swoich zamiarach). Pisałem językiem, który nie był jeszcze literacki. Zapewniam, że uczyniłem to dla miłości prawdy, dla głębokiego upodobania autentyczności (w przeciwieństwie do tego co mi się zarzuca) dodam jeszcze, dla wierności". Już od pierwszych chwil lektury „Pastwiska na Derborence" uderza dziwny charakter tej książki. Później dopiero zaczynamy się orientować, że stanowi ona po prostu tom notat kronikarza, informującego o dziwacznym wydarzeniu, które w celach informacyjnych chyba podał „Słownik Geograficzny". „Pewien pasterz, który zaginął i uważany był za zmarłego, przepędził wiele miesięcy, pogrzebany w szałasie, żywiąc się chlebem i serem..." Opowiada nam to szczegółowo mieszkaniec tych okolic. Zwróćmy tylko baczną uwagę na typ narracji. „Ludzie z Anzeindaz mówili: „Zaczęło się wszystko od salwy artyleryjskiej; jednocześnie dało ognia sześć dział baterii. Następnie mówili, przyszło uderzenie wiatru. Po tym dał się słyszeć ogień karabinowy połączony z wybuchami, trzaskami, wyładowaniami, które dobiegały ze wszystkich stron, a jak się zdaje, nadciągały z wysoka; całe góry wzruszyły się od tego. Wiatr otworzył drzwi na oścież, jakby za jednym kopnięciem. Iskry z ogniska wzbiły się i opadły na nas, jakby śnieg padał w szałasie . A my, co? Na tej przełęczy nie jest się tu dużo niżej od miejsca, gdzie zwalisko się oberwało, chociaż trochę na uboczu i w tyle; i tak pierwszy hałas wywołany był hukiem występu skalnego, który spadał w dół, po czym nastała istna zawierucha wojenna, idąca od jednego łańcucha do drugiego, od grzbietu do grzbietu, od szczytu do szczytu. Były to jakby grzmoty wokoło każdego z szczytów, które podawały sobie góry w półkolu. Argentin podawała Dents de Morches a Rocher du Vent podawały St Martin.

Zerwali się byli na równe nogi. Było ich trzech. Nie mogli znaleźć swoich krzesiw. Zwierzęta, które powracały na noc, lecz nie były trzymane na uwięzi, czyniły ogromny rozgardiasz w oborach, co groziło ich zawaleniem". Relację zbudowano w oparciu o język wieśniaków szwajcarskich, zbudowano ją z urywanych zdań, usuwając długie okresy i kadencję niekończącej się frazy. Świadek opowiadający o zwaleniu się Diablerets ma prawa autorskie i to te sprzed lat. Zna myśli bohaterów swojej opowieści, podaje ich monolog wewnętrzny. Jedną z bardziej niepokojących cech omawianej przeze mnie książki jest stałe zaznaczanie daty dziejących się wydarzeń. „Teresa chwyciła modrzewiową gałązkę — a było to tego samego wieczoru, dwudziestego drugiego czerwca, prawdopodobnie około godziny ósmej i pół, kiedy *Serafin z Antonim siedzieli na Derborence* przed ogniskiem". To każe nam myśleć o chwytach simultaneistów. Tak jednak nie jest. Wymienianie dat stanowiło tu tylko wypełnianie podstawowego obowiązku kronikarza, kóry polega przecież na dokładnym umiejscowieniu wydarzeń w czasie. Za hipotezą tą przemawia jeszcze nadzwyczaj wielka liczba postaci występujących w „Pastwisku na Derborence". Dziwiono się takiej właśnie kompozycji, wprowadzającej szereg osób i zdarzeń, bez których z powodzeniem można było przeprowadzić samą intrygę. Niektórzy uważali podobną konstrukcję za wadliwą, mnie wydaje się zaś, iż podkreśla ona jedynie element kronikarskich zapisków, element moim zdaniem dla tej powieści najważniejszy. Demonstrowanie kolejno reakcji poszczególnych ludzi na wieść o zwaleniu się Diablerets prowadzi przecież nieuchronnie do takiej budowy utworu, która zbliżałaby się jak najbardziej do gawędy, do opowieści, kogoś, kto to wszystko bezpośrednio oglądał.

Wieś tym razem jest widziana od wewnątrz. Pisarz przyjął język jej mieszkańców, przyjął ich sposób wypowiedzi. A wszystko po to, by raz jeszcze, podkreślić wyłączność zbawienia leżącego w pierwotności. Trzeba wrócić do prymitywu, gdyż tam dopiero uda się odnaleźć prawdziwych ludzi. Takie były wskazania mieszczańskich mitów anty - cywilizacyjnych.

Lech Budrecki

Alina Nofer

Dworek miał zatrzymać historię*)

Nie jest rzeczą przypadku, że akcja „Szalonej", jednej z ostatnich powieści Kraszewskiego pisanych już na emigracji, obejmuje lata 1859—62, jak to ustalił Zawodziński (posłowie do „Szalonej").

Był to okres szczególnie niepokojący umysły szlacheckie zmianami w strukturze gospodarczej kraju jakie dokonywały się pod presją historii, niepokojący ideologiami powstającymi na tym tle. Zmiany w strukturze gospodarczej kraju, to przede wszystkim uwłaszczenie chłopów. Ideologie — to coraz odważniej krystalizowana myśl obalenia istniejących w ramach feudalnego ustroju stosunków społecznych. Była to rzeczywistość zagrażająca szlacheckiemu stanowi posiadania, której usiłowały się przeciwstawiać programy życiowe zaniepokojonej klasy. W obronie własnej pozycji każdą inowację wyniesioną prądem dokonujących się przemian należało witać niechętnym okiem i zgóry przesądzać jej wartość.

Dowodem zachowawczego stanowiska szlachty był wyraźny brak zgody na reformę włościańską. Kraszewski, jako bezpośrednio zainteresowany tą kwestią posiadacz Gródka, nie brał udziału w obradach komitetu powołanego do rozstrzygnięcia sprawy uwłaszczenia chłopów, ale w memoriale złożonym na ręce marszałka zadeklarował swoją opinię: „Wszelka reforma gwałtowna, rewolucyjna rzadko bywa pomyślna", „przejście ze stanu patriarchalnej podległości do usamowolnienia powinno i musi być w samym interesie włościan stopniowe i oględne". „Dla własnego dobra włościanin z opieki wypuszczony być nie może". (Chmielowski — J. I. Kraszewski, zarys historyczno-literacki, Kraków, 1888). Z dalszego sensu memoriału wynika, że odebranie siły roboczej majątkom szlacheckim pociągnęłoby za sobą absolutną klęskę warstwy, która jest jedyną przedstawicielką cywilizacji i postępu. Byłoby to cofnięciem całego kraju o 100 lat wstecz na drodze jego rozwoju. Kraszewski podawał się za rzecznika postępu, ale niewychodzącego spod kontroli szlachty, która by mogła odpowiednio regulować jego napięcie i kierunek. Postęp dokonujący się poza zasięgiem jej wpływów był „jazdą w kółko błądzącego w nocy podróżnego" (Synowie wieku), był zjawiskiem conajmniej godnym pożałowania, o ile nie groził zbyt daleko posuniętymi konsekwencjami. Dlatego „Ostap Bodnarczuk" mimo zdobytego za granicą dyplomu lekarza wraca do wsi i pozycji, z której wyszedł. Dlatego wszelkie bolączki włościańskie generalnie ulecza idealny patriarchat szlachecki w „Ładowej Pieczarze". Bowiem szlachta, zdaniem Kraszewskiego, jest także „głównym czynnikiem materialnego i moralnego odrodzenia narodu" (Chmielowski).

Na przykładzie „Szalonej" autor jeszcze raz

*) J. I. Kraszewski — Szalona — wznowienie — wyd. Wł. Bąka Łódź—Wrocław r. 1947.

usiłuje dowieść, do czego prowadzą hasła postępu godzące w szlachecki, poparty tradycją system życia.

Uniwersytet Kijowski w latach 1858—59 wchłonął w siebie najbardziej radykalną młodzież, która po rozruchach w Charkowie, zakończonych usunięciem jej z tamtejszej uczelni, przeniosła do stolicy Rusi główną bazę swojej działalności. Pod nazwą Towarzystwa Literackiego kryła się polityczna organizacja, zmierzająca do obalenia dotychczasowego ustroju społecznego. Terenem jej ekspansji stała się warstwa chłopska, której kształcenie w niedzielnych szkołach szło w parze z akcją uświadamiania politycznego. Niemałą rolę odgrywały w tym ruchu studentki, którym od niedawna liberalizm pierwszego okresu rządów Aleksandra II dozwolił korzystać z nauki na równi z kolegami.

Tę właśnie kijowską, radykalną młodzież przedstawia Kraszewski w swojej powieści. W niczym ona jednak nie przypomina zrzeszonych i świadomie działających członków organizacji, która ma wyraźnie sprecyzowany program. O ich życiu, działalności, terenie wpływów, nie wiemy nic. Jest to nieokreślona bliżej grupa studentów zbierająca się codziennie na herbatki i dyskusje po to, by w bałwochwalczym skupieniu wysłuchiwać słów mistrza Jewłaszewskiego, który głosił mało uchwytne teorie osłaniane powagą autorytetu jakim się cieszył, nie dopuszczając do krytycznej ich oceny. Mistrz nosił „strój, który przypominał dostatniego włościanina małorosyjskiego", „mówił zawsze jak z katedry, a twarz jego długa, rysów dość regularnych choć niemiłych przybierała naówczas wyraz jakiegoś natchnionego apostolstwa. Wygłaszał aforyzmy..." Taka jest opinia odautorska o przewodniku młodzieży, cieszącym się wśród niej ogromną popularnością. Ze słów samego mistrza wiemy, że chciał sięgać do ludu po „ziarna prawdy", że chłopi „jest to do dziś dnia klasa pariasów, wywołańców, na których pasożytem siedzi i karmi się reszta ludzi. Temu koniec położyć trzeba". Wiemy, że był wyznawcą „znakomitego Fouriera", a więc bliski ideologii pietraszewców, Czernyszewskiego i innych prekursorów walczącego socjalizmu. Wpływ jego na młodzież określa autor jako „dwuznaczny wielce, bo nie wiedzieć dokąd mający prowadzić" i dwukrotnie dyskwalifikuje go jako ideologa. Raz, gdy pod pretekstem duchowego braterstwa zbliża się do „szalonej" Zoni w celach przynoszących ujmę jego powadze i bezinteresownej postawie i powtórnie, gdy szantażem zmusza porzuconą kiedyś, a w międzyczasie zbogaconą żonę do zapewnienia mu materialnej podstawy do beztroskiego życia. Z chwilą otrzymania odpowiedniego funduszu „chłopska fizjognomia mistrza ustąpiła jakiejś nowej, przypominającej urzędnika", a sąsiedzkie wizyty, gra w wista i przyjaźń „pana radcy" udaremniły dalsze apostolstwo wśród młodzieży.

Wyraźnie zniekształcona rzeczywistość historyczna, ma spełnić określony cel. Przez ośmieszenie przewodnika młodzieży propagującego niebezpieczne teorie pomniejsza się wagę problemów społecznych nurtujących epokę. Przez bierny i bezkrytyczny stosunek młodzieży do podawanej jej ideologii pomniejsza się wartość intelektualną najbardziej radykalnych przedstawicieli nowych prądów, a więc i rozmiar niebezpieczeństwa grożącego od tej strony szlachcie. Koncepcję tę dyktuje samoobrona pisarza.



J. I. Kraszewski

Jedynym konkretnym rezultatem wpływu ideologii głoszonej przez mistrza, jest postawa wobec życia „szalonej" Zoni, emancypantki konsekwentnie zrywającej z wiarą, poszanowaniem tradycji i obyczajów warstwy, z której pochodzi, z normami obowiązującej moralności, w imię własnego systemu kapryśnej fantazji. Osierocona szlachcianka, wychowana przez zamożnych opiekunów, po ich śmierci podejmuje w Kijowie samodzielny tryb życia entuzjastki nauki i poglądów Jewłaszewskiego. Pociąga ją zwłaszcza teoria wolnej miłości, z której wyciąga natychmiast praktyczne wnioski, do czego zresztą otwarcie się przyznaje. Nie protestuje przeciw temu najbliższe otoczenie; oskarża—dopiero przedstawicielka zachowawczej szlachty, (matka trzeciego z rzędu ukochanego Zoni), a więc głos opinii warstwy, z której „szalona" wyszła. Z dużym prawdopodobieństwem można przypuścić, że opinię tę podziela i sam autor.

Kraszewski w komentarzu odautorskim powstrzymuje się od uwag oceniających postępowanie Zoni. To może prowadzić do błędnego wniosku, że solidaryzuje się z postawą bohaterki, lub, będąc pod urokiem stworzonej przez siebie postaci „mimowoli afirmuje rewolucyjność przedstawianego środowiska, jako ferment szlachetny" (Zawodziński — posłowie do „Szalonej"). Dla poparcia innego wniosku można przytoczyć wypowiedź Kraszewskiego na temat emancypacji kobiet: „Oto swoboda. Swoboda ta zniża cię do biednego mężczyzny, daje ci mętne jego rozkosze, zgubną jego wolność, a odbiera ci twoje ciche życie córki, żony, matki; ona cię odrywa od rodziny, której byłaś gwiazdą opiekuńczą, aniołem stróżem domowego ogniska" (Synowie wieku r. 1842) „Życie nasze całe niemal zamyka się w ognisku domowym". „Od kobiety-matki zależy dziś niemal cała nasza przyszłość" (Program polski — myśli o zadaniach narodowych r. 1872).

W świetle tych wypowiedzi ocena postępowania kobiety żyjącej na zasadach wolnej miłości nie potrzebowała sięgać po słowa potępiające. Moralność Zoni dyskwalifikował dostatecznie fakt posiadania kochanków. A końcowy jej udział w „oszalałej" Komunie Paryskiej, samotność kojona absyntem, „który bardzo lubi", jest chyba dostatecznym upadkiem w rozumieniu Kraszewskiego. Wdzięk, odwaga, szlachetność, którymi obdarza pisarz swoją bohaterkę są atrybutami jej szlacheckiego pochodzenia i mają wagę dowodową przy oskarżaniu postępowego środowiska, które swoim wpływem przyczyniło się do zmarnowania człowieka o tak wyjątkowych walorach. Za „szaleństwo" Zoni winę ponoszą rewolucyjne ideologie, którym uległa.

Łańcuch przyczynowo-skutkowy nie zamyka się tylko na Zoni. Kuzyn jej, szlachecki syn pełen poważania dla tradycji domu, z którego wyszedł po naukę do miasta, skutecznie opiera się naukom mistrza, a nawet próbuje z nim dyskutować. Na stwierdzenie pasożytnictwa klas posiadających, które w imię wolności gnębionego ludu należy zniszczyć, odpowiada prawowierny przedstawiciel swojej klasy: „Czyż nauka Chrystusa nie położyła już końca temu ogłaszając braterstwo wszystkich ludzi i miłość dla bliźnich czyniąc najpierwszym obowiązkiem?" Na to mistrz nie umie znaleźć odpowiedzi... Opancerzony w ten sposób Ewaryst ulega jednak postępowi w osobie jego reprezentantki, Zoni. Zło umie działać nawet drogą pośrednią. I oto posłuszny, najlepszy syn, ukrywając starannie przed matką swoją miłość, porzuca studia, brnie w okropne długi, zaniedbuje dom rodzinny i niszczy swą nieskazitelną opinię. Czyż Zonia jako zjawisko społeczne wprowadzające dysonans do sielanki szlacheckiego dworku, mogła być przychylnie oceniana przez autora?

Ale w pewnym momencie prawda poza — autorska wymyka się czujności Kraszewskiego. Wprowadzając konflikt, jaki powstał na tle zbliżenia do siebie przedstawicieli dwóch diametralnie różnych stanowisk ideologicznych, przy szkodliwym wpływie sił postępu na tradycjonalizm szlachecki wykazuje jednocześnie słabość postawy, pod którą sam się podpisuje. Zonia nie zeszła ani na chwilę z drogi swej buntowniczej wolności — Ewaryst natomiast jakże daleko odbiegł od wdrażanych mu przez środowisko poglądów. Jest to mimowolnie ukazane zwycięstwo nowych prądów.

Ewaryst musiał ostatecznie zawrócić z błędnej drogi Nie był bowiem wychowany przez przypadkowych opiekunów „o których różnie jakoś mówiono". Stał za nim czuwający dworek rodzinny i przynależność klasowa autora. Podczas gdy Zonia będzie chciała ginąć razem z pokonaną Komuną Paryską, on porzuciwszy studia ożeni się z kobietą wybraną mu przez matkę. Spokój „domowego ogniska" zostanie uratowany.

Interpretacja „Szalonej" jest dosyć prosta. Pomniejszenie wagi dokonujących się na oczach pisarza przemian miało uspokoić jego szlacheckie sumienie wietrzące w nowinkarskich ideologiach pogrom własnej klasy. Zaszczepienie światoburczych haseł w umyśle samotnej, bezkrytycznej dziewczyny przenosiło problem z szerokiego terenu przemian w sferę moralnego upadku jednostek, któremu już łatwo można zapobiec przez odpowiednie wychowanie. Na tym będzie polegać rola szlacheckiego dworku, który nie pośle przede wszystkim Ewarystów swoich na uniwersytety, a poza tym zaopiekuje się samotnymi dziewczętami z własnego środowiska (inne nie są groźne). W ten sposób mistrzowie Jewłaszewscy zostaną pozbawieni swych najgorliwszych adeptek, co przyczyni się do prędszej rezygnacji ich z roli apostolskiej. A wtedy nikt nie będzie głosił haseł burzenia w imię wolności stanów. Przykład „Szalonej" ma podziałać ostrzegawczo i równocześnie umocnić przeświadczenie o niewzruszalności podstaw dworku, który w patriarchalnym układzie stosunków z chłopami rozstrzygnie każdy problem epoki.

Dworek szlachecki Kraszewskiego miał zatrzymać historię.

Alina Nofer

Piotr Wyrobek

WIEŚ OSIELEC

Jadąc pociągiem w stronę Zakopanego przez Suchą wjeżdżamy do Makowa Podhalańskiego, niegdyś siedziby ekonomii królewskich dóbr stołowych, do której należała też wieś Osielec. Widzimy ją z okien wagonów kolejowych. Przerżnięta jest rzeką. Skawą, gościńcem podtatrzańskim i linią kolejową Kraków — Zakopane. Jest ona dogodnym letniskiem, ma stację kolejową, kościół parafialny i 7-mio klasową szkołę powszechną, tudzież pocztę na miejscu.

Na początku XIV w. i jeszcze za panowania „Króla Chłopków" była ta międzygórska kotlina puszczą leśną nawet mało dostępną, bo pozbawioną dróg i mostów. W gęstwinach i zagajnikach leśnych nad potokami Osielczykiem i Wieprzanką rosły liściaste drzewa dębowe, bukowe, grabowe, osikowe, brzozowe, olchy, leszczyny — to znowu na wyższym poziomie „stołowej góry" czy „Budowej Grapy" i „Łysej Góry" rosły jodły smreki, czyli świerki, sosny, modrzewie, gdzie niegdzie jako dzika kultura, a w jej gąszczach było pełno wszelakiego dzikiego zwierza, a najwięcej dzikich świń, których stada zapuszczały się za żerem w dalsze okolice, w stronę Wisły czyniąc dotkliwe szkody w plonach rolników osiadłych w północnych stronach Karpat i ich zboczach, już rolniczo zakultywowanych, jak Zembrzyce, Sutkowice, Harbutowice.

Z tej to przyczyny w puszczy podkarpackiej w kręgu Babiej Góry spowodowana została kolonizacja Podkarpacia. I puszcza podkarpacka w kręgu babiogórskim pod ciosami siekier i toporów nad Skawą i jej dopływami , zmieniła się w Osielec graniczący z Bystrą od południa, z Łętownią od wschodu, z Juszczynem, Kajszówką i Wieprzcem od zachodu i północy.

Osadnikami byli ludzie przeważnie z najbliższych okolic, ale i ze Śląska, a nawet z Czech, Moraw, Węgier przybyli.

Nazwa Osielec urobiła się prawdopodobnie z pierwotnej nazwy „Osiedlec" fonetycznie, gdyż trafia się często, że lud nie domawia lub przekręca nazwy miejscowości np. ze Stryszawy robi „Śrysawę", z Przeciwszowa — „Przeiców", z Jachówki — „Lachówkę", z Lanckorony — „Nieckoronę", czy „Leckoronę" lub z Tyńca — „Toniec". Nie jest jednak wykluczone, że nazwa Osiedlec przemienioną została na Osielec wskutek tego, że w dawniejszych czasach komunikacja kołowa dla braku dróg była utrudniona, wskutek czego podróże w dalsze strony odbywano przy pomocy zwierząt jucznych, jak konie, osły, a nawet psy, bo i na tresowanych psach — jak głosi tradycja — przybywali do Polski osadnicy z Niemiec, a jest duże prawdopodobieństwo, że przybysze wołoscy przybyli na Podkarpacie na osłach za panowania Stefana Batorego.

Osiedla pod nazwą role, półrolki, zarębki, zagrody i polany, nazywane też „obejściami" czy „dziedzinami" noszą nazwy tych pierwszych osadników mimo tego, że już dziś na tychże osadach mieszkają ludzie o innych nazwiskach. W Osielcu istnieją nazwiska rdzennie polskie — jak: Baziński, Brzański, Folwarski, Sołowski, Suski, Wroński, lecz są też pospolite i takie, które trącą pierwiastkiem czeskim, nawet niemieckim, jak Bachul, Gierat, Sender, Korbel, lub też trącą pierwiastkiem węgierskim, jak: Hajost, Ufir czy Ufier, Madziar czy Madziara, a może też takie nazwisko jak Ujczak lub Kardaś trąci pierwiastkiem węgierskim. Jest prawdziwa mieszanina nazwisk: Hodana, Ceremuga, Motor, Suwaj, Jaromin, Front, Klimala, Buda, Harwat, Oleksa, Jancarz, Jachniak. Pierwotni osadnicy byli rolnikami, pastuchami lub łowczymi myśliwymi.

Zacierały się powoli zniszczenia i spustoszenia w kraju dokonane przez długie okresy trwających wojen i 3-krotnych najazdów tatarskich Mongołów, i zaczął się na Podkarpaciu rozwijać z czasem nowy typ osadnictwa kolonizacyjnego tzw. wołoskiego, jako najlepiej nadający się do kolonizacji tych ziem. Ziemia wykarczowana z lasów była kamienista, mało zdatna pod uprawę roli, a nadawała się raczej do rozwinięcia hodowli bydła i wypasu owiec, które prócz mięsa na pożywienie dawały skórę z wełny zdatną na kożuchowe ubrania, potrzebne też dla wojska.

Wołosi morawscy zmieszani z elementem słowackim przybywali pod Babią Górę południowymi stokami Tatr a do Osielca przez przełęcz sidzińsko - zubrzycką przez Sidzinę i Bystrą prawie w tym samym czasie gdy Spytek Jordan, kasztelan krakowski, zakładał wsie Spytkowice, Rabę i miasto Jordanów. (Porównaj Karola Potkańskiego: Pisma pośmiertne — str. 325 i in.).

Osielec był zatem osadą urządzoną w ten sposób, że odnośny osadnik otrzymywał przydział ziemi, na której miał zbudowaną chałupę, czyli było to **osadnictwo jednostkowe.** Jeśli zaś na danej roli (włóce, łanie) było więcej osadników, to pastwisko mieli wspólne. W Osielcu są takie pastwiska wspólne pod nazwą **„koszary"**, **„pasieki"** w rolach: Morawowej, Janikowej i Misiarzowej, a nawet w Bandurowej roli. Na przełomie XV i XVI wieku powstały istniejące na terenie wsi osiedla (obejścia, dziedziny, role, zagrody, zarębki, polany) i mają takie nazwy: Morawowie, Janikowie, Misiarzowie, Sędrowie Sempkowie, Matułowie, Oleksowie, Dudkowie, Leśniakowie, Syskowie, Grzybkowie, Hodanowie, Wronkowie, Niziołkowie, Słoninowie, Budowie, Gieratowie, Błażkowie, Ujczakowie, — nazwa sołtystwa: Wronak-Buda-Traczykówka, rola Swistkowa, Karbowa, Baranowa, Zarębowa, Bandurowa, Kowalowa, Bogaczowa, Rusinowa, Brzanowa, Działkowa, Koniówkowa, Balcarzowa, Horwatowa, Kotowa, Książkowa, Gąsiorowa, Jabconiowa. Zagrody: Głodkowa, Półrolek, Korblówka, Lagowa, Wilgierzowa, Szczurkowa, Pieskowa, Bachulowa. Polany: Burdylowa, Koprowa.

Dzisiejsza ludność Osielca na skutek ustawicznego ruchu ludności i kojarzeń małżeńskich z przybyszami z innych okolic nazwiskami swymi nie pokrywa się z wyżej wymienionymi osiedlami, które otrzymały swe nazwy od pierwotnych osadników. Jednak zachowało się jeszcze kilkanaście pierwotnych nazwisk, figurujących w metrykach gruntowych i operatach katastralnych sprzed 100 laty, kiedy już grunta uległy rozdrobnieniu łanu na 1/8, 1/12 i 1/16 części, a czwarcizny były rzadkością. Inwazja szwedzka na Polskę za Jana Kazimierza pozostawiła po sobie tradycyjną pamięć w Osielcu, albowiem Szwedzi w czasach okupacji Polski bawili przez dłuższy czas w królewszczyznach w celach eksploatacyjnych. Na sołtystwie osieleckim przeprowadzili te zmiany, że zajęli się urządzeniem na rzece Skawie jazu zatrzymującego spiętrzoną wodę, celem sprowadzenia jej młynówką, t. zw. „przykopą" dla użycia siły wodnej do uruchomienia tartaku i młyna, nazwanego potem „szwedzkim młynem". Te zakłady przemysłowe istniały do roku 1879, kiedy to w czasie powodzi młynówka została poważnie uszkodzona i młyn z piłą przestały funkcjonować. Przeszkodą w odbudowaniu młynówki była przeprowadzona w latach od 1883—1887 trasa kolei transwersalskiej od Żywca do Husiatyna, przez Nowy Sącz biegnącej. Ostatnim właścicielem sołtysiego młyna był Jan Grzechynia. Na młyniskach stoi dziś szkoła. Sołtystwo nosiło nazwę Wronka - Buda - Traczykówka. Był tam staw rybny, z którego wodę spuszczano do Skawy, a zagłębienie zasypano w latach osiemdziesiątych minionego stulecia.

Tak więc **zmieniło się z czasem oblicze Osielca kilkakrotnie.** I wtedy, gdy po roku 1809, po klęsce zadanej Austriakom przez armię Księstwa Warszawskiego pod Raszynem, dla celów strategicznych zbudowano gościniec podtatrzański, ukończony w roku 1813, a przerzynający tę wieś w kierunku od zachodu na wschód — od Makowa do Jordanowa — jak i wtedy, gdy po powstaniu polskim w r. 1830—1831 Austriacy pod wpływem strachu, że Polska kiedyś odbuduje się i dla ratowania swojej fatalnej sytuacji finansowej, zaczęli wysprzedawać królewszczyzny. I tak Ekonomia makowska królewskich dóbr stołowych czyli t. zw. „Makowszczyzna" sprzedaną została w r. 1835 na licytacji, oficerowi austriackiemu Filipowi Ludwikowi hr. Saint Genois. Gdy po tym kupnie nabywca zjechał celem oglądnięcia swoich dóbr, delegacja gromady Osieleckiej uprosiła go, aby jej pomógł do budowy kościoła, bo parafia była wtedy w Makowie. A gdy hrabia zgodził się na to, stanął jego kosztem w roku 1840 kościół murowany z cegły i kamienia, w modnym podówczas stylu t. zw. józefińskim; parafianie dali robociznę. Od roku 1842 miał więc Osielec swoją parafię, przy której była najpierw **szkoła zimowa, przekształcona w r. 1848 na szkołę parafialną**, dla wsi Osielca, Wieprzca i Kajszówki. Dawną parafią Osielca był Mucharz, a potem Maków.

Przed 100 laty chełpili się pradziadkowie i dziadkowie dzisiejszego pokolenia Osielczan, że w ruchawce w r. 1846 nie maczali ręki. Nie ominęła ich jednak klęska nieurodzaju i głodu w następnych latach. Szalały bowiem to: tyfus głodowy, to cholera azjatycka, tak, że ludzie, — jak powiadali starzy — padali jak muchy. W Osielcu dziś jeszcze pokazują to cmentarzysko choleryczne za górą roli Balcarzowej, w lasku zwanym „na Cygance". Po zboże jeżdżono aż do Koszyc, lecz nieraz po dwu tygodniach wracano z niczym. Gdy w r. 1849 przechodziły przez Osielec oddziały armii rosyjskiej na Węgry, celem udzielenia pomocy Austrii do stłumienia powstania węgierskiego, to te przemarsze wojsk rosyjskich były prawdziwym dobrodziejstwem dla ludności, którą w czasie postojów obdzielali żołnierze rosyjscy gotowaną strawą, z kotłów swoich kuchni polowych. W tym czasie odwozili niektórzy chłopi swoich synów do Podolińca na Spiszu celem wykształcenia ich na księży. W jakieś 20 lat później było z Osielca 7 księży, którzy odbywali studia w konwikcie O. O. Pijarów w Podolińcu — a to: dwóch braci Jabconiów, dwóch braci Jachniaków i dwóch braci Zarębów, tudzież O. Damian Wronka, przeor O. O. Reformatorów w Bołszówcu k/Stanisławowa. Chlubą Osielca i wzorem dla samouków wiejskich pozostanie pochodzący z tej wsi inżynier Joachim Traczyk (zmarły w roku 1936 w Jaśle), znany z przeprowadzenie regulacji Soły i Sanu.

Józef Pogan

PRZEDNÓWEK

(Fragment powieści)

JUŻ w maju biedniacy zaczęli przymierać głodem. Łazili z workami od bogacza do bogacza, od wsi do wsi. O każdej porze dnia, w każdej wsi błądziły po drogach i obejściach gospodarskich te cienie ludzkie jako te kapiące muchy na jesieni. A proszące, a łakomie patrzące, że niemal oczami nie pożerali dostrzeżonego gdzieś bochenka chleba, czy ziemniaków na misce.

Gospodarze zbywali ich niczym, złościli się, bo im już słów brakowało na wymówki i wykręty.

— Moiście wy, moi kochani, samym nom widać braknie — odpowiadała Moredalakowa na prośby. — Niedojodomy przecie. Rzodko zocierecke na śniodanie chlipiemy, na obiod kapuste, na wiecerzo wodzionke. Moze wos tyz ta kaj Pon Jezus opatrzy, ze kupicie. Dyć kupicie, nie tropcie sie, bo Pon Jezus chyba nie dopuści do tego, zeby sie ludzie pomorzyli. Jużci źle jak sie jeś kce, sprzedali by my wom, ale Bóg świadkiem, ze ni ma, bo połowa zbioru posła na kontygient.

— Maryna, nie zawracojze nikomu głowy — odezwał się znów Mordelak. — Wyraźnie godać: ni mom do sprzedanio i juz. Idźcie se kajdzi i kupcie.

— Ciewy, ciewy, cóz to znowu...? I wy kupujecie jeś...? — udawała zdziwienie Nalepowa. — O jeje: chyba se zartujecie... A kiez wyście to wszyćko pozjodali...? Nie śmiejcie no sie... I do nos-oście przyśli kupić...? Naprowde kcecie kupić...? — kręciła głową... — A skądze my nabierzemy lo wszyćkik...? Cheba zeby my dwor mieli, to by i to nie starcyło... Ni momy, ni momy, prawie lo siebie choć na razówke zemleć.

Zaś Nalepa wzruszał tylko ramionami.

— Kiej miołem, tom sprzedawoł, a teroz skweres.

A młynarz Sarek? — — — Hoho, ten człowiek nie dał nikomu przyjść do słowa, poprosić nawet, bo zaraz przywitał żartami, drwinami, śmieszkami, a takimi piekącymi, że głodny nędzarz zapominał języka w gębie.

— Hoho, a cóz wos tu zynie? Acha, zbozo, abo mąki kcecie kupić... E, cyganicie, bo wom jesce brzuch nie bardzo opod — żartował chwytając przybyłego za pas u spodni. — Jo wtedy wom dopiero uwierze, ze mocie przednówek, jak wos portki zacno opodać. Hej Jasiek! — wołał na młynarczyka — wyzmiatoj no ta stochmol koło pytla, to im sie do!

Zaś Świerk odburknął tylko.

— Ni mom zbozo do sprzedanio, bo Niemcom musiołem dać na kontygient.

Nie kupili biedniacy we wsi zboża, więc szli dalej w bogatszą okolicę do miechowskiego powiatu. Daleko to, bo przeszło trzy mile, Niemcy i policja łapią po drodze ludzi i zboże odbierają. Ale głód zmuszał iść nie tylko trzy mile, ale choćby i trzydzieści i choćby po drodze nawet wojsko wartowało.

Łazili za zbożem i były sołtys Łapa i Bąbasowa i Parzelkowa, Malski, Ciastek, Kurczek, ba. nawet Kurzok, choć miał sześć morgów ziemi i wielu, wielu innych.

Czasem popadło szczęście, udało się kupić ćwierć ziemniaków czy zboża lub parę kilo fasoli, czy bobu. Ale bywało, że i po parę dni łazili i próżno nareszcie wracali. Tak to zdarzyło się Łapie. Wprawdzie kupił ćwierć żyta, ale nie przyniósł do domu.

A no, szedł se właśnie leśną drogą niedaleko Ojcowa. Wyglądał całkiem na dziada: obstrzępany był kieby ten strach w konopiach: gęba u niego suchutka jak szczapa i nogi mu się plątały od słabości. Spocone czoło ocierał co chwila rękawem, poprawiał worek na plecach i wlókł się powoli. Miał se prawie odpocząć, gdy dojrzał w lesie między gęstymi krzakami ognisko. Podszedł cicho, przystanął i nasłuchuje: przy ognisku siedział chłop i gadał sam do siebie:

— Sielaz by se tu upiec...? Dziesiącik se upieke.

Brał po jednym ziemniaku z worka i rachował:

— Jedyn, dwa... siedym... dziesięć. E, dziesięć pewnie za dużo... Cóz bym do chałupy dzieciom zaniósł jakbym jo som tyla zjod...?

Włożył z powrotem połowę do worka.

— Piącik jak zjem, moze się co posile. E, mało moze. Osłob bym od głodu i nie zased do chałupy.

Dołożył jeszcze dwa.

— Siedmik musi mi starcyć.

Łapa chrząknął i pokazał mu się. Tamten drgnął, ale Łapa go uspokoił, zbliżył się i siadł se przy nim. Zrazu milczeli, ale wnet się rozgadali. Opowiadali se skąd idą, jak i co.

— Kasik-eście kupili zimnioków — zagadnął pierwszy Łapa.

— A no, jużci. Ledwie przeledwie ułaziłem chocioz ćwierć.

— W jaki wsi?

— Tam kaś na zochód od Ojcowa. Acha juz wiem — przypomniał se i wymienił nazwę wsi

Łapa się zadziwił.

— A nie wiecie zaś jak sie tyn chłop pise coście u niego kupili zimnioki?

— Tego wom nie powiem jak się on pise. On miesko pod brzegiem, a przy stodole rosno dwa modrzeje. Przed stodołom jes kierot.

— Acha, to juz miarkuje u kogo. On taki okrągły na gębie i cerwony.

— Tak, tak, tak i mo zóte wąsy, a baba jego tako nisko, grubawo i tak do góry zawdy patrzy.

— No, no, no. To Mordelok, bogoc. Kcioł wom tyz choć sprzedać?

— Nie bardzo. Ledwom go uprosił. On mie tyz prosił, zebym nikomu nie godoł, zem u niego kupił.

— O pieron ognisty!—zaklął Łapa. — Przecie jo u niego trzy razy był i prosił świętymi słowami, zeby mi choć ćwierć sprzedoł, ale pedzioł, ze ani zimniocka ni mo do sprzedanio. Na wielazeście mu zapłacili?

— Na trzysta pięćdziesiąt.

— Dobrze wom ta choć nawozył?

— A cyrka w cyrke jak w japtyce. Jak jedyn zimniok przewozoł, to go wzion z worka i pedzioł ze jedyn zimniok kosztuje teroz moze pół złotówki, albo więcy.

— Hm, wy mi ta juz nie musicie godać, bo jo go znom jak samygo siebie. To chytrok.

— A no jak kazdy bogoc. A wy kaście kupili zbozo?

— Kaś pod Miechowem — odrzekł chłop. Przypominoł se coś i nareszcie wymienił miejscowość.

— O psiakość, toście w moi wsi kupili. A jo sie tyla tam złoził po wszyćkik bogocak, naprosił sie ik, a nic nie skórołem. I potrzebny tyz człowiek tak za psa nozyska tłuc po cały Polsce, kiej tu we wsi od zły biedy mozno sie uzywić. Ale cóz kiej sie znajomymu bojo sprzedać, zeby ktoś nie doniós o tym do Niemców.

— Nie ino to. Jaki taki nie śmie od znajomego tak drogo łupić. Wiecie, prowde pedzieć, to ta bogoce ni majo wiela do sprzedanio, bo świoby złupili strasne kontygienty. Casym sie do kupić we swoi wsi, ale po wielgi znajomości, cy po famielii. Ale tyz łazi ludzi z workami, jak mrówio.

— A no, bo głód jakiego cheba nojstarsi ludzie nie pamiętajo. Mozebyście wy mi zamienili poru zimnioków za zboze, to bym se upiek, bo juz ledwo dychom od głodu — prosił Łapa, patrząc łakomie na tamtego jak ocierał o trawę przypalone ziemniaki.

— Locego nie. Siela kcecie?

— A chocioz ośmik.

Tamten porachował ziemniaki i Łapa włożył je do ogniska. Nabrał przygarść żyta i spytał:

— Wystarcy tyla?

— A doś, zanadto. My ta zaś nie bedymy sie tak oblicać jak bogoce, bo znomy biede.

Za chwilę upiekły się ziemniaki i Łapa zjadł je smacznie. Wstali obaj, pożegnali się i mieli się już rozejść, a tu diabli naprowadzili Pałkałę. Chłopi zaczęli się kręcić i chować worki a tu:

— „Ręce do góry!". Struchleli i czekają co będzie.

Policjant obrewidował ich, a potem zajrzał do worków: chłopiska uklękli przed nim i świętymi słowami proszą, ale daremnie. Wkropił im po parę razy pałką, tego z ziemniakami puścił, a z Łapą — jazda na posterunek! I to z tym żytem na plecach musiał dybać. Dobrze, że się choć posilił tymi ziemniakami, bo inaczej — przewróciłby się od słabości na drodze, a ten łotr mógłby go jeszcze dobić. Cóż mu to chodziło o człowieka? A no, tyle co o muchę, czy jakiego robaka. Łapę zaćmiło... widziało mu się, że się cały świat na niego wali.

Parzelka też długo nie wracał z miechowskiego. Nie widać go było dzień, drugi, a tu dzieciska płaczą jeść aż okropa. Bezradna matka płacze wraz z nimi. Ostatek ziemniaków ugotowała jeszcze wczoraj przed południem. Co tu począć...? Co tu robić...? — drapie się babina w głowę i modli się do Pana Jezusa i do Matki Boskiej. Zachodziła do sąsiadów, prosiła o pożyczenie choć kwarty zboża, ale daremnie. A no „zjedz ze dziadu dziada" — jak to jest przymówka.

Wieczorem przypomniało jej się coś. Zamknęła dzieci w izbie i poszła w pole. Ciemno było, księżyc jeszcze nie wschodził. Derdała miedzami wśród zroszonego zboża i zawróciła ku świeżo zabronowanemu stajaniu późno wsadzonych ziemniaków Mordelaka. Stanęła chwilę i oglądała się na wszystkie strony. Serce waliło jej w piersi i dygotała od strachu. Jeszcze się pooglądała, przeżegnała się, schyliła i dłoń zanurzyła w pulchną ziemię. Grzebała chwilę.

— O, mój Bozycku, jes — wyrwało jej się z piersi.

Obejrzała się, schowała ziemniaka do woreczka i dalej grzebała prosto. Śpieszyła się. Drżały jej ręce i nogi dygotały.

Przy końcu stajania zajrzała do woreczka.

— Jesce mało — szepnęła. I znów przez chwilę grzebała, szukając następnej zasadzonej grzędy.

Zanim księżyc wychylił się z za horyzontu, miała już garniec ziemniaków w woreczku. Obtarła ręce zapaską, okryła nią woreczek. przeżegnała się i poderdała ku wsi. Lękała się, oglądała na wszystkie strony. Lecz nikt jej nie widział, jedynie wschodzący księżyc był świadkiem tej nadzbyt dziwnej niewiarogodnej kradzieży przez zgłodniałego człeka.

Dopiero nazajutrz ludzie kręcili głowami, dziwili się, gdy Mordelakowa pomstowała „nienazartyk złodziei".

Niektórzy łazili po żebractwie, a najwięcej już Baranek. Stary już był, to mu ta i pasowało. Zresztą był to komornik. Zapuścił brodę, wziął sękaty kij w rękę, torbę na placy i łaził. Ale nigdy wiele nie uzbierał: trochę groszy, fenigów, no i jaką przygarść ziemniaków, czy suchych skór z chleba.

Jednego wieczora wrócił bardziej wesoły niż zwykle. Ziemniaków i skór z chleba niewiele przyniósł, ale za to sporo pieniędzy. Kupił sobie paczkę fajkowego tytoniu, zapalił faję i pykał.

W domu spotkało go zmartwienie — żona przegrała sprawę w sądzie. Załamywała ręce, lamentowała i za włosy się targała.

— Juz nie zboleje tego...! nie ścierpie...! nie zniese...! Utopie sie, abo otruje...! ...Abo do Cudownygo Pana Jezusa Przegińskiego dom na mso świnto, zeby tyn drań... tyn krzywdziciel marnie zginył...! Mój Boże, mój Boże... kaj nasa całorocno krwawo proco...?! O, zeby, o zeby skonać ni mógł...! zeby tyle dni konoł w boleściak, wiele godzin i minut my u niego przeharowali... Wiele kropel potu z nos sie wyloło przy procy w jego majątku...! O Jezu Miłosierny, spuś na niego jako ploge, zeby go ta nasa krzywda ozerwała na kawołecki...! zeby sie udłowił nią!

Całą noc prawie nie spali. A rano zaledwie świt nastał, oboje udali się w drogę. On z żebraczym kijem i torbą, ona do kościoła w Przegini. Użalić się poszła „przed Tym Cudownym Panym Jezusym" i użebrane przez męża grosze złożyć na ofiarę Bogu. By „skapnył" jej krzywdziciel... albo skonał... zdechł jak pies... Albo żeby go paraliż połamał... żeby go pokręciło...



rys. Krystyna Hierowska

W sąsiedniej wsi spotkała ją krewna.

— Cegóz wyście tacy smutni? — spytała czule przy powitaniu. — Płakaliście widać... Coz wom sie najgorsygo stało...?

Barankowa nie mogła słowa wyrzec. Żałość zatkała jej gardło i łzy pociekły po policzkach. Wytarła je zapaską i przemówiła po chwili.

— Pódźciez zy mną kawołecek, to wom opowiem o swoim stropieniu. Toli widzicie było tak: jeśce przed wojną słuzyli my oboje z chłopem u Pałtasa. Znocie go przecie.

— U tego Macieja po księdzu, co to mo folwark we wasy wsi?

— Jużci, jużci. Ino słuchojcie. Słuzyli my oboje całuśki rok, bo przecie wiecie, ze ni momy swoi chałupy ani pola. Moze połowe zopłaty wykapoł nom po złotówce, a za sto złotyk co nie wypłacił — obiecoł dać zbozo z nowygo. Jaz tu nogle wybuchła wojna. Nos zaroz coś przepikło niedobrygo i dala go prosić, zeby umłócił zbozo i doł nom. Ale kaj ta? — wykręcoł się, ze konie ni majo casu do masyny i ludzi ni mozno nająć i cej cym. Kręcił jak móg. Ale my nie dawali odporu, ino sie upominomy o swoje. Nareście umyślił se, ze nom sprzedo pore prętów ziemi. Uciesyli my sie nawet, bo by my radzi chałupe se postawić, zeby choć na starość nie tułać się po obcyk kątak i dzieci by tyz miały i jakby Bóg przywrócił je scęśliwie z Niemiec. Na chałupe brat podarowoł nom stary chlyw, bo se murowany postawił. Pałtas spisoł umowe na dwók papierak, podpisoł sie i jo tyz i chłop krzyzyki popostawioł. Ugodzili my sie, ze wtedy nom odpise tyn kawołecek jak mu dopłacymy jesce pięćdziesiąt złotyk. Dzieci były na słuzbie, z dwók miesięcy dały wszyćkie piniądze, stary zarobił pod Krakowem cepami, jo zaś motyką, bo my z początku wojny odesli ze słuzby od Pałtasa i wiecie, ze my dali rade uciułać te pięćdziesiąt złotyk. Dokucyło nom wszyćkim, bo dzieci ostały bez butów i ubranio, my bez soli jedli i po ciemku siedzieli, ale my uciułali. I byłoby pewnie dobrze zeby nie tyn młody drań, syn Pałtasa wrócił z jakigoś urzędu cy z wojny. Zacon sie rządzić po swojemu i o jakimsik długu i dziadak ani słychać nie kcioł. Wypchnył nos przecie za drzwi jak my z dopłatą pośli i spomnieli o zopisie. Kcieli my tyz zboze, abo piniądze na tyla zbozo, siela go za sto złotyk przed wojną wypodało, ale skoda godać. Pedzioł, ze oddo sto złotyk, ale kiej? — to juz on o tym zadecyduje, nie my.

Tamta załamała ręce.

— Co wy powiecie...? To taki krzywdziciel...?

— A taki, taki, moiście wy. Słuchojcie dali. Umyśleli my se i ludzie nom tyz tak doradzili, zeby iś do sądu, to my pośli i zaskarzyli. I wiecie, moi kochani, zebym już dziesiątygo opedziała, zeby sie biedok z panym ani wozył prawować, bo sie ino nałazi po sądak i róznyk urzędak i jesce dołozy do swoi krzywdy.

— Dyć prowda, prowda, tak to bywo — przytaknęła tamta.

— Wiecie, co, my sie nałazili, nakłopotali, nawyciągali metryk, róznyk dokumyntów z gminy, późni zaś świadków stawiali i wszyćko na prózno kieby do wody wrzucił. Jak sie coś przechylało na nase strone, to Pałtas odrocył sprawe i juz. Dopiero wcøra skończyła sie ostatnio sprawa.

— I jakże posło?

— Hm... jak posło...? — rozpłakała się Barankowa. — Pałtas posed do restauracyje pozryć i popić, a jo z kwikiem do domu. Te same sto złotyk sąd przyznoł.

— Co wy godocie...? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Za przedwojenne sto złotyk — te same teroz na tako drozyzne?... Cy sie juz świat przewraco do góry nogami...? Cy juz Boga ni ma na świecie, ani w niebie...? Cóz wy za to teroz kupicie...? — osiem kilo zyta...

— Dyć nie więcy. Weź, biedny cłeku, za rok procy u pana, osiem kilo zbozo, jedz, pracuj i módl się... Zółci mi sie przecie kce ulóć ot zolu... Mój Boze, mój Boze, tyle procy posło na marne...! do pańskik gordzieli...! — rozpłakała się.

Pożegnały się i rozeszły. Tamta rzuciła za Barankową czułe słowa:

— Idźcie do Przeginie, poproście Tego Cudownygo Pana Jezusa, to On moze wos pociesy i w cym insym wynagrodzi.

Barankowa zamówiła u księdza mszę świętą i zapłaciła. Nie „targowała się, bo by moze nie było skutecne. Wiele ksiądz kcioł tyle zapłaciła". Na nabożeństwo do kościoła wstąpiła, choć ta msza nie była w jej intencji. Ale chciała się pomodlić i już użalić Bogu. Uklękła se przy murze i szeptała:

— O mój Jezus Cudowny, wysłuchojze mie tyz wysłuchoj i sprow swoim nieprzebranym miłosierdziem, zeby tyn krzywdziciel uznoł kie; na sobie moje krzywde jako mi wyrządził. O Jezus Cudowny, zlituj sie nady mną i wysłuchoj moi prośby. Spoźryj z wysokik niebios na moje nędze, na głód i ukoroj tego krzywdziciela. Nie odpychoj od siebie mnie bidny grzysznice wołająco o pomste do Ciebie.

Ostatnie słowa przypomniały jej „grzechy wołające o pomstę do nieba". Padła krzyżem i cichym głębokim wybuchła płaczem. Twarz jej zalewały łzy i wargi przestały szeptać modlitwę. Lecz myślą prosiła Boga o zlitowanie.

— Zakozołeś, o Jezu, uciemięzanie ubokik, gdów i sierót — wzdychała — zatrzymanio zopłaty sługom, najemnikom i robotnikom. A tu nie o drobno krzywde chodzi, ino o całorocno proco. Jakze Ty to mój Jezus scierpis i jakze jo to zboleje...? Zlituj sie, Jezus, zlituj jako wolo Twoja święto... nie opuscoj tyk co sie do Ciebie uciekajo i ukoroj tyk co przestympujo Twoje święte przykozania... O mój Jezus, mój Jezus, mój Jezus Cudowny, zlituj sie tyz nade mną zlituj...

Tak się przecie „ozmodlyła i ozzolyła, ze jej jaz serce kciało pęknąć i rwoło nią, ze nawet nie wiedziała co się z nią dzieje". Bo gdy ksiądz zaśpiewał „Ite missa est" — to jej się przywidziało, że on woło do Boga o pomstę za jej krzywdę; dopiero gdy błogosławił — zrozumiała, że to już po mszy. Wytarła zapaską załzawione oczy, wyciągnęła z kieszeni węzełek, weszła za ołtarz i ostatnie trzydzieści groszy, jakie jej się zostały — złożyła do skarbonki na ofiarę.

Z kościoła wyszła nieco weselsza. Zdjęła z szyi różaniec i szeptając „Ojcze nasz" — powlokła się ku wsi.

Jeszcze przed wieczorem, jeszcze do domu nie zaszła, już nowe zmartwienie ją nawiedziło — — — mąż jej zalichł na drodze za wsią, gdy wracał z żebraniny. Zbladł, osłabł, aż go na miedzy posadziło i ani kroku dalej nie ruszył. Zobaczyli go sąsiedzi i przywlekli do najbliższej chaty. Zanim żona nadeszła — już bez mała trupem go było czuć. Przed północkiem wyzionął ducha.

Kobiecina wrzeszczała jak szalona, mdlała, a ludzie gadali se obojętnie:

— Dyć ta nic złego, ze pomar... Uspokoił sie roz na zawdy... Wycyrpoł sie od biedy i od głodu... Nałaziło sie chłopisko po prośbie, wyćwiąkało sie, nie zjadło i cymze miało zyć? No i do reśty zatruło sie o te przegrano sprawe... Nic złygo, ze pomar, bo mu i tak bedzie lepi na tamtym świecie jak na tym...

— Ale ścisło dziada na środku drogi, ze ani pisnąć nie mógł — żartowali dowcipni chłopcy . — ścisła go słabość. torba do reśty przygnietła i po dziadzie... Wiedzioł kiej umrzyć — na przednówku kiej ni ma co jeść. bo po zniwak to by go ta i szkoda było... Jesce jakby sie odzwyił, to by rnył cepami w stodole... Ho, ho, zeby był przekawęcoł przednówek, toby móg zyć...

W trzeci dzień był pogrzeb Baranka. Zeszło się trochę ludzi i odprowadzili zwłoki za wieś na wzgórek pod krzyż. Na przedzie szedł Łyskowicz i śpiewał żałobną pieśń.

Wszyscy spoglądali na lichą trumnę jaką zrobił zwykły majster - klepka wiejski. Nie malowana była, nawet deski kiepsko oheblowane. Zdobił ja trochę tylko krzyż czarny smarem od wozu nabazgrany.

Jedna Kurzokowa szkapa. o którą się już „wrony prawowały" — ciągnęła wóz z trumną A no. nie dali ludzie lepszych koni pod dziada. Stawała szkapina pod wzgórek za wsią. że ludzie wóz popychać musieli. A no, nie dziwota, przecie to pogrzeb dziada. Mar-

ny miał żywot w cudzym kącie i po cudzyk progach sponiewierany, to i odwiezienie na cmentarz pasowało kulawą szkapą „na raty"...

Pod krzyżem zatrzymali się. Łyskowicz polecił:

— Za dusę święty pamięcy Wincentygo Baranka prose odmówić pobożnie: „Trzy Ojce nas, trzy Zdrowas Maryjo i trzy Wiecne odpocywanie".

Uklękli ludzie. A gdy skończyli modlitwę, Łyskowicz zaśpiewał:

„Wcora cie zdobiła piekno barwa,
A dzisioj juz jesteś kieby larwa.
Nic gorsygo, wstrętniejsygo,
Ni ma nad człowieka umarłygo".

„Nic gorsygo wstrętniejsygo,
Ni ma nad człowieka umartygo".

powtórzyli za nim chórem.

Niemal wszyscy wrócili spod krzyża bo tylko pięć osób podążyło na cmentarz za trumną.

— Zacynajo kapać ludzie od głodu — wspomniał Kurzok idąc z innymi do domu.

— Dyć prowde pedzieliście — przychwalił Łyskowicz. — U Parzelki jedno dziecko na umór chore. Tyz przecie od głodu.

— Wiecie, jo juz miarkuje od cego — wytrzeszczył oczy Kurzok.

— Od cego?

— Toli wysedem se wcora za stodołe, spoglądom w pole, a tu jakieś bębny siedzo w moi konicynie. Odpinom se pasek z portek i miedzom cichuśko podchodze. Miołem bębnom wygarbować skóre, ze konicyne magajo. Dochodze niedaleko i — zdrętwiołem — Parzelkowe dzieci obrywały packi konicyny i jadły. Godom wom, ze mi jaz serce ścisnyło i łzy z oców ukapały. Cichuśko wróciłem sie, zeby mnie nie zauwozyły i nie uciekły. A źlem zrobił. Lepi było je wygnać, to by moze były nie chorowały.

— A mioł by to ciek sumienie wyganiać.

— Juźci, juźci. Wiecie, długo wiecór ni mogem spać, inom se o tym myśloł. Boże, Boże, na kogo tyz tu znowu kolej padnie?

— Bóg jedyn wie, ale zdaje mi sie, ze Michoł Trzęsiok zakłapnie. Downi to ta jesce robił miotły, chodził z nimi do miasta, to jako tako opędzoł biede. A teroz ni mo chłopisko powziątku do zycio. Ta jedna morga nie uzywi cały rodziny. Dzieccyska juz nie takie małe, baba młodo, to przecierpio. Ale on juz jedną noga u Chrystusa na oborze.

— Tyz od biedy.

— A no, od cegóz by, moi kochani. Doś przodzi biedowoł, a teroz głód i różne zgryzoty dotrąciły go. Lada chwila moze zlewnać jak ta ozbito kura.

— O Jezus, Jezus — westchnął Kurzok — Co tyz tu dali będzie z nami, co?

— A źle bedzie, źle, moi drodzy.

Przewidział Łyskowicz, bo Trzęsiak zmarł tejże nocy. Wieczorem dźwignął się i usiadł na łóżku i kawałeczek chleba od głodu zębolił. I z tym niedojedzonym w ustach kawałeczkiem chleba wyciągnął nogi.

Niebawem uporał sie z nędzą i z życiem Grzywek zięć Gembla. Ten już nie czekał, aż sama śmierć przyjdzie po niego i wyszedł na jej spotkanie z powrózkiem od kozy. Zmartwił się chłopina o dzieci, co mu je to w zeszłym roku za przyczyną teścia wywieźli do Niemiec, przybierał se do głowy, a teraz przednówek i stałe kłótnie i bijatyki z teściem odebrały mu do reszty rozum. „Bzikował" jakiś czas, płakał, śmiał się i synów szukał i nareszcie dzierzgnął się w stodole u belki.

Nieszczęśliwa Grzywkowa lamentowała w niebogłosy, aż „se chciała wszystkie włosy na głowie wytargać" z rozpaczy. A teść klęknął nad trupem i modlił się spokojnie. I modlitwę za konających i letanię i rożaniec — wszystko po kolei odmówił.

Wieść o tym w mig się rozeszła od końca do końca wsi, że nawet Kurzocka nie potrzebowała już latać i opowiadać. Zresztą może by już nie latała jak dawniej. Słaba była, to by jej się nie chciało. Wolała by se kucnąć pod ścianą, czy na trawie pod wiśnią się położyć, niż męczyć się lataniem. Chyba przez płot opowiadała sąsiadkom różne nowinki. Choćby o tym jak to precz po wsiach ludzie dostają czyszczenia od zielonego agrestu. Radziła się wystrzegać, nie jeść zielenizny, ale sama od głodu po ziarnku chrustała.

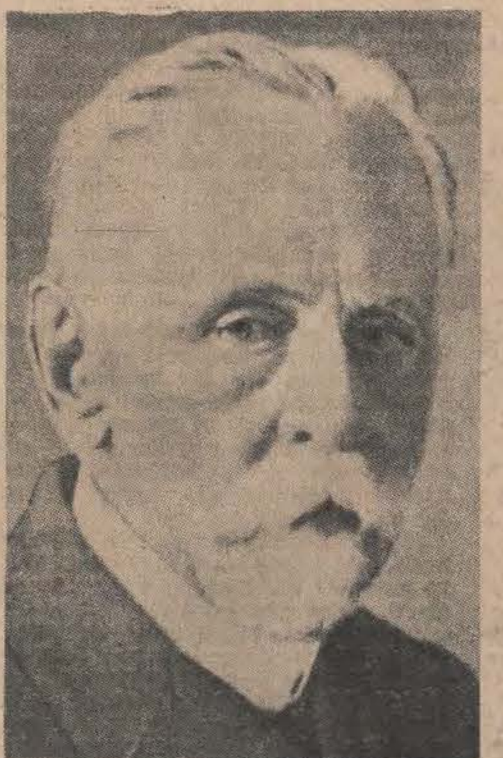
Wiało nędzą... straszyło głodem... że ludziska nawet najważniejsze prace zaniedbywali.

Józef Pogan

Gustaw Przeczek

PIEŚŃ BUDZĄCA

(Śląsk obchodzi w tym roku setną rocznicę urodzin Jana Kubisza)



Jan Kubisz

Artykuł G. Przeczka jest ubocznym produktem tradycji XIX-wiecznej krytyki „hagiograficznej" oraz oddziaływania literackich konwencji, ugruntowanych w świadomości kulturalnej wsi przez ludowych epigonów romantyzmu. Patriotyczny patos i budujące streszczanie wznioślejszych fragmentów w odświętnym, „uczonym" języku spraw kultury — to tradycyjne chwyty obchodowe wiejskiego społecznika.

Kształtująca się w kręgu wpływów Mickiewicza i Pola dydaktyczna poezja Kubisza to przejaw powszechnego procesu recepcji romantycznych treści kulturalnych przez ludową poezję w. XIX. Żywotność i aktualność tej poezji w środowisku wiejskim nie osłabła do dziś. Trudno o lepszą ilustrację siły jej oddziaływania, niż poniższy fragment „ze sztambucha krytyki ludowej".

Redakcja

Mówiąc o Lompie i Miarce jako pisarzach i budzicielach ducha narodowego na Śląsku, mamy na myśli głównie Śląsk Górny. Śląsk Cieszyński stoi niejako na uboczu ich wpływów. Inne tu wytworzyły się warunki, inaczej ułożyło się tutaj życie pod koniec 18-go wieku i na początku wieku 19-go. Wpływ obydwu wspomnianych pisarzy niewątpliwie i tutaj docierał, zwłaszcza Miarki, lecz lud śląski, gospodarujący na swym zagonie, raczej bierny i z pokorą przyjmujący cięgi nielitościwego losu, nie dosłyszał z oddali dolatującego głosu tych budzicieli. I było trzeba pieśni, która swą bezpośredniością, swą głębią i prostotą wtargnęła do duszy cieszyńskiego Ślązaka i dokonała w niej istotnej przemiany. Tę pieśń, która dokonała cudu, która otworzyła temu ludowi oczy, wyśpiewał pierwszy natchniony pieśniarz ludu cieszyńskiego, Jan Kubisz, nauczyciel z Gnojnika.

Pieśń Jana Kubisza była śmiałym wyzwaniem do walki z ciemnotą ludu.

Ideały, głoszone przez Stalmacha, Ks. Świeżego, Ks. Otto, Cienciałów, Michejdów i innych, przybrały śpiewną formę mowy rymowanej i w tej postaci trafiły pod strzechy ludu śląskiego, gdzie pieśniczka obok chleba była drugim powszednim pokarmem. Pieśń ta przez całe wieki ciemnoty duchowej potrafiła zachować lud przy życiu narodowym, choć ten nie zdawał sobie z tego sprawy, a tylko buntował się przeciw szkole, która uczyła go w języku niezrozumiałym.

Przełomowy rok 1848 zmienił oblicze duchowe śląskiego ludu. Szkoła polska na wsi orała z poświęceniem ten czarny i urodzajny ugór dusz i serc. Było jednak jeszcze dużo nieuświadomionych nauczycieli, których dusze toczył zaszczepiony w młodości czerw niemieckości. Na czele postępu stanęły jednostki światłe, a między innymi i nauczyciel Jan Kubisz.

Celem tego szkicu jest przedstawienie roli Jana Kubisza nie jako nauczyciela a jako pieśniarza, którego pieśń budząca dokonała cudu.

Pieśń jego reprezentuje wyłącznie Śląsk Cieszyński. Lud pieśń tę przyjął za swoją bez zastrzeżeń.

„Płyniesz, Olzo, po dolinie,
Płyniesz, jak przed laty; ;
Takie same na twym brzegu
Kwitną wiosną kwiaty.
. . . .
Ale ludzie w życiu swoim
Zmienili się bardzo;
Zwyczajami, wiarą przodków
Ledwie, że nie gardzą".

Z przejęciem i namaszczeniem śpiewał lud tę pieśń, która ostrym napomnieniem smagała jego przyzwyczajenie do snu i bierności wobec przeszkód, jakie piętrzyły się na jego drodze. I hymnem się stała, pieśnią, co jak płomień wchodziła do chat i podsycała gasnący znicz poczucia narodowego.

Może w jego twórczości za słabo zabrzmiała struna socjalna. Przecież to lud śląski ledwie że otrząsł się z niewoli pańszczyzny. Zastrzeżenie to jest tylko pozorne. W praktycznym życiu ściśle kojarzą się te dwa zagadnienia, jakimi są zagadnienia niewoli narodowej i socjalnej.

Te dwa pojęcia ściślej wiązały się wtedy, niż obecnie nam by się to wydawało. Lud polski na Śląsku i nadal był uważany za niewolników, których obowiązkiem była harówka na roli. Kto chciał wyjść z tego ludu, oderwać się od tej potężnej masy powszechnie pogardzanej, wyrzec się musiał swej duszy, samego siebie, zrzucić niejako z siebie swe odzienie a przyodziać obce, które zmuszało drwić i naśmiewać się z prostoty poprzedniego.

Większość utworów Jana Kubisza powstała w wyniku jego pracy obywatelskiej. Nie było inicjatywy społecznej bez jego udziału. Na każdą uroczystość o charakterze narodowym i społecznym, czy to była rocznica założenia gimnazjum w Cieszynie, czy innej placówki społecznej, proszą go o wiersz okolicznościowy. A Kubisz nigdy nie odmawia, ale przychodzi z wierszem, w którym dobitnie podkreśla rolę, jaką placówka spełnia w służbie dla ludu śląskiego. Wiersze te mają więc charakter okolicznościowy, częstokroć agitacyjny, niepozbawione są jednak pewnej świeżości ujęcia tematu. Zaliczyć tu trzeba takie wiersze, jak: „Do przyjaciela odjeżdżającego", „Do J. C." (Cienciały), „Woda ze skały", „Do młodzieży śląskiej", „Do naszych przyjaciół", „Jubileuszowe pozdrowienie" i inne.

Najlepszym jego utworem z okresu intensywnej pracy społecznej w Czytelni Ludowej w Cieszynie do odjazdu ks. Otto jest „sielankowa gawęda" p.t. „Dwa dni".

Podnietę do napisania tego poematu dały mu zapewne wieczory literackie u ks. Otto oraz głęboka miłość do ziemi ojczystej.

Nie znajdziemy w tym utworze żadnych wyszukanych zwrotów poetyckich, ale z każdego wiersza przemawia jędrna, zdrowa, pełna powabu prostota Reja.

Poemat „Dwa dni" — to żywot poczciwego Ślązaka. Dwa dni tylko opisuje poeta: dzień powszedni i dzień świąteczny, ale wszystkie dni żywota syna śląskiej ziemi są podobne do siebie jak kropla do kropli źródlanej wody.

Celem poety było podanie wiernego obrazu życia uczciwego Ślązaka, aby dać przykład współczesnym i potomnym.

Drugi okres, kiedy Jan Kubisz z żalem opuszcza Cieszyn i pracę w Czytelni i osiada na stałe w Gnojniku, zastaje go już w pełni świadomości swego posłannictwa. Mało wychodzi z swego zakątka w Gnojniku, pracuje nad samym sobą i dużo pisze. W tym okresie powstają jego najlepsze utwory: „Syn marnotrawny", „Śpiewy starego Jakuba" i „Mojżesz".

Najcharakterystyczniejszym jest poemat p. t. „Syn marnotrawny".

Ojciec wysyła swego syna po ukończeniu szkoły w rodzinnym mieście na studia do naddunajskiej stolicy. Przejmujące są wiersze pożegnania syna przez ojca:

.....Gdy już taka Boża wola,
Że masz jechać, jedź, lecz wróć szczęśliwy,
Lecz wróć mi takim, jakim teraz jedziesz,
Wróć mi z miłością do rodzinnej włoski
I z utęsknieniem do chaty ojcowskiej,
Z tą mową, w której ślem do Boga modły,
Z tymi pieśniami, co je sobie nucisz".

Lecz syn marnotrawny prędko zapomniał nauk ojca i matki, wiodąc życie hulaszcze wśród wesołych kolegów. Nie wytrwał. Uwierzył w mowę swych wrogów, którzy jad nienawiści wlewali w jego serce:

„Polskiego ludu na Śląsku już nie ma,
A jeśli żyje — nad brzegiem przepaści
Stoi, a jego już nikt nie powstrzyma
Upadku, bowiem skazan na wymarcie,
I wkrótce bedzie on na dziejów karcie
Wymazan;....."
„A polskiej mowy tej tam wcale nie ma!
Bo czyż się może językiem nazywać
Ta mieszanina słów nędzna i licha,
To wasserpolnisch!....."

Wtedy, wyznaje syn marnotrawny:

....„wydał mi się lud mój taki mały,
I taki lichy i taki bez chwały,
Że po raz pierwszy w życiu się wstydziłem
Mojego rodu..."

Straszna była ta chwila, kiedy poszedł do Nordmarku, by ostatecznie wyrzec się duszy polskiej.

„Gdzie mi kazali przysiądz, że językiem
Polskim już nigdy, nigdy nie przemówię...
Gdzie mi kazali bluźnić i złorzeczyć
Ojcu i matce i braciom... Słyszycie —
Kazali bluźnić mnie, polskiemu dziecku.
Och to już wtedy był szczyt mej podłości!"

Tłumione sumienie odezwało się wreszcie. Chciał zapłakać, ale oczy były suche, chciał się modlić, ale modlitwy zapomniał. I wtedy jego sercem „wstrząsnął żal i skrucha". — Wspomnienie młodości spędzonej pod strzechą chaty rodzinnej i mowy matczynej zgasiło mękę duszy. Ukląkł na ziemi, modlił się i błagał o przebaczenie.

Powrócił syn marnotrawny do domu ojca, a ojciec przebaczywszy mu uściskał go.

„A potem wyniósł owa przednią szatę
I pierścień złoty na mą rękę włożył.
Szata i pierścień: znak łaski ojcowskiej
I przywróconej godności synowskiej".

Drugi utwór p. t. „Śpiewy starego Jakóba" jest cyklem poematów, związanych wspólną myślą przewodnią. Składa się ze „Wstępu", pięciu części: I. „To Niemiec", II. „To Polak", III. „Ziemia nasza", IV. „Nad Olzą" i V. „Nie mogliście jednej godziny czuć ze mną" oraz zakończenia „Do śląskiej młodzi".

We „Wstępie" odpowiada stary Jakób pacholeciu, które pyta się go, dlaczego jest smutny. Oto smuci się nad losem ojczystej ziemi:

„Gdy na nią padał nieszczęść cios za ciosem;
Uczułem wszystek jej ból i cierpienia,
Że z tego bólu całkiem posiwiałem!"

Przebudził się lud śląski w 48 roku i zdawało się, „że swobodnym lotem wzbije się w słońce", lecz „lud nie zrozumiał wolności swej daru".

„Wołali tylko: chleba, wody, chleba!
A że nie mieli za wodza Mojżesza,
Ani pomniejszych słuchali proroków,
Wpadli w moc gorszych, niźli przedtem okówów,
Bo wpadli znowu w moc ducha niewoli!"

Zapomniał lud mowy swych przodków, bo nieraz i nauczyciele, którym rodzice swe dzieci powierzyli, „miłość do ziemi ojczystej zabili" w ich sercach.

Kiedy więc patrzał stary Jakub na taką niedolę swego ludu, wpadł w rozpacz i zwątpienie. Sądził, że nie ma już ratunku. Ale wtedy usłyszał słowa, które wlały w jego serce nową wiarę:

......„Jeszcze jest siedem tysięcy,
Co nie zginają swych kolan przed Baalem,
Przez nich Bóg będzie łaskaw i pozwoli,
Że naród z ducha wywiodą niewoli!"

W pierwszej części „To Niemiec" opisuje sposób fabrykowania Niemców z rodzonych synów ziemi śląskiej przez wychowanie w szkołach ludowych w duchu niemieckim, których głównym celem było wyuczenie języka niemieckiego. Niektórym przewróciło się w głowie tak, iż wychwalali teraz kulturę i mowę niemiecką językiem „niemieckim po polsku".

Nie wszyscy wyrzekli się swej mowy ojczystej. Chociaż wychowani w tej samej szkole, gdzie zbrodnią było mówienie po polsku, woleli kije i naśmiewanie znosić, niż wyrzec się mowy swych ojców. To byli Polacy, o których śpiewa stary Jakub w drugiej części.

W trzeciej części pt. „Ziemia nasza" opiewa melodyjnym językiem na wzór Pola piękno ziemi śląskiej.

Czwarta cześć „Nad Olzą" — to wszystkim znana pieśń „Płyniesz, Olzo, po dolinie", nasz hymn śląski, w którym żali się, że ludzie „zmienili się bardzo". Lecz nie traci poeta wiary. Prosi Boga, ażeby zrządził, by lud śląski usłyszał pieśń Olzy, która oczyści dusze z grzechu i wleje w nie miłość do ziemi ojczystej, jak Jordan w ziemi Chananejskiej oczyścił lud Izraela.

W piątej części, pisanej wierszem białym, brzmi cichy smutek religijny.

W zakończeniu wzywa młódź śląską, by zbudziła ziemię ojczystą z uśpienia pieśnią polską. Ta pieśń złączy wszystkich „w jeden śpiew radosny" przyszłej wiosny zmartwychwstania.

Punktem kulminacyjnym twórczości Jana Kubisza jest poemat „Mojżesz" w którym zabrzmiał ton konradowski Mickiewicza.

Mojżesza, jako niemowlę, znajduje nad brzegiem Nilu w plecionce z trzciny rzecznej królewna, córka Faraona. Przyjmuje go za swego syna i oddaje kapłanom na wychowanie. Uczyli go mądrości i mowy egipskiej, uczyli bluźnić Jehowie, uczyli złorzeczyć ojczystej mowie i nienawidzieć swych braci rodaków. Wydawało im się, „że miłość ojczystą z piersi mu wydarli", lecz miłość ta okazała się trwalszą, bo wyssaną z mlekiem matczynym.

„I w gorącym porywie podnosi dłoń mściwą
Ujmując się za bratem — w bój Egipcjanina
Wyzywa i zabija!"

Wzgardził zaszczytami, wzgardził dostojeństwami, wzgardził dobrobytem i przepychem, jakim był otoczony w pałacu królewskim. On, który mógł być Egiptu synem, gdyby okazał czynem nienawiść do swego narodu, „gdyby pierś swej braci rozdarł i pokrwawił", wybrał namioty swych braci, „gdzie i nędza, i rozpacz, i uciemiężenie..."

Zrozumiano „Mojżesza", zrozumiano jego głęboką sentencję. Poeta osiągnął zamierzony cel.

Oprócz tej poezji budzącej, poezji ludowej, pisanej jednak językiem literackim polskim, dużo tłumaczył. Są to przeważnie tłumaczenia pieśni nabożnych.

Dla skompletowania twórczości Jana Kubisza trzeba jeszcze wspomnieć o jego „Pamiętniku Starego Nauczyciela", który w pełni zasługiwałby na to, by się nim zainteresował szerszy ogół polskiego społeczeństwa. — A przy obecnym rozmachu wydawniczym w Polsce na pewno dałoby się wydać i „Pamiętnik" Kubisza.

Utwory Jana Kubisza zanim zostały wydane w formie książki, przeważnie drukowane były na łamach różnych czasopism, jak: „Gwiazdka Cieszyńska", „Rolnik Śląski", „Przyjaciel Ludu".

Co do wydawnictw książkowych należy wyszczególnić skromny co do objętości zbiorek poezji zatytułowany „Śpiewy starego Jakóba", wydany po r. 1880. Wstępnym wierszem tego zbiorku jest utwór pt. „Do młodzieży szląskiej"! — napisany na uroczystość Mickiewicza na wzór „O czem tu dumać na paryskim bruku". Drugim zbiorkiem wydanym koło roku 1900 jest mniejszy co do objętości zbiorek pt. „Rolnik śląski", w którym wychwala stan rolniczy. Obydwa te zbiorki znalazły pomieszczenie niemal w komplecie w miniaturowym wydaniu zbiorowym jego utworów poetyckich pt. „Z niwy śląskiej", które wyszło w r. 1902 dzięki funduszowi jaki przeznaczył w swym testamencie na wydanie tej książki mecenas śląski Franciszek Górniak.



STO LAT TEMU 1848-1948

POD REDAKCJĄ DR. WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Seweryn Goszczyński

Muzyka wieczorna w Krakowie

Seweryn Goszczyński (1801—1876), głośny poeta, demokrata - spiskowiec, uczestnik napadu na Belweder 29.11.1830 r., żołnierz powstania, twórca Stowarzyszenia Ludu Polskiego w latach 1834—36, przyjaciel Szymona Konarskiego. Wiersz „Muzyka wieczorna w Krakowie", zamieszczony został w r. 1840 w „Pszonce" Leona Zienkowicza i przedrukowany następnie na łamach „Demokraty Polskiego", organu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, dnia 18 lipca 1840 r., tom III. Wiersz ten stanowi fragment trzeciej części „Trzech strun" Seweryna Goszczyńskiego i ilustruje wybornie nastroje szlachty krakowskiej i galicyjskiej w chwili największego nasilenia agitacji niepodległościowej, podejmowanej przez Stowarzyszenie Ludu Polskiego.

Zachodni obłok już słońce ogarnia,
Dnia gasnącego ostatni płomyczek,
Pozaczepiany u Marii wieżyczek,
Połyska jeszcze jak morska latarnia,
Jak flaga blasku przed ciemności nawą,
Na której wieczór młodzieńczego maja
Żegluje w przystań krakowego grodu.
Pas topolowy i cienia i chłodu,
Co serce miasta dokoła ogaja,
Roi się ludem, wre swobodną wrzawą.
Słychać przegrywkę do pieśni dziękczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy,
Na nowo polskie zmartwychwstały niwy.
I oto naraz zabrzmiała pieśń pełna,
Lud się poruszył jak morskich wód wełna:
Pod ową polską, wojenną muzyką
Poczciwe lice ludu zapałało
Życiem pół-polskim, radością pół-dziką,
I wnet wir tańców porwał rzeszę całą.
Ciesz się motłochu!
A z boku obrazu,
Jak ogrodowe posągi z głazu
Stoi tłum inny, tłum w szatach świetnych.
Jego lic radość ludu nie kala:
Niemy, pół-skryty, trzyma się z dala.
Ten drugi motłoch, to motłoch szlachetnych.
Skończone granie, bębny zawrzały,
I jakby jedna bojowa dusza
Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały,
Cały tłum krokiem bojowym rusza.
Jak się tu oprzeć tej żywej fali!
Porwany wspomnień i przeczuć szałem
Sercem i nogą jej się poddałem.
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem,
Panowie zostali.
Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Czerstwe myśli, dusze raźne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza surowe cnotą,
Biednym odzieniem hołoto,
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście,
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy o tak! bok przy boku,
Idźmy o tak! krok do kroku,
Tylko razem, tylko zgodnie,
A gdzie zechcemy zajdziem niezawodnie,
Panowie niech stoją.
Panowie z nami złączyć się boją.
Oni się wstydzą pomieszać z nami,
Ich suknie krwawy pot ludu plami,
Ten okrzyk ludu bijący ku niebu,
Skamieniałemu ich sercu nieluby.
Oni w nim słyszą oklask przyszłej zguby,
Straszne podzwonne swojego pogrzebu.
Chodźmy więc sami, własną mocni siłą!
Cztery lat temu, kilkuset nas było,
Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą,
I takim krokiem poszliśmy tak żwawo;
I tych kilkuset cały czas zmieniło.
Tylko tłum ludu, tylko tłum dzieci
Leciał za nami, jak dzisiaj leci,
Panowie wówczas, jak w tej oto chwili,
Oczy i kroki od nas odwrócili,
I dzisiaj stoją, jak wtedy stali,
My idźmy dalej!

1 maja 1835 roku w Krakowie.

FAKTY I ZDANIA

Ach zbudź się, zbudź...

Pisarze Towarzystwa Jezusowego (to ładniej brzmi, niż: jezuici i nie przywodzi na pamięć niesmacznych skojarzeń) wznowili Przegląd Powszechny, miesięcznik poświęcony sprawom religijnym, kulturalnym i społecznym.

Pismo założywszy w słowie wstępnym, że „patrzyć trzeba i widzieć rzeczy krystalicznie jasno, sądzić trzeźwo, chciałoby się rzec, brutalnie, myśleć rzetelnie, reflektować rozumnie i zawsze właściwie, bez żadnego względu i litości, wyciągać wnioski" — biada w końcowym artykuliku (Wobec spraw społecznych), że rozgrywka między obozem chrześcijańskim a materialistycznym toczy się na gruncie historycznym czy społecznym nie zaś religijnym.

„Jeszcze przed laty zdawało nam się rzeczą jasną, że przeciwnicy Kościoła — piszą ojcowie jezuici — nie podejmą ani nie przyjmą z nami walki orężem natury religijnej rozprawy przy pomocy dowodów dogmatycznych czy teologicznych. Pisaliśmy wówczas" — mówią dobrzy ojcowie duchowni (do takiego tylko ojcostwa skłonni są przyznawać się):

„Okoliczność ta jest wyrazem wysokiego hołdu, jaki wbrew swym intencjom składają prawdzie religijnej jej śmiertelni wrogowie. Tylko nieliczne jednostki mają odwagę uderzyć w religię bronią bezpośrednią, to jest argumentem natury religijnej. Wśród licznych rzesz zdecydowanych wrogów religii i Objawienia nieliczni są Parandowscy, którzy wysilają się, aby postawić bezpośrednio „niebo w płomieniach".

„Obecnie zaś dodać można, że z tej ostatniej grupy, część, poznając oręż walki religijnej, poznała i samą prawdę Objawioną. Przyjęła ją lojalnie i znalazła się — w jednym z nami obozie. (to aluzja do zabawnego w niezręczności koziołka wykonanego przez Parandowskiego, przyp. nasz). Broń zaś czysto religijna i dziś rzadko jest w użyciu.. Rozprawa przeszła na inne tory i potoczyła się głównie na pole ruchów społecznych. Tu się ona obecnie rozgrywa i tu się zapewne jej losy rozstrzygną".

Drodzy, a właściwie drogo nas kosztujący ojcowie! — Wbrew zapowiedziom, trzeźwe jest w tym, co piszecie tylko ostatnie zdanie. Po co łudzić się (czy to z litości?), po co otrąbiać fikcyjne zwycięstwa? Przecież, kto na serio bierze Kościół i katolicyzm, traktuje i traktować je musi jako zjawisko socjologiczne. I tylko socjologiczne. Któżby chciał wdawać się w polemikę z czarodziejem murzyńskim przy pomocy jemu właściwych argumentów teologicznych? Kto, oprócz naiwnych i Was naturalnie — uważa doktrynę katolicką za naukę? Kto uważa „dowody dogmatyczne", jeśli takie dowody wogóle mogą istnieć — za dowody? Przebudźcie się z dogmatycznej drzemki.

Teofil.

Rok 1948

Rok 1948 upływa w całej Europie pod znakiem stulecia potężnego prądu rewolucyjnych ruchów społeczno-narodowych zwanych „Wiosną Ludów". W Polsce wyłoniono Komitet obchodu stulecia „Wiosny Ludów", złożony z najpoważniejszych ludzi nauki, zwłaszcza historyków. Wydawnictwa, radio, prasa realizują swoje plany odnowienia w świadomości narodowej znaczenia rewolucji 48 roku złączonej z nazwiskami szlachetnych patriotów i myślicieli. Szkoła sanacyjna, w której lekcje religii były obowiązujące, przedstawiała młodzieży epokę „Wiosny Ludów" tendencyjnie i fałszywie. Praca nad wydaniem nowych podręczników historii dla szkół powszechnych, rolniczych i średnich prowadzona jest przez wielu ludzi z wielkim nakładem kosztów. Rozdziały poświęcone 1848 rokowi są przedmiotem specjalnej pieczołowitości i naukowego trudu.

Tymczasem czytamy w „Tygodniku Warszawskim".

„Rok 1948 ma być według zamierzeń Episkopatu polskiego poświęcony szczególnie Najświętszemu Sercu Jezusowemu, celem odnowienia Chrystusa w życiu jednostek".

Paulina Czyżowa.

Jeszcze raz autentyzm

Weszło już niemal w tradycję, że kiedy poczynają mówić „autentyści", to należy spodziewać się albo żalów, albo hurra-megalomanii (patrz: wypowiedź „Autentysty" — Ożoga, „Wieś" Nr 2 1948), lub też obu tych rzeczy wspólnie. Ten fakt potwierdza również jeden z ostatnich głosów pisarzy-autentystów. Tym razem przemówił sam „prorok autentyzmu" Stanisław Czernik. W „Warszawie" — niezależnym dwutygodniku literackim z dnia 1 lutego recenzuje on tom zebranych wierszy J. B. Ożoga „Jej Wielki Wóz".

Zaczyna się właśnie od żalów i wyrzekań, że autentyści zwykle nie miewają szczęścia do recenzji. Że wynika to jakoby z niezrozumienia istoty poezji autentycznej (Ożóg powiedziałby bez ogródek, że z niedouczenia gryzipiórków - krytyków). A przecież sam Irzykowski. „którego nie można posądzać o lekkomyślny stosunek do przemian artystycznych, wyraził się na wzór wyroczni delfickiej: „Ostrożnie z autentyzmem". Miała to być przestroga dla autentystów i ich przeciwników". I dodaje dalej Czernik: „Warto to przypomnieć po dziesięciu latach, gdy autentyzm wytrzymał próbę życia i stał się jedyną bazą poezji, o której można mówić poważnie". A tu już wyraźna megalomania. Może to jednak tylko chwyt propagandowo-agitacyjny dla szukających dróg poetyckich. Nie ma obawy, na autentyzm trudniej dziś nabrać, niż na egzystencjalizm, o którym Czernik mówi, jako o młodszym bracie autentyzmu.

W ogóle w dobieraniu autentyzmowi i autentystom paranteli Czernik jest charakterystyczny, a powiedziałbym więcej — komiczny. Mimo — jak sam stwierdza — iż podkreślenie domniemanych wpływów na poezję autentyczną stwarza „niekorzystną opinię dla tej samorodnej, oryginalnej poezji", Czernik nie zaniedbuje żadnej okazji wykazania współzależnych autentyzmu z inną rodzimą lub obcą poezją. Okazuje się prawdą, że każdy prąd, chociażby mający nawet największe pretensje do oryginalności, chętnie lubi wyszukiwać sobie licznych protoplastów i niemniej liczne koligacje. I tak np. u Ożoga — według Czernika — jest poza innymi Federico Garcia Lorca, a nawet „zewnętrzna strona zestawień, bez mgły (rzekomej głębi) metafizycznej, czasami wpadająca w naturalizm, czasami przypominająca zewnętrzne efekty romantyków, a innym razem pozorną karykaturę, wpadającą jakby w styl Picassa"! Ha! Ha! Lubię ludzi z autentycznym humorem. Przyznać należy — koń by się uśmiał nad takim straganem jarmarcznym.

Jeszcze na jedno „chciałbym zwrócić uwagę na końcu". Jak mistrzowsko interpretuje Czernik egocentryczną postawę autora „Jej Wielkiego Wozu": „może to objaw większej indywidualności — dodaje — niemniej ten stosunek do rzeczywistości, jako do „bani poezji" rozpryskującej się nad głową poety w postaci izolującej zasłony, może się okazać w przyszłości niebezpieczny dla jego twórczości" Ale już mniejsza o to. Być może ma Czernik w tym wiele racji. To, że się trochę późno zorientował, nie jest zbyt wielką gaffą. Podoba mi się natomiast termin Czernika „do bani". Właśnie sądzę, że w autentyzmie wiele jest „do bani" Po przeczytaniu zaś recenzji Czernika skłonny jestem mniemać, że z autentyczną krytyką jest też coś „do bani".

Waldemar Kiwilszo

List do Redaktora „Wsi"

Szanowny Janie Aleksandrze, odkładając napisanie artykułu wyznaczonego o poezji na jakiś czas, pośpieszam z informacją w pewnej sprawie.

Jestem wielbicielem odkrywczej poezji Jana Bolesława Ożoga, każde publicystyczne wystąpienie tego autora rozdrażnia mnie jednak, budzi moje gwałtowne sprzeciwy.

Ostatnio ogłosił Ożóg znowu uwagi o autentyzmie w „Tygodniku Warszawskim", w którym walcząc nie bez temperamentu, rozdając razy na prawo i lewo, usiłuje i mnie skaperować dla mglistej koncepcji swojego autentyzmu.

Oświadczam (podobne oświadczenie zresztą opublikowałem przed wojną), że nie wyrażam się za autentystę w pojęciu czernikowskim, czy ożogowskim, nie należałem do grupy autentystów, nie jestem zwolennikiem tego prądu.

Z redaktorem „Okolicy Poetów" i właściwym twórcą autentyzmu, Stanisławem Czernikiem współpracowałem żywo jedynie w początkach jego redaktorskiej działalności, to jest w latach 1935 i 1936, później nasze drogi się rozeszły.

Odszedłem, bo mi nie odpowiadały właśnie filozoficzne i społeczne założenia autentyzmu.

Łódź, 16 lutego 1948 r.

Stanisław Piętak

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 183, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025512